

STASIUK PO RUMUNII, REJS PO „REJSIE”, NOGI PO NIEBO

PRZE

Numer 17-18/2966-7

28 kwietnia 2002 r.

KRÓJ

Cena 4 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

**Cto większy „Przekrój”!
Aż półtora numeru!**

**JESTEŚCIE
ZHAŃBIENI!**

**DRIANA FALLACI:
oskarża świat,
oroni Żydów**

ISSN 0033-2488



9 770033 248021

Indeks 371424 • Y-9013-C

17

DOM & WNETRZE

NR 5(80)/2002 MAJ CENA 7,90 zł (w tym 7% VAT)

TEMAT NUMERU

MAŁA KUCHNIA

jak ją urządzić – radzą architekci wnętrz
specjalne wyposażenie – przegląd sprzętu i mebli
trzy wzorcowe aranżacje

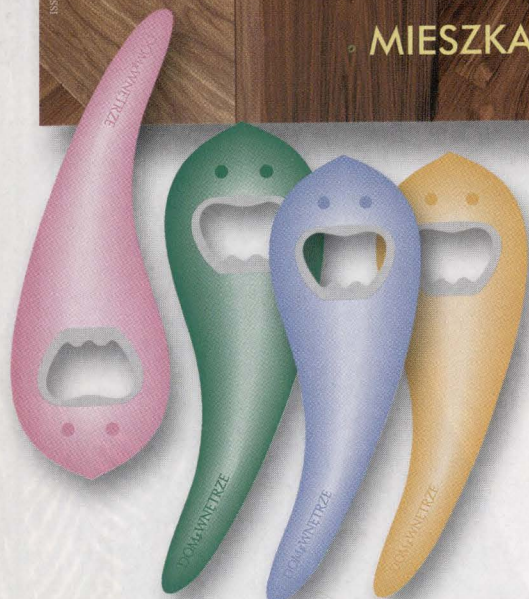


PREZENTY ŚLUBNE
w dobrym guście i na każdą kieszeń

300 METRÓW W POZIOMIE
idealny dom blisko natury

ZUCHWAŁE TARASY
w czerwieni i w bieli

MIESZKANIE Z LUKSFERAMI
więcej światła i przestrzeni



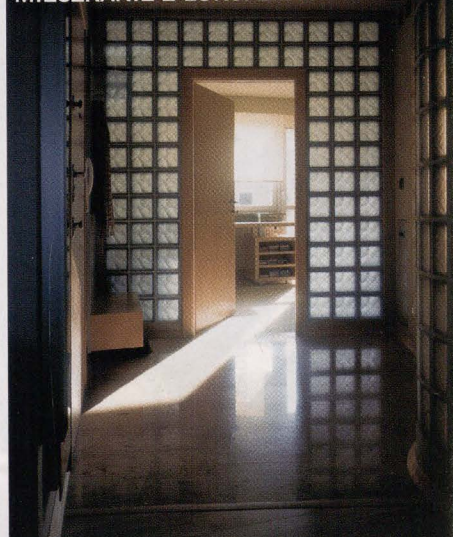
PREZENT!

W MAJOWYM NUMERZE
SPECJALNIE DLA CZYTELNIKÓW
MIESIĘCZNIKA „DOM&WNĘTRZE”
ZABAWNY OTWIERACZ
W 4 KOLORACH



TEMAT NUMERU: MAŁE KUCHNIE

MIESZKANIE Z LUKSFERAMI



WYBÓR PREZENTÓW ŚLUBNYCH



DOM BLISKO NATURY

NUMER 17-18/2966-7

28.04.2002

NASTĘPNY NUMER W KIOSKU 8 maja 2002 r.

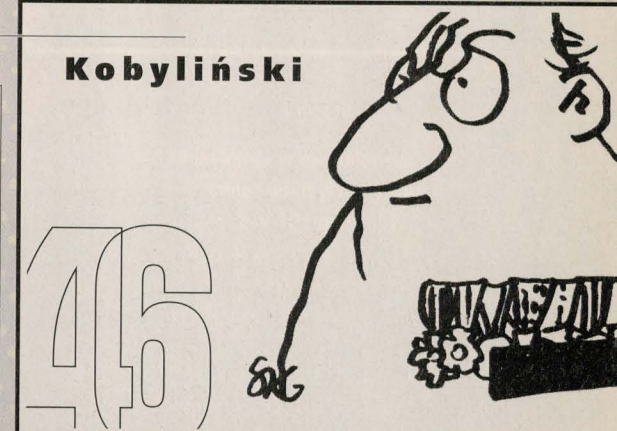


- Ilustrowany „Przekrój” tygodnia**
Z tygodnia na tydzień FILIP ŁOBODZIŃSKI
ŻEGLARZ NAD ŻEGLARZE
pożegnanie THORA HEYERDAHLA
OKŁADKA HAŃBA, HAŃBA, HAŃBA!
ORIANA FALLACI
Oriana – wyrzut sumienia
FILIP ŁOBODZIŃSKI
I ty zostaniesz Amerykaninem
Z JERZYM JEDLICKIM rozmawiają
DARIUSZ ROSIAK i WOJCIECH MAZIARSKI
List z Londynu TADEUSZ JAGODZIŃSKI
Powrót czasu ołowiu PIOTR KOWALCZUK
W tak pięknych okolicznościach
przyrody, czyli REJS
Książki dzikie i szalone JAN GONDOWICZ
Szymon Kobylński:
Sarmata i kpiarz wszech czasów
MAREK WOJCIECH CHMURZYŃSKI
Bezprzewodowe piękno
MICHAEL SPECTER
Ostatni świadek o HANSIE-GEORGU
GADAMERZE pisze JOANNA TOKARSKA-BAKIR
Idą nogi OLGA WOŹNIAK
Salon wytrzeźwień
pod redakcją TADEUSZA NYCZKA – odcinek trzeci
Laureat Pulitzera 2002 – CARL DENNIS
Od słowa do słowa – OLGA WOŹNIAK
To i owo naukowo
Kuba rozpruwacz – Zbrodnia wciąż
doskonala JERZY RZEWUSKI
Kici, kici JERZY BRALCZYK
Wojciech Karolak w rozmowie
z MARIĄ CZUBASZEK, WILHELM SASNAL
Georgesa Pereca Instrukcja obsługi
JAN GONDOWICZ
Judeo-Polonia wiecznie żywa
PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ
Płynność płci ANNA KOŁAKOWSKA
Muzyka Tuwa śpiewa na całe gardło
FILIP ŁOBODZIŃSKI
Cassandra Wilson – ulubiona córka
bluesa ROBERT ZIĘBIŃSKI
Film Zawód: szpieg
ANDRZEJ SARAMONOWICZ
Literatura ANDRZEJ STASIUK
Tak to jest ze zdarzeniami
104 MAŁGORZATA BARANOWSKA, STEFANIA
GRODZIŃSKA, Piątka klepka, Heca heca
106 Kulinarne PIÓRO Polski
107 HOFF Refleksje wiosenne
108 Polska Angola CHRISTIAAN VAN LIEROP
109 Listy
110 Krzyżówki, jolki, zagadka
111 KONKURS MALARSKI
114 Co Pan na to, Panie LEM?
116 Rozmaitości

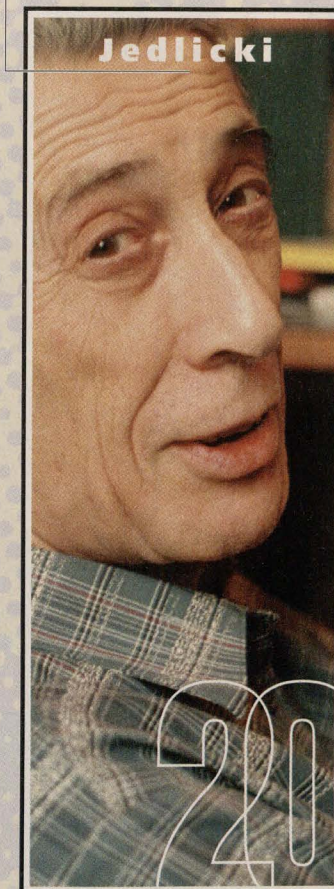


Rejs

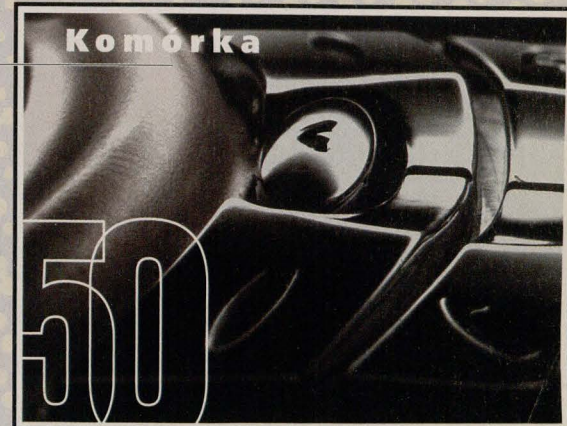
Kobyliński

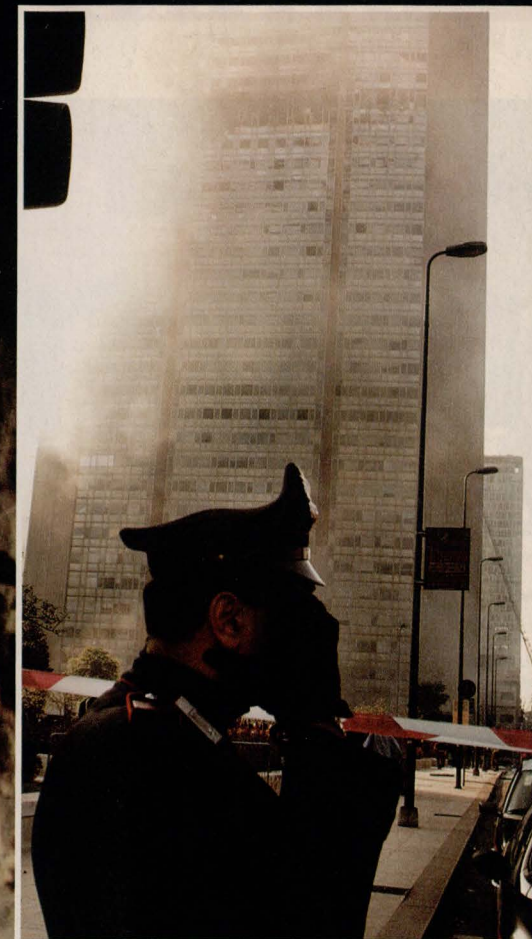


Jedlicki



Komórka





18 kwietnia w mediolański wieżowiec uderzył mały samolot turystyczny. 123-metrowy budynek, zwany przez mediolańczyków Pirellone, będący siedzibą władz Lombardii znajduje się tuż przy głównym dworcu kolejowym w Mediolanie. Włoskie władze zapewniają, że katastrofa nie była aktem terrorystycznym. Policja bada doniesienia, jakoby pilot, 68-letni Luigi Fasulo, chciał popełnić samobójstwo. Tuż po katastrofie jeden z synów Fasula powiedział dziennikowi „La Repubblica”, że ojciec tonął w długach, odkąd wspólnik oszukał go na 1,5 miliona dolarów. Poza pilotem w katastrofie zginęły jeszcze dwie osoby. Na zdjęciu z lewej: mediolański strażak ogląda zniszczenia na 25. piętrze wieżowca.



Yuji Nakano i jego dziewczyna Mina Takahashi przyjechali do Betlejem taksówką. Wysiedli przy posterunku wojskowym i nie zważając na izraelskie transportery opancerzone oraz ruiny, pomaszrowali w stronę Bazyliki Narodzenia Pańskiego. Pochłonięci lekturą swojego przewodnika po Ziemi Świętej Japończycy nie zauważyli, że w mieście toczy się wojna. Dopiero po interwencji ubranych w kuloodporne kamizelki fotoreporterów zrezygnowali z wizyty w kościele okupowanym przez uzbrojonych Palestyńczyków. Dwa tygodnie temu Bazylikę otoczyły wojska izraelskie. Yuji i Mina od pół roku podróżują dookoła świata. Nie czytają gazet, nie oglądają telewizji i po prostu przegapili doniesienia o wojnie w Palestynie.



Warszawskie ambasady Izraela i Autonomii Palestyńskiej połączył

„łańcuch pokoju”. W niedzielnej akcji na rzecz pokoju na Bliskim Wschodzie ręce podało sobie około tysiąca osób. Happening zorganizowała polska sekcja Amnesty International. Na pierwszym planie Adam Michnik i Jacek Kuroń. Pracownicy ambasady izraelskiej nie wzięli udziału w manifestacji.



Pięciu sparaliżowanych mężczyzn „powiesiło” się 18 kwietnia pod waszyngtońskim Kapitołem – oczywiście na niby. Protestowali przeciw ustawie zakazującej klonowania komórek macierzystych do celów terapeutycznych.

Gwatemalscy wieśniacy niosą trumny z ciałami bliskich, którzy zginęli w latach 80. z rąk żołnierzy. Od zakończenia przed sześciu laty 36-letniej wojny domowej odkryto już 150 masowych grobów.



FOT. BLAZEJ PRZYBYL/TAMTAM

Arzbiskup senior Juliusz Paetz (na zdjęciu ze spuszczonej oczyma) wziął udział w ingresie nowego metropolity poznańskiego arcybiskupa Stanisława Gądeckiego. Podczas uroczystej mszy świętej, która odbyła się 21 kwietnia na Ostrowie Tumskim, nuncjusz apostolski odczytał papieską bullę i przekazał nowemu metropolicie biskupi pastorał.

Służby graniczne na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo nie wpuściły na terytorium Rosji ordynariusza diecezji irkuckiej bpa Jerzego Mazura i anulowały mu ważną wizę. Inicjatorem ostatnich wystąpień antykatolickich w Rosji jest Cerkiew prawosławna, która obawia się „katolicko-polskiej ekspansji” na Rosję.



FOT. PRZEMEK WIEZCHOWSKI/PAP



Powrót króla.

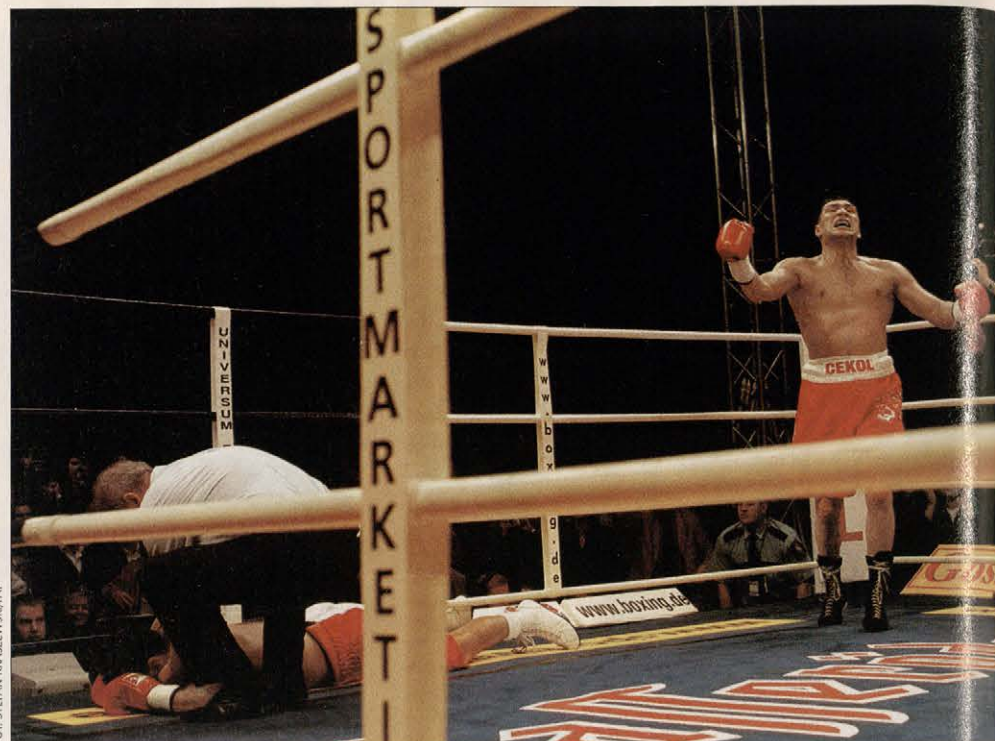
Po 29-letnim wygnaniu do ojczyzny powrócił sędziwy eks-król Afganistanu Zahir Szach. 18 kwietnia na lotnisku w Kabulu witał go rozradowany tłum rodaków. W czerwcu były monarcha, który cieszy się wśród Afgańczyków ogromną popularnością, ma otworzyć wielki zjazd plemienny Łoja Dżirga, który wybierze przejściowy rząd.

MYŚL TYGODNIA



**Mamy dwóch
bardzo dobrych
rozgrywających
i to nam
wystarczy
w Korei i Japonii.**

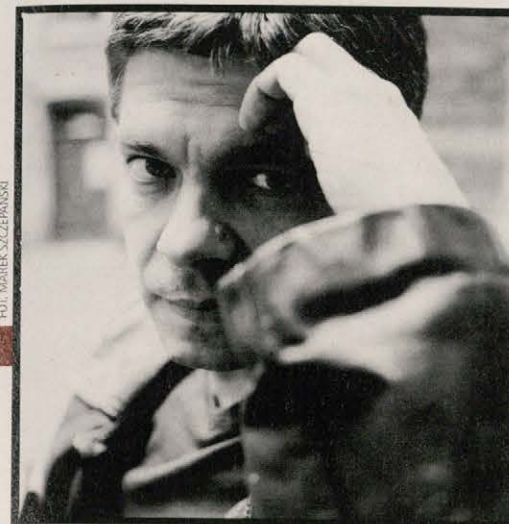
*Trener kadry piłkarskiej
Jerzy Engel
po przegranym
przez Polskę 1:2
meczu z Rumunią.*



Dariusz Michalczewski obronił po raz 21. tytuł zawodowego mistrza świata w wadze półciężkiej. W sobotę w gdańskiej hali Oliwia Michalczewski znokautował w drugiej rundzie Amerykanina Joeya DeGrandisa. – Nawet nie zauważyłem tego ciosu. Nie pamiętam lądowania na deskach – powiedział po walce DeGrandis. Urodzony w Gdańsku Michalczewski przyjął niemieckie obywatelstwo w wieku 19 lat. Walka w rodzinnym mieście była jego pierwszym zawodowym pojedynkiem w Polsce.

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY O...

- ...torcie z warzyw i owoców zrobionym w poznańskim zoo na 50. urodziny Kingi, najstarszej słońcy w Polsce.
- ...tym, jak się podkuwa pchłą złotymi podkowami, co pokazał ukraiński artysta-miniaturzysta w Muzeum Techniki w Warszawie.
- ...tym, jak zamierzają upowszechnić zamiłowanie do strusiego mięsa i jaj polscy hodowcy tych ptaków, których dwustu zjechało się do Szklar (Opolskie).
- ...tym, jak poszukiwany listem gończym mężczyzna podczas kontroli dokumentów pogryzł funkcjonariusza Straży Granicznej z Opolszczyzny.
- ...tym, jak żołnierz służby zasadniczej z jednostki w centrum Wrocławia strzelał w niebo z kalasznikowa, żeby dać wyraz swojej niechęci do bycia żołnierzem.
- ...tym, że według szefa medycznego Lotniczego Pogotowia Ratunkowego 90 procent Polaków nie potrafi udzielać pierwszej pomocy medycznej.



BASTIONY TRZECIEGO ŚWIATA

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Bliski Wschód to potęga. Tak zdołał zafundować uwagę świata, że niemal nie słysząc strzałów u podnóża Himalajów. Zaszta – czemu ma być słysząc? Ostatecznie 84 policjantów i 20 cywilów zabitych przez maoistowską partyzantkę w Nepalu, sześciu pasażerów zwęglonych żywcem w podpalonym przez tychże maoistów autokarze to tylko anonimowe liczby. Partyzantów było trzy tysiące, 12 poniosło śmierć. Ale czy poza hiszpanami i himalaistami ktoś w ogóle wie, co to jest Nepal, gdzie on jest i po co?

Przerażeni ślepą nienawiścią, jaką wyhodowano w Ziemi Świętej, wzruszamy ramionami na wieść, że 12-letni chłopak przyleciał sam do Nowego Jorku z Londynu, kazał się zawieźć taksówkarzowi pod, jak się okazało, nieistniejący adres, a gdy nagle poczuł się gorzej, został odstawiony z powrotem na lotnisko. Skąd tak nagle pogorszenie samopoczucia? Jak wykazało badanie w lotniskowym ambulatorium, czarnoskóry chłopczyk zwący się Prince N'Naedzie Umegbolu miał w żołądku 67 prezerwatyw wypełnionych heroiną. Lekarze pracowali bez wytchnienia, ostrożnie usuwając śmiertelnie niebezpieczny bagaż z brzucha młodocianego kuriera. Nigdy jeszcze ludzkie życie nie zależało tak bardzo od dobrze zrobionej prezerwatywy. Jak twierdzą policjanci, Prince miał dostać 1900 dolarów za wykonane zadanie. Byłby kolejnym bezimiennym bohaterem wielkiej wojny światowej o zyski, gdzie handluje się śmiercią na życzenie. Ból brzucha sprawił, że poznaliśmy jego imię. Ale znów: co on nas obchodzi?

I tak dziwi, że poprzez dym znad obozu w Dżeninie można dostrzec wenezuelską ope-

rę mydlaną. Był prezydent, był udany zamach, po dwóch dniach nastąpił udany „odmach” obalonego prezydenta. Wenezuelska telenowela niesie jednak pewien smrodek dydaktyczny. Kim jest odrącony i przywrócony Hugo Chávez? Draniem. Dlaczego? Powołał do życia oddziały paramilitarne, które broniły „jedynie słusznego” gabinetu, przymierzał się do stworzenia trybunałów rewolucyjnych (jakobini poprawiają się z aprobatą w grobach...), usiłował – wspólnie z nieprzyzwoicie z nim zaprzyjaźnionym Fidelem Castro – wzniecić na nowo zimną wojnę przeciwko demokracji, wolnemu rynkowi i Europie. Uciszał niewygodnych dziennikarzy, zamknął demonstrujące niezależność stacje radiowe i telewizyjne. Gdy wymiotła go z urzędu ulica, Fidel natychmiast odczuł potrzebę poprowadzenia marszu protestacyjnego przeciwko „zamachowi stanu zaaranżowanemu przez Amerykę”. Demonstranci w Caracas dali kubańskiemu dyktatorowi okazję do nagłośnionej w mediach przechadzki.

Na szczęście dla Fidela, libijskiego zamordysty pułkownika Muammara Kaddafiego i wszystkich politycznych *zombies* Chávez niczym feniks odrodził się w pałacu prezydenckim Miraflores. Wciąż ma na sobie czerwony beret komandosów. Kapownicza z adresami szmuglerów narkotyków też pewnie nie wyrzucił. Nieznany nikomu Prince Umegbolu to przecież potencjalny żołnierz handlarzy pracujących za wenezuelskie czy kubańskie pieniądze. A i „sukces” nepalskich maoistów mógł wzbudzić uśmiech uznania na twarzy wańki-wstańki Cháveza. To w końcu jego daleka polityczna rodzina, choćby spod znaku

Pol Pota. Kiedyś w Ameryce Łacińskiej roilo się od utytułowanych zbrodniarzy z krwią na dłoniach. Peruwianczyk Odría, Argentynczyk Galtieri czy internacjonal-terrorysta Che Guevara dawno odeszli, choć żyją dzieci ich ofiar. Chávezowi pewnie jednak imponują. Nie wypada się przyznawać do podobnych fascynacji, ale „niedźwiedzie” wymieniane z Fidelem nie są czysto teatralnymi gestami. Podpułkownik Chávez to autentyczny wielbiciel hawańskiego *comandante*. Razem chcieliby rozpocząć budowanie nowego ładu, razem wspierają antydemokratyczne prądy w różnych częściach globu.

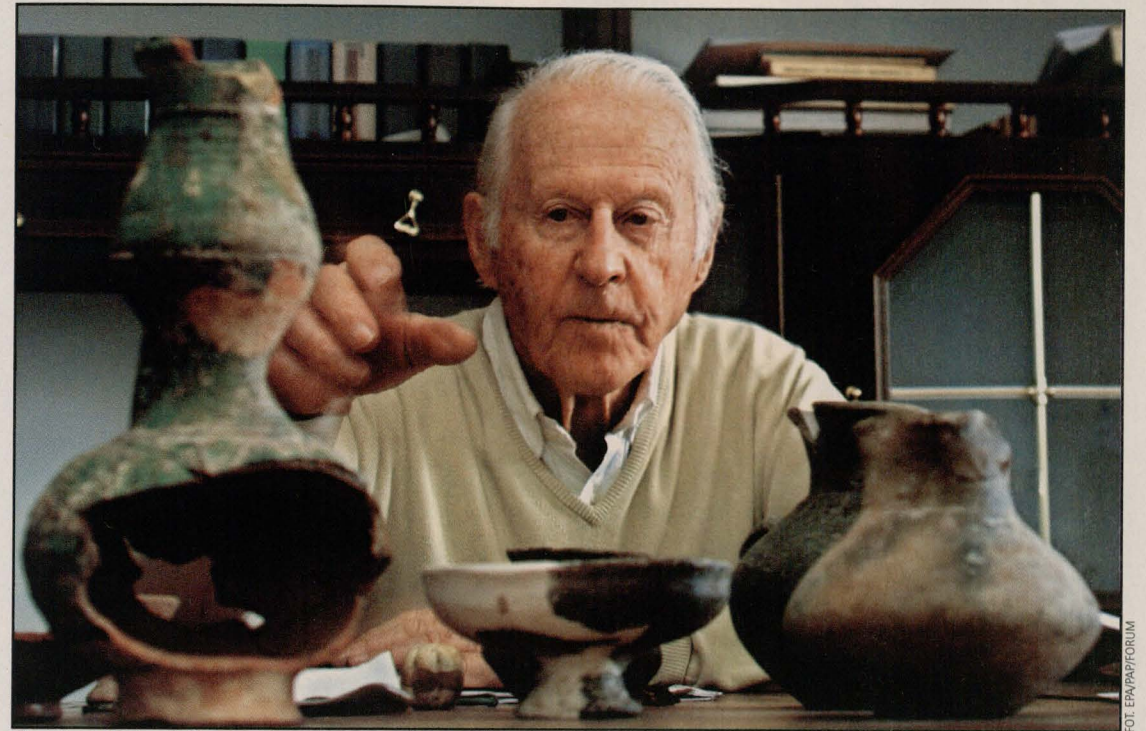
Niemal dzień w dzień, idąc do redakcji „Przekroju”, mijam koło Sejmu transparenty hałaśliwie nawołujące do obrony prastarej polskiej gleby przed zagranicznymi maszynami rolniczymi. Mamy nie sprzedawać ziemi obcokrajowcom, żeby nie dopuścić się zdrady narodowej substancji. To nasze! – wołają jak dzieci w piaskownicy populiści beczeszczący symbole religijne, brukając je doraźną walką polityczną. Ci kryptolewiczowie nie chcą zrozumieć jednego: że lepiej być socjalistą w kraju kapitalistycznym niż odwrotnie. Gwarantują to demokracja i wolny rynek, a więc także swobodny handel ziemią.

Tak właśnie rozumiem Trzeci Świat – jako jądro ciemności emitujące nienawiść do zdobywczy nowoczesnej cywilizacji. Położenie geograficzne nie ma tu znaczenia. Trzeci Świat może podnieść łeb w Hawanie, Bagdadzie, Sarajewie, Berlinie, Pretorii czy w Warszawie na Wiejskiej. W nowoczesnym świecie, jak się okazuje, wciąż istnieją bastiony Trzeciego Świata. I są groźne.

Żeglarz nad żeglarze



W dzieciństwie
śmiertelnie bał się wody.
Jako dorosły człowiek
wsiadł na drewnianą tratwę
i przepłynął z Ameryki do Polinezji.
Thor Heyerdahl zmarł 18 kwietnia.
Miał 87 lat



Thor Heyerdahl ogląda naczynia znalezione podczas wykopalisk w rosyjskim Azowie (maj 2001)

„Gdybym urodził się żeglarzem, nie uwierzyłbym, że na Kon-Tiki można przepłynąć ocean”

Już za życia stał się legendą. Robił wszystko, o czym marzyli chłopcy wychowani na „Robinsonie Cruzoe”, „Podróżach Guliwera” i „Sindbadzie Żeglarzu”. Przemierzał nieznaną morza, odkrywał tajemnice egzotycznych lądów, narażał życie i przeżywał mrozące krew w żyłach przygody. Na dodatek pisał o nich wspaniałe książki. Żeglarz, podróżnik, archeolog, pisarz.

Urodził się w roku 1914 w Larvik w południowej Norwegii. W 1937 przerwał studia zoologiczne i wraz z młodą żoną wyjechał na Polinezję. Byli pierwszymi hispanami – wolnymi ludźmi poszukującymi szczęścia z dala od swego świata. Na bezludnej wysepce w archipelagu Markizów Thor chciał badać miejscową przyrodę. Zamiast tego odkrył posągi, które do złudzenia przypominały rzeźby Inków. Heyerdahl nie wierzył w przypadek. Uparł się, że autorzy posągów przyплыли z Ameryki Południowej. Przez pół życia starał się dowiedzieć, że wbrew obowiązującym teoriom wysp Polinezji nie zasiedlili Azjaci, lecz pradawni żeglarze z Ameryki. I że podróże, o jakich Kolumbowi nawet się nie śniło, odbywały się już w czasach prehistorycznych.

Tuż po wojnie Heyerdahl postanowił przepłynąć z Ameryki Południowej na Polinezję. Pojechał do Peru, gdzie z pomocą miejscowych Indian wybudował potężną tratwę z pni drzewa balsa. Nazwał ją Kon-Tiki na cześć legendarnego boga-żeglarza. 28 kwietnia 1947 r. Heyerdahl z pięcioma towarzyszymi wyruszył na ocean. Zawodowi żeglarze uznawali ich za szaleńców dobrowolnie idących na śmierć.

Po 101-dniowym rejsie, podczas którego pokonali siedem tysięcy kilometrów, tratwa Kon-Tiki z całą załogą dotarła do brzegów polinezyjskiego atolu Raroia.

Książka Heyerdahla opisującą tę niesamowitą ekspedycję stała się światowym bestsellerem, a film dokumentalny nakręcony podczas wyprawy dostał Oscara. W wieku 34 lat kapitan Kon-Tiki został norweskim bohaterem narodowym.

Pieniądze ze sprzedaży książek (sama tylko „Wyprawa Kon-Tiki” rozeszła się w 25 milionach egzemplarzy) pozwoliły Heyerdahlowi na realizację kolejnych wyczynów żeglarskich. W roku 1970 przepłynął przez Atlantyk w łodzi z papirusu. Chciał udowodnić, że prekolumbijskie piramidy pochodzą od egipskich. W 1977 w trzinowej łodzi popłynął z Mezopotamii do Indii. Równolegle prowadził wieloletnie badania archeologiczne na Galapagos i Wyspie Wielkanocnej.

Naukowcy z początku byli sceptyczni wobec jego teorii antropologicznych, z czasem w wielu kwestiach przyznali mu rację. Za wkład w naukę otrzymał aż 11 doktoratów *honoris causa*.

Jego wyprawy z zapartym tchem śledziły miliony ludzi. Dla powojennej publiczności był pokojowym bohaterem, romantykiem, który zamiast z ludźmi, zmagając się z żywiołami. I udowadnia, że nie ma rzeczy niemożliwych.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

MÓWIĘ:

Hańba

Legenda włoskiego i światowego dziennikarstwa po raz drugi w ciągu kilku miesięcy przerywa milczenie. Pierwszy raz odezwała się po zamachach na nowojorskie wieżowce z 11 września 2001 r. W pełnym pasji pamflecie „Wściekłość i duma” zaatakowała świat islamu. Teraz z taką samą pasją broni Izraela i bierze na cel Jasera Arafata oraz jego europejskich sojuszników

Oriana Fallaci o antysemityzmie

TO HAŃBA, że we Włoszech odbywa się pochód, którego uczestnicy przebrani za zamachowców-samobójców niosą zdjęcia przywódców izraelskich ze swastykami wymalowanymi na czołach i wykrzykują nikczemne obelgi pod adresem Izraela, wzbudzając nienawiść do Żydów. Ci ludzie tak bardzo chcieliby znów ujrzeć Żydów w obozach zagłady, w komorach gazowych, w piecach krematoryjnych Dachau i Mauthausen, Buchenwaldu, Bergen-Belsen etc., że sprzedaliby do haremu własną matkę.

TO HAŃBA, że Kościół katolicki pozwala, by biskup¹⁾, mieszkający zresztą w Watykanie, ten arogant, którego kiedyś przyłapano w Jerozolimie z arsenałem broni i materiałami wybuchowymi schowanymi w jego świętym mercedesie, uczestniczył w pochodzie, stał przed mikrofonem i dziękował w imię Boga zamachowcom, którzy masakrują Żydów w pizzeriach i supermarketach, nazywając ich „męczennikami, którzy idą na śmierć jak na święto”.

TO HAŃBA, że we Francji, tej Francji spod szyldu *Liberté, égalité, fraternité*, pali się synagogi, terroryzuje się Żydów, bezczęści ich cmentarze. To hańba, że w Holandii, w Niemczech, w Danii młodzi ludzie obnoszą się z chustami-arafatkami, tak jak Awangardowa Młodzież Mussoliniego obnosiła się z pałkami i odznakami faszystowskimi. To hańba, że prawie na wszystkich europej-



Cmentarz żydowski w Sztrasburgu we Francji zdewastowany 14 kwietnia

skich uniwersytetach panoszą się palestyńscy studenci i podsycają antysemityzm. Że w Szwecji zażądali, aby Szimonowi Peresowi odebrano Pokojową Nagrodę Nobla z roku 1994 i by przekazano ją w całości Arafatowi – temu gołąbkowi z gałązką oliwną w dzióbku. To hańba, że wielce czcigodni członkowie Komitetu wzięli pod uwagę to żądanie i zamierzają je spełnić. Do diabła z Nagrodą Nobla i chwała temu, kto jej nie dostaje.

TO HAŃBA, – znowu wracamy do Włoch – że telewizja publiczna wspiera odrodzony antysemityzm, oplakując wyłącznie ofiary palestyńskie, wykazując powściągliwość wobec ofiar izraelskich, o których mówi krótko i niechętnie. To hańba, że w telewizyjnych debatach goszczą podejmowane z wielkimi honorami kanale w turbanach lub w chustach, które jeszcze wczoraj wystawiały masakrę w Nowym Jorku, a dziś

wystawiają masakry w Jerozolimie, Hajfie, Netanii, Tel Awiwie. To hańba, że prasa robi to samo, że oburza się, kiedy w Betlejem izraelskie czołgi oblegają Bazylikę Narodzenia Pańskiego, i że nie oburza się, kiedy w tym samym kościele 200 palestyńskich terrorystów uzbrojonych w karabiny maszynowe, amunicję i materiały wybuchowe (wśród nich znajdują się przywódcy Hamasu i al Aksy) korzysta z gościny zakonników, którzy potem od żołnierzy z czołgów przyjmują butelki z wodą mineralną i jabłka. To hańba, że pewien znany dziennik, podając liczbę Izraelczyków, którzy zginęli podczas drugiej intifady (412), uznał za słuszne podkreślić wielką czcinką, że w wypadkach drogowych ginie ich znacznie więcej (600 rocznie).

TO HAŃBA, że „L'Osservatore Romano”, dziennik papieża, tego samego papieża, który tak niedawno

został pod Ścianą Płaczu list do Żydów z przeprosinami, że ten dziennik oskarżył o dokonywanie masowej eksterminacji naród, którego miliony członków zostały poddane eksterminacji dokonanej przez chrześcijan. Przez Europejczyków. To hańba, że ocalałym z Zagłady – ludziom, którzy mają jeszcze tatuaż na ramieniu – dziennik ten odbiera prawo do reagowania, do obrony, do zapobieżenia

Bronię prawa Żydów do istnienia, do obrony, do uniknięcia powtórnej zagłady. Wstydę się hańby spadającej na mój kraj i Europę

dalszej zagładzie. To hańba, że księży z naszych parafii, ośrodków pomocy społecznej i innych instytucji działających w imieniu Jezusa Chrystusa – Żyda, bez którego wszyscy oni byłiby bezrobotni – flirtują z zabójcami. Przez nich przeciętny człowiek w Jerozolimie, idąc na pizzę czy po jajka, nie wie, czy jakiś zamachowiec nie wysadzi go w powietrze. To hańba, że ci kapłani opowiadają się po stronie ludzi, którzy zainicjowali terroryzm, mordując nas w samolotach, na lotniskach, na olimpiadach. Że opowiadają się po stronie tych, których bawi zabijanie zachodnich dziennikarzy. Których bawi rozstrzeliwanie, porywanie, podrzwanie gardeł, ścinanie głów. Po ukazaniu się „Wściekłości i dumy” są we Włoszech i tacy, którzy chcieliby to zrobić także ze mną. Recytując werseły z Koranu, nakłaniają swoich braci z meczetu i ze wspólnot islamskich do ukarania mnie w imię Allaha. Do zabicia mnie. Do poniesienia śmierci razem ze mną. Ponieważ dobrze znają angielski, odpowiem im po angielsku: „Fuck you”.

TO HAŃBA, że niemal cała lewica, która 20 lat temu pozwoliła, aby pochodź syndykalistów złożył trumnę (jakby w geście mafijnego ostrzeżenia) przed synagogą w Rzymie, zapomina o udziale Żydów w walce z faszyzmem. Że zapomina o Carlu i Nelli Rossellich, Leone Ginzburgu, Ubertie Terracinim, Leo Valianim, Emilii Serenim^[2], o kobietach takich jak

moja przyjaciółka Anna Maria Enriques Agnoletti rozstrzelana 12 czerwca 1944 r. we Florencji, o 75 Żydach spośród 335 zamordowanych w Fosse Ardentyńskiej^[3], o nieskończonej liczbie innych ofiar, które zginęły na torturach, podczas walki albo przed plutonami egzekucyjnymi. O towarzyszach i nauczycielach z czasów mojego dzieciństwa i pierwszej młodości. To hańba, że między innymi z winy

lewicy, a raczej głównie z winy lewicy – która na swych zjazdach oklaskuje przedstawiciela OWP, lidera Palestyńczyków we Włoszech, tych Palestyńczyków, którzy chcą zniszczyć Izrael – Żydzi z włoskich miast znowu się boją. I tak samo boją się w miastach francuskich i holenderskich, duńskich i niemieckich. To hańba, że patrząc na przemarsz kanalii przebranych za zamachowców, Żydzi trzęsą się, tak jak się trzęśli w Berlinie podczas Nocy Kryształowej, tej nocy, podczas której Hitler rozpoczął Polowanie na Żyda.

TO HAŃBA, że zwykli opor-tuniści – a raczej zwykłe pasożyty – wykorzystują słowo „Pokój”, ulegając głupiej, tchórzliwej, nieuczciwej, a dla nich niezwykle opłacalnej modzie na polityczną poprawność. Że jednostronnie rozgrzeszają nienawiść i bestialstwo w imię słowa „Pokój”, dziś jeszcze bardziej skurwionego niż słowa „Miłość” i „Ludzkość”. Że podburzają zagubionych, naiwnych lub zastraszonych ludzi w imię pacyfizmu – czytaj: konformizmu – oddanego w pacht błaznom i gęgaczom, którzy kiedyś lizali piętę Pol Potowi. Że oszukują tych ludzi, demoralizują ich, cofają o pół wieku do czasów żółtej gwiazdy noszonej na płaszczach. Ci szarlatani, którzy Palestyńczycy obchodzą tyle, co oni sami obchodzą mnie. Czyli nic.

TO HAŃBA, że Włosi i tylu innych Euro-

pejczyków na postać sztandarową obrało sobie pana Arafata. To kompletne zero, które dzięki pieniądzm saudyjskiej rodziny królewskiej odgrywa Mussoliniego i które w swej megalomanii sądzi, że przejdzie do historii jako George Washington Palestyny. To półanal-fabeta, który podczas wywiadu nie potrafi skłecić jednego poprawnego zdania, powiedzieć czegoś dorzecznie. A kiedy musisz potem to wszystko w męczarniach odtworzyć, napisać, opublikować, dochodzisz do wniosku, że w porównaniu z nim nawet Kaddafi staje się Leonardem da Vinci. To fałszywy wojownik, który zawsze chodzi w mundurze jak Pinochet, lecz nigdy nie brał udziału w żadnej bitwie. On wojnę każe prowadzić innym. Tym biedakom, którzy w niego wierzą. Nadęty nieudacznik, który odgrywając rolę szefa państwa, doprowadził do fiaska negocjacji w Camp David, mediację Clintona. „Nie, nie, ja chcę mieć Jerozolimę tylko dla siebie”. Wieczny kłamca, który ma przebłyty szczerości tylko wtedy, gdy *off the record* odmawia Izraelowi prawa do istnienia, i który co pięć minut – piszę o tym w mojej książce – zaprzecza samemu sobie. Zawsze prowadzi podwójną grę, nawet wtedy gdy pytasz o godzinę. Nigdy nie możesz mu ufać. Nigdy! Zawsze cię zdradzi.

To wieczny terrorysta, który potrafi być tylko terrorystą i który w latach 70. – gdy przeprowadzałam z nim wywiad w Ammanie – szkolił terrorystów z grupy Baader-Meinhof. Szkolił też 10-letnie dzieci. Biedne dzieci. Teraz też robi z nich zamachowców. Nauki pobiera setka dzieciaków-samobójców. Setka!

Ten bufon, którego żona żyje w Paryżu obsługiwana i czczona niczym królowa, wpędził swój naród w łajno. I jedyną drogą wydobyć się z tego łajna, którą mu oferuje, jest śmierć. Właśnie tą drogą idą teraz 18-letnie dziewczyny, które chcą dorównać mężczyznom: obwieszają się zwojami materiałów wybuchowych i dają się rozerwać na strzepy razem ze swoimi ofiarami.

A mimo to wielu Włochów go kocha. Kochają go, tak jak kochali Mussoliniego. Wielu innych Europejczyków też go wielbi.



Manifestacja przed ambasadą USA w Warszawie 9 kwietnia. 400 osób protestowało przeciwko okupacji terenów Autonomii Palestyńskiej przez Izrael

tragicznej i szekspirowskiej („Wiem, że przyszła pani po to, aby dorzucić jeszcze jeden skalp do swojej kolekcji” – wymamrotał niemal ze smutkiem, kiedy w roku 1982 przyszłam zrobić z nim wywiad). Z Izraelczykami kłóciłam się często potwornie i w przeszłości wielokrotnie też broniłam Palestyńczyków. Być może bardziej, niż na to zasługiwali. Ale teraz jestem po stronie Izraela, jestem po stronie Żydów. Tak jak byłam w dzieciństwie, w czasach, gdy walczyłam razem z nimi, a różne

Anny Marie ginęły rozstrzeliwane. Bronię ich prawa do istnienia, do obrony, do uniknięcia powtórnej zagłady. I czując wstręt do antysemityzmu wyrażanego przez tyłu Włochów i tyłu Europejczyków, wstydę się hańby spadającej na mój kraj i Europę. Tę Europę, która nie jest żadną wspólnotą państw, ale – co najwyżej – wylegarnią Poncjuszów Piłatów.

I nawet gdyby wszyscy mieszkańcy tej planety mieli myśleć inaczej, ja dalej będę myśleć po swojemu.

ORIANA FALLACI

© 2002 by Oriana Fallaci.
„Panorama”, 12 kwietnia 2002
Przełożyła ANNA WASILEWSKA

^[1] Oriana Fallaci ma na myśli Hilariona Capucciego, byłego grekokatolickiego arcybiskupa Jerozolimy. W roku 1974 skazano go w Izraelu na 15 lat więzienia za przemyt broni dla Palestyńczyków i uwolniono po trzech latach pod presją Watykanu.

^[2] Bracia Rosselli (1899, 1900–1937), włoscy działacze antyfaszystowscy, kuzyni Alberta Moravii, utworzyli w Paryżu stowarzyszenie Sprawiedliwość i Wolność. Zosta-

li zamordowani przez francuskich faszystów na polecenie Mussoliniego. Leone Ginzburg (1909–1944), włoski krytyk i historyk literatury rosyjskiej, działacz ruchu oporu; mąż pisarki Natalii Ginzburg. Zamordowany przez Niemców w 1944 w rzymskim więzieniu Regina Coeli. Umberto Terracini (1895–1983), włoski adwokat, socjalista i polityk. Leo Valiani (1909–2000), włoski historyk, dziennikarz i senator. Emilio Sereni (ur. 1907), włoski historyk. ^[3] W Fosse Ardentyńskiej hitlerowcy rozstrzelali 335 włoskich więźniów w odwecie za akcję ruchu oporu, w której 23 marca 1944 zginęło 32 żołnierzy niemieckich.

Oriana

– wyrzut sumienia

Jest nieugięta, jest błyskotliwa, jest wściekła.
I jeszcze jedno: jest piekielnie zdolna

korespondencje ujawniają zarówno niepospolity temperament Fallaci, jak i jej zdolność do obiektywizmu. A to nieczęsty przymiot u publicysty o tak namiętnym podejściu do podejmowanych tematów. Oriana Fallaci nie jest i nigdy nie była dziennikarką chłodno relacjonującą wydarzenia. Do Wietnamu pojechała jako wielka zwolenniczka komunistycznej partyzantki i równie gorąca przeciwniczka amerykańskiej interwencji. A przecież z jej wietnamskich materiałów wyłania się głęboki podziw dla heroizmu amerykańskich żołnierzy i odraza wobec okrucieństwa, jakiego dopuszczali się oddziały Wietkongu.

Jednak najpełniej talent Oriany ujawnił się w jej wywiadach. Bo nie były to zwykłe rozmowy. Fallaci do każdego przygotowywała się z niezwykłą skrupulatnością, wydobywając spod ziemi najbardziej skrywane fakty z działalności swoich bohaterów. Być bohaterem Oriany Fallaci to i zaszczyt, i groza. Niepospolita dziennikarka sama wybierała sobie rozmówców, a nigdy nie czyniła tego bez powodu. Powód był zresztą zawsze ten sam: człowiek tworzący historię musi się ubrudzić. Spójrzmy na listę indagowanych przez nią postaci. Nie ma tam osób bezbarwnych: libijski dyktator Muammar Kaddafi, szef CIA William Colby, irański przywódca duchowy ajatollah Ruhollah Chomeini, polski elektryk Lech Wałęsa, etiopski cesarz Hajle Selassie I, konstruktor amerykańskiej polityki zagranicznej lat 70. Henry Kissinger, izraelska premier Golda Meir... Jak musieli się czuć, gdy przychodziła do nich drobniutka, ładna Włoszka z kompletnym dossier na temat ich prawości i nieprawości?

Podobnie jak powód był jeden, jedna też była zasada: Oriana nie jest obojętna. Zawsze traktowała swoje tematy jako elementy osobistej walki o sprawiedliwy świat. Jak twierdzili jej koledzy, których los rzucał w te same bolesne miejsca konfliktów, często koloryzowała, byleby obraz pasował do tezy. Pisała zgodnie ze swoim sumieniem, a nie według wymogów obiektywizmu. To była jej krucjata.

Ten sposób pisania i podejścia do tematów uczynił z niej sztandarową postać nurtu określonego mianem Nowego Dziennikarstwa. Jak pisał jej biograf Santo Aricó, zdołała zatrzeć granicę między dziennikarstwem a literaturą. Jej reportaże czyta się bowiem jak powieści, wywiady zaś jak sztuki teatralne z umiejętnie dozowanym i sterowanym napięciem. Aż dziw, że dotąd nie przeniesiono ich na ekran. Zaslugują na to w równym stopniu co trzy opublikowane dotąd powieści Fallaci: „List do nienarodzonego dziecka” (o kobiecie zmuszonej do aborcji), „Człowiek” (o jej wieloletnim partnerze życiowym, greckim rewolucjonście Alexandrze Panagoulisie) i „Inszallach” (o wojnie domowej w Libanie).

Właściwie można powiedzieć, że nie tylko powód i zasada były te same. Ten sam był też zawsze bohater jej reportaży i wywiadów: nazywał się Oriana Fallaci.

Kiedy 10 lat temu wykryto u niej raka, zamknęła się w amerykańskim domu. Stopniowo jej nazwisko wychodziło z medialnego obiegu, nabierając właśnie cech symbolicznych. I gdy już się wydawało, że po pełnej pasji dziennikarce z Florencji pozostanie tylko wspomnienie, w zeszłym roku znów się odezwała. I jak zwykle w sposób spektakularny, egocentryczny i namiętny. Po zamachu z 11 września 71-letnia Oriana przesłała do redakcji dziennika „Corriere della Sera” pamflet na fundamentalizm islamski. W bezwzględny, skrajnie subiektywny sposób rozprawiła się z kolejnym swoim wrogiem. Wezwała białą Europę do czujności, ostrzegając, że rozpoczęła się wojna cywilizacji: „Nie chcecie przyjąć do wiadomości, że oto rozpoczęła się antykrucjata?”. I że w tej wojnie nikt nie będzie brał jeńców.

Czy ma rację? Być może lata odosobnienia pozbawiły ją dawnej wnikliwości, może pozostały tylko przepejzowane goryczą emocje. Ale nie ulega wątpliwości, że Oriana Fallaci wróciła w swoim stylu.

FILIP ŁOBODZIŃSKI



FOT. BEA W

Mało jest w dziejach dziennikarstwa nazwisk-symboli. Nazwisk, które od razu wywołują skojarzenia. Które są synonimami pojęć. Oriana Fallaci, kobieta-legenda, żyje dziś w odosobnieniu na Manhattanie, z rzadka odwiedzając dom w rodzinnej Florencji. Od 10 lat walczy z rakiem, co na miejscu tej strasznej choroby uznałbym za zaszczyt. Bo Oriana Fallaci nigdy nie walczy z byle kim.

Już jako dziecko uczestniczyła we włoskim ruchu oporu. Marzyła o pisarstwie, postanowiła więc dojść do literatury poprzez wytrwałe ćwiczenie w pisaniu. A gdzie najlepiej praktykować styl i dyscyplinę pisarską? W prasie, oczywiście.

Pierwsze kroki stawiała w gazecie „Il Mattino dell'Italia Centrale”, później znalazła pracę w magazynie „Epoca”. Zastąpiła jako agresywna reporterka tygodnika „Europeo”, publikując wnikliwe, sarkastyczne i obrazowe materiały o gwiazdach Hollywood i o astronautach amerykańskich. Jednak gwiazda Oriany rozblęśla niepowtarzalnym blaskiem pod koniec lat 60., kiedy pismo uległo jej prośbom i wysłało ją do Wietnamu. Zebrane później w książce „Nic i amen”

Księga Świętych

Jan
Paweł II
KOLEKCJA

Brat Albert

nazwany
najpiękniejszym
człowiekiem
swojej epoki

Odcinek 27 (2) św. Albert Chmielowski cena 4,29 zł (zawiera VST DQ)
NIEZWYKLE HISTORIE LUDZI WIARY
Księga Świętych



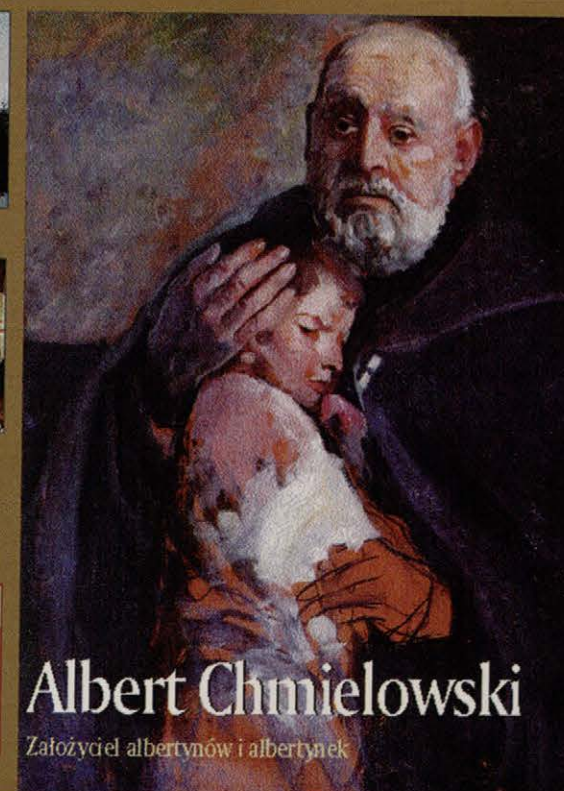
WIEŚĆ KALAJOWKI



WIEŚĆ WSPANIAŁY
ALBERTYNI – SŁUŻY
NAJUBOŻSZYCH

ZBLIZENIA JAKIM
MALARZEM BYŁ ADAM
CHMIELOWSKI

KRONIKA
NOMINACJE
NOWYCH BISKUPÓW
W POLSCE
POKONANIE DUCHA
NA ODCIEKACH



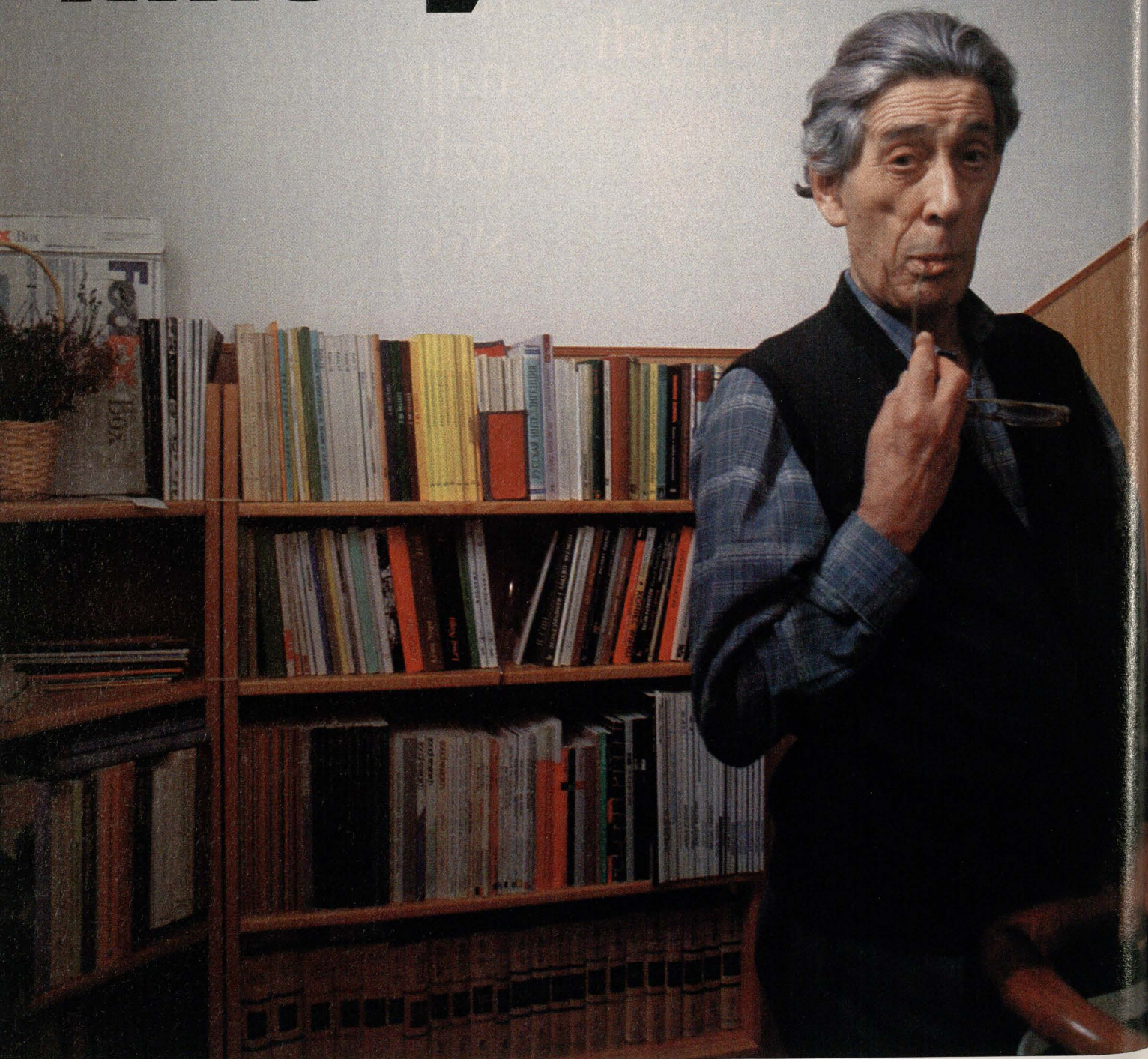
Albert Chmielowski

Założyciel albertynów i albertynek



W kioskach od 25 kwietnia!

I ty zostaniesz Amerykaninem



O życiu na peryferiach cywilizacji, o prowincjonalnych kompleksach Mickiewicza, o amerykanizacji Polski
bazarku na Mokotowie

Z PROFESOREM JERZYM JEDLICKIM ROZMAWIAJĄ WOJCIECH MAZIARSKI I DARIUSZ ROSIAK

WOJCIECH MAZIARSKI, DARIUSZ ROSIAK: Nie wkurzają Pana walentynki i Halloween?

JERZY JEDLICKI: Oczywiście, że wkurzają. Bezmyślne i bezsensowne małpowanie obcych zwyczajów jest irytującą formą snobizmu. Zwłaszcza gdy nie są to tradycje europejskie, lecz specyficznie amerykańskie.

Ale już mój syn nie uważa ich za obce. W jego szkole walentynki funkcjonują na tych samych prawach co mikolajki. Stały się częścią świata, w którym dorasta.

– Bo obce tradycje dają się ośwoić i po jakimś czasie wchodzą w krwiobieg naszej kultury. W podobny sposób dokonują się zmiany w języku. W tej chwili irytują nas jeszcze amerykanizmy wdzierające się potokiem do naszej mowy, lecz po jakimś czasie przestaniemy je zapewne zauważać. Społeczeństwa nie są jednak skazane na bezrefleksyjne przyjmowanie obcych wzorów i terminów. Przykładem choćby słowo „samochód”. Ktoś kiedyś je wymyślił i uznał, że ten wyraz, choć w pierwszej chwili taki śmieszny, będzie jednak lepiej brzmiał w polszczyźnie niż „automobil”. I rzeczywiście, jeździmy dziś samochodami, ale to wymagało odrobiny pomysłowości.

Zalew obcych wzorców kulturowych, które w błyskawicznym tempie wdzierają się do naszego świata, odbieramy jako doświadczenie całkowicie nowe. A to nieprawda, w historii Polski były już precedensy. O jednym z nich pisał Pan w niedawno wznowionej książce „Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują”.

– Tak, w epoce napoleońskiej i potem, w czasach Restauracji po roku 1815, do Europy Środkowo-Wschodniej wlała się fala francuszczyzny. Francuskie wzorce naśladowano w modzie, obyczajach,

języku, prawodawstwie. Właśnie w tamtych latach przejęliśmy z francuskiego całą ówczesną terminologię polityczną i nazewnictwo parlamentarne, dodając co najwyżej rodzime końcówki. Większości z tych słów – takich jak „liberalny” czy „konserwatywny” – używamy do dzisiaj.

XIX-wieczni pisarze i publicyści troszczący się o naszą kulturę narodową wyszydzała to małpowanie Francuzów, widząc w nim psucie języka i obyczajów. Dziś już wiemy, że spora część tego importu oswoiła się i stanowi integralną część naszej kultury.

Mówi Pan, że przykład francuski był kopiowany w całej Europie Środkowo-Wschodniej. Więc nie tylko Polacy mają skłonność do papugowania innych?

– Oczywiście, że nie. Dzisiejsza inwazja kultury amerykańskiej też obejmuje cały świat, a nie tylko Polskę czy Europę Środkowo-Wschodnią. Ta fala zalewa wszystkie społeczeństwa, które uczestniczą w globalnej wymianie kulturalnej... chociaż słowo „wymiana” nie jest tu najlepsze, bo w zamian za to, co bierzemy z Ameryki – to znaczy za całą tę kulturę hollywoodzko-serialową, lecz także za naukę i technologię – Ameryka niczego nie potrzebuje od nas.

A wtedy, w XIX wieku, Francuzi brali coś od nas w zamian za swoje „parlamentaryzmy”, „liberalizmy” i „konserwatyzmy”?

– Też nie. Od czasów średniowiecza w świecie kultury europejskiej jesteśmy – cóż tu ukrywać – peryferią, która importuje wiele wzorów, niewiele zaś eksportuje. To Zachód zawsze wytwarzał nowe style artystyczne, idee polityczne, teorie naukowe, wynalazki, przedmioty, mody – a my to wszystko sprowadzaliśmy, przystosowując

lepiej lub gorzej do naszych potrzeb. Przez wszystkie te wieki nasze miejsce w międzynarodowym obiegu kulturalnym się nie zmieniło, przesuwano się natomiast geograficzne usytuowanie centrum. Dziś mieści się ono bardziej w Ameryce niż w Europie.

Żyjemy na peryferiach? Słyszcząc to, wielu Polaków się żachnie. Przecież wnieśliśmy wkład do kultury światowej. Polakami byli Kopernik, Chopin, Skłodowska...

– Termin „peryferia” ma charakter opisowy, nie wartościujący, i nie oznacza, że jedna kultura jest gorsza od drugiej albo mniej oryginalna. Oznacza tylko, że kultura peryferii jest mniej atrakcyjna dla innych narodów. To łatwo sprawdzić na podstawie obiektywnych kryteriów: W którą stronę dokonuje się emigracja? W którą stronę wędrują talenty? Skąd dokąd młodzi ludzie jadą studiować? A kto skąd sprowadza dzieła sztuki? W jakim kierunku przemieszczają się mody?

Można się zżymać, że w Polsce zawsze grano muzykę niemieckich kompozytorów, wystawiano włoskie i francuskie opery, natomiast nasza twórczość była za granicą prawie nieznaną. To sytuacja psychologicznie trudna do zaakceptowania, dla niektórych może wręcz upokarzająca. Tym ważniejszy stał się więc dla Polaków Chopin, którego zna i słucha cały świat.

Jednostki pochodzące z peryferii, które zostały zauważone w świecie, są przez swych rodaków otaczane szczególną czcią i uwielbieniem. To nie jest polska specjalność, podobnie reagują inni mieszkańcy peryferii: Litwini, Chorwaci, Węgrzy, Czesi czy Portugalczycy.

A jednocześnie w tych peryferyjnych krajach do głosu dochodzi niechęć do kultur dominujących. Dziś w Europie można usłyszeć opinie

JERZY JEDLICKI

(ur. 1930) jest profesorem w Instytucie Historii PAN, gdzie kieruje Pracownią Dziejów Inteligencji. Zajmuje się historią społeczną i historią idei. Wśród jego książek jest między innymi „Świat zwyrodniały. Lęki i wyroki krytyków nowoczesności” (wydawnictwo Sic!, 2000). Drugie, poprawione, wydanie książki „Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują. Studia z dziejów idei i wyobraźni XIX wieku” ukazało się w marcu br. nakładem wydawnictw W.A.B. i CiS.

FOT. ARTUR PAWŁOWSKI

krytykujące Amerykanów za kultu-
ralny imperializm. W XIX wieku kry-
tykowano wpływy francuskie. Mau-
rycy Mochnacki postulował wręcz,
żeby zaniechać tłumaczenia obcych
dzieł na polski.

– Mochnacki był romantykiem,
podstawową wartością było dla nie-
go zachowanie rodzimego charakte-
ru kultury. To piękna idea – chociaż
niekoniecznie realistyczna. Akurat
w dziedzinie literatury i sztuki naro-
dy peryferyjne mogą niekiedy, za-
chowując swój charakter, podjąć
równorzędną rywalizację z centra-
mi światowymi. W konkurencji go-
spodarczej i naukowo-technicznej
nie mają szans, bo są za biedne i nie
dysponują odpowiednimi laborato-
riami ani ośrodkami przemysłowy-
mi. Natomiast w sferze ducha i my-
śli przewaga wynikająca z posiada-
nia całej tej cywilizacyjnej infra-
struktury traci na znaczeniu. Mic-
kiewicz, żyjąc w prowincjonalnym
Wilnie, znał literaturę angielską,
francuską, niemiecką, poznał póź-
niej i rosyjską – i był równorzędnym
partnerem dla wielkich poetów two-
rzących w tych językach. A mimo to
nigdy nie zdobył równej im świato-
wej sławy.

Lecz i u niego łatwo można doszukać
się kompleksu prowincjusza. Mickie-
wiczowska idea mesjanizmu i wizja
Polski jako Chrystusa narodów pod-
szyta jest urazami i kompleksem niż-

szości. Także dziś można się spotkać
z podobnymi postawami u ludzi gło-
szących tezę, że tak naprawdę to
Europa zaciągnęła u Polaków dług
wdzięczności.

– Warstwy wykształcone naro-
dów peryferyjnych często tworzyły
ideologie mające złagodzić ich po-
czucie uzależnienia. W naszej czę-
ści świata – bynajmniej nie tylko
w Polsce – pojawił się mit „przed-
murza chrześcijaństwa” czy Euro-
py, który głosił, że oni tam, na Za-
chodzie, mogli się spokojnie rozwi-
jać, bo my ich od wieków osłania-
liśmy własnymi pierściami – przed
Tataami, Turkami, schizmatykami,
Moskalami, bolszewikami.

Takim mitem kompensacyjnym
może też być ideologia pogardy
dla zgniłego, materialistycznego,
skorumpowanego moralnie Zachodu.
Ten sposób myślenia najpełniej
rozwinęli rosyjscy słowianofile, ale
przecież w Polsce także rozlegały
i rozlegają się głosy, że, owszem,
oni tam, na Zachodzie, mogą mieć
wspaniałe budowle, maszyny, wy-
nalazki, odkrycia, systemy filozo-
ficzne – ale my za to mamy głębię
duchową, nieskażoną przyrodę
i wizję wielkiej przyszłości.

Formułując tego typu ideologie,
mieszkańcy obrzeży mający dot-
kliwe poczucie niedoceniania
przez tych, na których opinii naj-
bardziej im zależało, starali się za-
głuszyć swoje kompleksy. Jednak

od rzeczywistości nie da się uciec.
Trzeba po prostu uznać historycz-
ny fakt naszej zależności od głów-
nych ognisk cywilizacji, a dopiero
potem zastanawiać się, w jakich
dziedzinach i jakim sposobem
można się od tej zależności uwol-
nić. Tak postępowali ludzie oświe-
cenia, a potem pozytywści.

**Postulat, by przyjmować do wiado-
mości fakty, jest oczywisty, a mimo
to mieszkańcy peryferii często się
przeciw faktom buntują. W Pańskiej
książce znaleźliśmy informację, któ-
ra nas zdumiała: szlachta polska do-
magata się, by zabronić młodzieży
podróżowania za granicę.**

– To była jedna z uchwał raz
po raz podejmowanych na sejm-
kach szlacheckich w XVIII wieku.
Domagano się, by zakazać mło-
dzieży szlacheckiej wyjazdów
na Zachód, bo stamtąd pochodzi
całe zepsucie obyczajów. Oczywi-
ście, było to zaklinanie rzeczywi-
stości, bo kto chciał wysłać dzieci
za granicę, ten i tak je wysyłał.

**Nasza epoka też ma swoje zakłęcia.
Czy głosy wzywające do walki
z supermarketami nie przypominają
Panu tamtych nieskutecznych uchwał
sejmików szlacheckich?**

– Nie. To nie to samo. Rozmowę
zaczęliśmy od tego, że zapytaliście
panowie, czy nie drażnią mnie
zapożyczenia z amerykańskiej kul-

**Amerykańska
popkultura
wypiera i niszczy
lokalne kultury
narodowe.
Czy musimy się
na to zgadzać?**

tury i obyczajowości. Powiedziałem
wyraźnie, że niektóre z nich mnie
drażnią, chociaż oczywiście widzę
wiele rzeczy, które jak najbardziej
warto naśladować i przyswoić.
Na przykład amerykańską punktu-
alność i sprawność organizacyjną.

Nie czuję się upokorzony fak-
tem, że Polska nie należy do cywi-
lizacyjnej awangardy świata. Nie
próbuję wymyślać teorii odwracają-
cych świat do góry nogami i głosz-
ących, że w gruncie rzeczy to my je-
steśmy w czołówce. Nie buntuję się
przeciwko rzeczywistości i nie
zgłaszam pomysłów takich jak ka-
toliczno-narodowa prawica, która
pod hasłem obrony rodziny i trady-
cyjnych wartości chciałaby nas od-
gradzić od współczesnego świata.

Ale to przecież nie oznacza,
że muszę się radować bezmyślnym
małpowaniem wszystkiego,
co jest na Zachodzie. Uznaję, że
Stany Zjednoczone mają najlepsze

komputery na świecie, imponują mi
amerykańskie osiągnięcia naukowe,
lecz nie mam wielkiej ochoty prze-
jmować amerykańskiego stylu życia.

Nie znam się na ekonomii han-
dlu, ale supermarketów nie cierpię.
Lubię małe bazy czy pasażerów han-
dlowe, takie jak ten, który mam ko-
to domu na Mokotowie. Rzecz
w tym, że w konkurencji z molo-
chami małe sklepy przypuszczalnie
polegną, a to już będzie zmiana
kultury życia codziennego.

Problem polega na tym, że nie-
zależnie od tego, czy się nam to
podoba, czy nie, amerykańskie
wzorce kulturowe stały się dla mi-
lionów ludzi niesłychanie atrakcyj-
ne. Kina na całym świecie grają fil-
my amerykańskie – i nie jest to za-
den spisek, tylko skutek faktu, że
ludzie to właśnie chcą oglądać.
W ten sposób amerykańska kul-
tura popularna wypiera i niszczy
lokalne kultury narodowe. Czy
musimy się na to zgadzać?

**Z naszej niezgody niewiele wynika.
Prawo nakazuje używać polskich
nazw, a nasze ulice i tak roją się
od „shopów” i „marketów”. Kraje
Unii Europejskiej promują rodzimą
produkcję filmową, a publiczność
i tak wybiera filmy hollywoodzkie.
Czy to nie walka z wiatrakami?**

– Walka z wiatrakami to walka
z przeciwnikiem urojonym – a ten
przeciwnik urojony nie jest. Czy ja

mam się cieszyć z tego, że polskie
kino, które miało tak wybitne osią-
gnięcia twórcze i tak ważne dla na-
szej świadomości narodowej, pada
pod naporem amerykańskiej kon-
kurencji? Jeśli ostatecznie padnie,
to już się nie odrodzi. Warto więc
chyba wesprzeć je środkami pu-
blicznymi i odpowiednią zachętą.

**A może to, co nas zalewa, to po pro-
stu globalna kultura XXI wieku? Mo-
że to wcale nie jest kultura amery-
kańska, tylko my ją tak postrzegamy,
bo tam najwcześniej zaczęła się kry-
stalizować i stamtąd do nas dociera?
Wzorce kulturowe, które Polacy ko-
piowali po Wielkiej Rewolucji Fran-
cuskiej, też były początkowo postrze-
gane jako „francuszczyzna” – ale dziś
już wiemy, że ideały wolności, rów-
ności, braterstwa są wartościami
uniwersalnymi.**

– Proszę pana, może ja jestem
za stary albo mam zbyt konserwa-
tywne gusta, ale jakoś nie potrafię
się dopatrzeć wielkich humani-
stycznych wartości w tej telewi-
zyjno-popkulturowej masówce.
Dostrzegam za to zasadniczą różni-
cę między współczesnym impor-
tem rozrywkowym z USA a sprowa-
dzonymi ongiś z Francji ideami
praw człowieka i obywatela.

**Z Francji w XVIII i XIX wieku importo-
waliśmy różne rzeczy. Nie tylko wiel-
kie idee, lecz także płytkie snobizmy**

**i paryskie mody, które polska litera-
tura wyśmiewała.**

– Ale co z tego przetrwało
do naszych czasów? Tylko idee
i instytucje. Mody paryskie prze-
minęły.

**Więc może to samo stanie się te-
raz? Z amerykańskiej fali spłynie
popkulturowa piana i zostaną tylko
trwałe wartości?**

– A jakież to?

**Na przykład idea powszechnego
dostępu do informacji i dóbr kultury
ucieleśniana przez Internet i nowo-
czesne media.**

– To są tylko technologiczne
narzędzia. Nie mam nic przeciwko
nim, posługuję się nimi, bo ułatwia-
ją mi pracę. Jednakże nowoczesna
technologia pozwala tworzyć i prze-
kazywać zarówno informację na-
ukową i dzieła sztuki, jak i zwykłe
śmieci. Narzędzia same w sobie nie
są wartością, jedynie techniką.

Podobnie jak demokracja.

– Tak, demokracja w pewnym
sensie też jest procedurą, czyli tech-
niką działania. Ale jest także czymś
więcej. Jej podbudową są idee uni-
wersalne związane z obywatelskim
etosem uczestnictwa w życiu pu-
blicznym.

**Kanały umożliwiające przekazywanie
informacji też są czymś więcej niż**

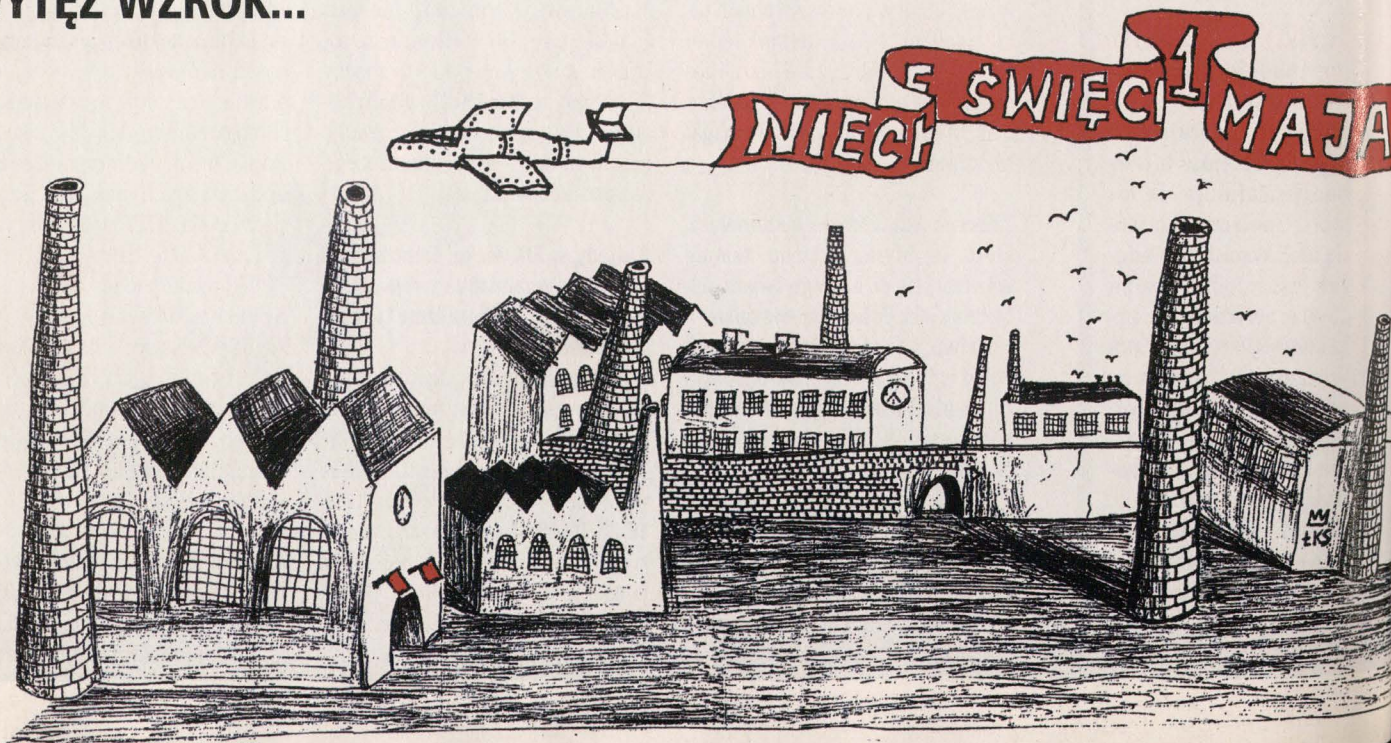
**technologią. Ich podbudową jest uni-
wersalna idea powszechnego dostę-
pu do wiedzy i informacji. Lepiej po-
informowani obywatele mogą być
lepszymi obywatelami.**

– Pod warunkiem, że te kanały
są do tego używane. Stajemy tu
w obliczu tego samego problemu,
który pojawił się już w czasach
Gutenberg: druku też można uży-
wać zarówno do publikowania wiel-
kich dzieł, jak i do powielania spro-
śności czy literatury jarmarcznej.

Ja bardzo sobie cenię fakt,
że dzięki nowoczesnym środkom
przekazu wiem natychmiast, co się
dzieje w Polsce i na świecie, i że
mam ponadto dostęp do wspania-
łych dzieł sztuki z całego świata.
Albo że dzięki odtwarzaczowi CD
mogę słuchać najznakomitszych
nagrań. Jednak ta sama technika
różnym ludziom służy do różnych
rzeczy. Na przykład znakomicie
potrafią się nią posługiwać populi-
styczni demagodzy. Andrzej
Lepper nie zaistniałby w naszym
życiu publicznym, gdyby nie nowo-
czesna technologia. Wykreowała go
przecież telewizja, a telefon komór-
kowy był narzędziem, za pomocą
którego skrzykiwał zwolenników
i organizował awantury. Bez telewi-
zji i komórek Lepper byłby co naj-
wyżej sołtysem w swojej wsi.

**Czy jednak fakt wykorzystywania no-
wych technologii przez ludzi małych**

WYTEŻ WZROK...



...i znajdź 28 szczegółów, którymi
różnią się te dwa rysunki Mariusza
Wilczyńskiego. Rozwiązanie na str. 112.

lub nikczemnych jest dostatecznym uzasadnieniem ich odrzucenia? Przecież każdy, nawet bardzo pożyteczny, wynalazek może zostać wykorzystany do niecnym celów.

– Oczywiście. Nie ma sensu buntować się przeciw technice i nauce, nawet jeśli ich produkty uboczne bywają czasem nieprzyjemne. Toteż ja się nie buntuję. Stwierdzam tylko, że nowoczesne narzędzia przekazu informacji same w sobie nie są wartością.

A czy nie jest wartością to, że moja córka w Warszawie ma takie same możliwości jak jej rówieśnicy z USA czy Francji? Ogląda te same filmy, czyta te same książki, w Internecie zagląda na te same strony, słucha tej samej muzyki, uczestniczy w tych samych debatach.

– Zgoda, wyrównywanie szans i możliwości jest argumentem, który zasługuje na poważne rozważenie. Rzeczywiście, dziś miejsce, w którym się żyje, nie jest już tak ważne, jak było kiedyś. Młodzież zna obce języki, podróżuje, komunikuje się z rówieśnikami przez Internet, poznaje ich obyczaje. Czy cały świat pójdzie w tym kierunku? Być może. Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać ta nowa synkretyczna rzeczywistość, bo moja osobowość formowała się w innej epoce: czuję się silnie związany z miejscem i lokalną kulturą. Prawie całe życie spędziłem w Warszawie.

Mój sprzeciw budzą jednak inne cechy tego modelu cywilizacyjnego, który zaczyna się u nas przyjmować. Groźny i szkodliwy wydaje mi się kult oglądalności i słuchalności. Dobre jest to, co ma wielu odbiorców. Panowie jako dziennikarze doskonale wiecie, jaki wpływ wywierają na czytelników wszelkie statystyki, rankingi popularności, listy bestsellerów. One formują odbiorców, manipulują nimi, kształtują ich postawy i gusty. Apeluja do nich: wszyscy czytają tę powieść, więc czytaj i ty; wszyscy oglądają „Big Brothera” – oglądaj i ty.

A czym to się różni od kształtowania gustów w XIX-wiecznych salonach? Spotykali się tam przedstawiciele warstw oświeconych, rozmawiali, dyskutowali, recytowali – i w ten sposób formułowali ówczesną listę



FOT. WOITEK DRUSZCZ

bestsellerów, w której „na topie” mógł być na przykład Byron. Uczestnik tych spotkań odbierał komunikat: wszyscy czytają Byrona – przeczytaj i ty.

– Zasadnicza różnica polega na tym, że wówczas istniał wyraźny podział na kulturę wysoką i kulturę popularną. W tej pierwszej uczestniczyła nieliczna mniejszość, która tworzyła nowe wartości i idee. W dziejach cywilizacji ludzkiej to, co wielkie i doniosłe, zawsze było tworzone przez elitarne środowiska – i dopiero po upływie długiego czasu akceptowała to publiczność.

Tymczasem w modelu kultury, który dziś przejmujemy z Zachodu, masowość odbioru staje się podstawowym wyznacznikiem wartości dzieła. Twórczość adresowana do węższego kręgu odbiorców jest stopniowo eliminowana z programów telewizyjnych, kin, łamów prasy – bo nie przyciąga reklam, nie przynosi zysku. W ten sposób presja rynkowa dławi kulturę wysoką, wypiera ją z nisz, w jakich wcześniej mogła się rozwijać.

W XIX wieku Byrona czytał ułamek promila populacji. Dziś Miłosza czyta i rozumie równie mało ułamek promila populacji. Może więc nic się nie zmieniło?

– Zmieniło się to, że dziś już wszyscy umieją trochę czytać,

W dziejach cywilizacji to, co naprawdę wielkie, zawsze było tworzone przez elity. Tymczasem dziś panuje kult oglądalności: dobre jest tylko to, co ma wielu odbiorców

a tym bardziej słuchać piosenek i oglądać obrazki, więc rynek zbytu dla produktów kultury rozrósł się do rozmiarów, jakie dawniej były niewyobrażalne. Dzięki temu kultura masowa stała się potęgą ekonomiczną, a kultura elitarna ledwo zipie w jej cieniu.

100 czy 200 lat temu kultura wysoka też nie była bogata. Poeci i pisarze biedowali, szukali mecenasów...

– Tu nie chodzi o materialny poziom życia, bo dzisiejszym twórcom powodzi się mimo wszystko lepiej niż ich poprzednikom. Nie umierają na gruźlicę, nie głodują, nie chodzą w podartych spodniach i dziurawych butach. Mogą zwykle wydać książkę czy nagrać płytę. Pytanie tylko, jak tę książkę lub płytę wypromować, jak z nią dotrzeć do odbiorców, co zrobić, by nie zginęła w tym potwornym zgiełku informacyjnym, przez który przebijają się niekoniecznie to, co najcenniejsze.

Zgiełk jest wynikiem tego, że powstało społeczeństwo masowe, które umie czytać. Rynek oferuje masowemu odbiorcy wszystko, co tylko da się sprzedać. Czy to źle?

– Ależ skąd, to bardzo dobrze. Jeśli z moich wypowiedzi nie wynikało to dostatecznie jasno, to teraz chcę podkreślić: w przemianach cywilizacyjnych, które dokonują się w nas i wokół nas, zdecydowanie przeważają korzyści. Kto o zdrowych zmysłach będzie kwestionował dobrodziejstwa, jakie przynoszą postępy medycyny czy rolnictwa, szybkość i łatwość komunikacji czy rozpowszechnienie zasad demokratycznych i humanitarnych? Ale ponosimy też straty, choćby w sferze związanej z naszą tożsamością, poczuciem zakorzenienia, poszanowaniem indywidualności ludzi i narodów. I właśnie o tych stratach rozmawialiśmy.

Rozmawiali **WOJCIECH MAZIARSKI** i **DARIUSZ ROSIAK**

Zgoda na trawę

Na naszych oczach zmieniają się obyczaje.

Dziś na Wyspach nawet 12-latki doskonale wiedzą, że żargonowe określenia *spliff*, *joint* czy *jay* oznaczają trawkowego skręta

Późnym popołudniem w sobotę Dziecko poszło się bawić. Odwieźliśmy je pod drzwi ogniska muzycznego w południowym Londynie, gdzie zorganizowano kwartalną potańcówkę. Dziecko ma prawie 15 lat (jest „prawie dorosła”, jak powiada...) i twierdzi, że nie można mu odmówić tej przyjemności, bo przez kilka miesięcy pilnie ćwiczyło gamy na wiolonczeli, a poza tym wszystko jest oficjalnie zorganizowane, schludnie i bezpiecznie, pod kuratelą „ogniskowych” opiekunów. Przy wejściu na zaciemnioną salę zapewnił nas o tym jeszcze nadopiecznik całego towarzystwa, „pan od altówek”, absolwent Royal College of Music, co wydało mi się raczej zaskakujące, gdyż na oko przypominał jednego z bohaterów serialu „Stawiam na Tolka Banana”. Ale taktownie zmilczałem, bo wytykanie 26-latkowi, że wygląda o 10 lat młodziej, nie należy chyba do najlepszego tonu. W drodze powrotnej, gdy zostawiliśmy już Dziecko na pastwę losu (i „Tolka Banana”...), Żona zajęła się na chwilę wertowaniem w samochodzie podręcznego planu miasta, po czym z westchnieniem ulgi powiedziała: „Całe szczęście, że zabawa odbywa się w Southwark, a nie w Lambeth”.

Różnica nie jest czysto topograficzna: od pół roku z górą gmina Lambeth prowadzi eksperymentalny program liberalnego podejścia do marihuany i innych pochodnych konopi indyjskich. Reforma polega na tym, że policjanci nawet po zatrzymaniu delikwenta posiadającego tej klasy narkotyki na własny użytek (co, formalnie rzecz biorąc, w Wielkiej Brytanii jest nielegalne; za posiadanie marihuany grozi wyrok do pięciu lat więzienia oraz grzywna w wysokości siedmiu tysięcy dolarów) nie aresztują go, tylko udzieliwszy ustnego naomniowania, konfiskują znalezione trawkę.

Kiedy wprowadzono program, krytyków nie brakowało, poirytowanych zwłaszcza tym, że za sprawą Lambeth czyn karalny w jednej stołecznej dzielnicy w innej już karalny nie jest, co łamie zasadę równości prawa. Szybko rozeszła się też fama, że Lambeth stało się magnesem dla amatorów witaminy „m” z całej Anglii i nie tylko. Znajomi opowiadali nam kilka tygodni temu, że atmosferę w liberalnej gminie można było ciąć przysłowiową siekierą, tak się tam dymi, a „stójkowi miast karcić łobuzów, służyć im ogniem i przypalają skręty”.



FOT. CORBIS/REX

Uczestnik marszu na rzecz legalizacji marihuany przebrany za policjanta

I jaki rodzic przy zdrowych zmysłach chciałby wysłać swoje potomstwo w takie okolice?

Myśl o tym, że Dziecko bawi się poza granicami eksperymentalnej dzielnicy, napawała nas więc w ten trudny wieczór otuchą. Tuż przed dziesiątą zadzwoniła jednak matka koleżanki Dziecka, która miała odebrać dziewczynki po zabawie. W trakcie rozmowy okazało się, że gmach, w którym szaleją właśnie nasze latorośle, mieści się jednak – o zgrozo! – w Lambeth, bo nasz plan Londynu jest nieaktualny. Opadły nas najczarniejsze przeczucia. Wyobraźnia zaczęła podsuwać scenki rodzajowe z udziałem pokątnych handlarzy i naiwnie ulegającego im Dziecka.

Na szczęście rodzicielski mechanizm obronny kazał nam – miast popadać w rozpacz – poszukać źródłowych informacji za pośrednictwem Internetu. Oficjalne dane o eksperymencie w Lambeth przeczyły opiniom o stworzeniu wielkiego narkotykowego bazaru na terenie gminy. Pilotażowy program polegał w końcu na konfiskowaniu znalezionej towaru, więc zachęta dla kupujących była znikoma. Natomiast oszczędności poczynione w trakcie eksperymentu są według ekspertów niebagatelne. Policjanci mogli się zająć łapaniem złodziei, gwałcicieli i morderców. O prawie 20 procent zwiększyła się liczba aresztowań za poważniejsze przestępstwa.

Eksperyment zostanie wkrótce rozszerzony na pozostałe z 32 londyńskich gmin, gdyż minister spraw wewnętrznych rozważa możliwość złagodzenia ustaw w oparciu o doświadczenia z Lambeth. Ponoć domaga się tego prawie 40 procent Brytyjczyków odrzucających tezę o „równi pochyłej”, zgodnie z którą kontakt z narkotykiem klasy C, takim jak marihuana, niechybnie musi doprowadzić do narkomanii w „twardszej” postaci.

Na naszych oczach zmieniają się obyczaje. Dziś na Wyspach nawet 12-latki doskonale wiedzą, że żargonowe określenia *spliff*, *joint* czy *jay* oznaczają trawkowego skręta. Może więc rzeczywiście nie chodzi tu o karalność, ale o edukację i przygotowanie do świadomych wyborów – Lambeth prędzej czy później będzie wszędzie.

Krótko po 11 wieczorem rozległo się stukanie do drzwi. Dziecko wróciło, podrzucone przez matkę koleżanki. Było zmęczone, więc coś tylko przekąśliło i poszło spać. Zabawa – jak nam opowiedziało następnego dnia rano – była pyszna. „Owszem, starsi koledzy coś tam palili, zawsze tak jest”, dodało, wychodząc z kuchni. Popatrzyliśmy z Żoną na siebie: lepiej się z tą myślą oswoić, czyli... tłumaczyć, a potem drzeć i ufać. Jak na rodzica przystało.

TADEUSZ JAGODZIŃSKI

Powrót czasu otowiu

PIOTR KOWALCZUK

W miesiąc po zabójstwie rządowego eksperta prawa pracy profesora Marca Biagiego Włosi ciągle się boją. Pamięć o Czerwonych Brygadach i dawno zapomnianej wojnie odżyła z niesłychaną siłą. Czy odżyły również Czerwone Brygady?

19 marca profesor Biagi skończył zajęcia na uniwersytecie w Modenie. Jak zwykle pojechał na stację i wsiadł w pociąg do Bolonii. Po dotarciu na miejsce profesor wsiadł na zaparkowany przed dworcem rower i ruszył do domu. W trop za nim pojechał młody człowiek na motorowerze. Po drodze Biagi zatelefonował do żony, uprzedzając ją, że doje-

dzie za 10 minut. W sam raz, by wstawić wodę na kluski. Motorowzysta przekazał informację trzem mężczyznom czającym się w podcieniach via Valdonica, gdzie mieszkają państwo Biagi. Kiedy przed 20.30 profesor postawił rower przy drzwiach kamienicy i otwierał drzwi, ugodziły go cztery kule. Mężczyzna w motocyklowym kasku zasłaniającym

twarz strzelał mu w plecy. Profesor zginął na miejscu i chyba nawet nie widział swego zabójcy. Inny młody człowiek w podobnym kasku wyrwał niezgrabnie na drzwiach symbol Czerwonych Brygad: otoczoną kołem pięcioramienną gwiazdę. Na ścianie obok przybił pieczętkę z napisem: „Cel osiągnięto - Br” (Br to skrót od Brigade Rosse). Obaj zamachowcy odjechali skuterem i wszelki ślad po nich zaginął. Świadkowie, z których żaden nie widział morderstwa, mówią o znajdującym się w pobliżu trzecim mężczyźnie z gołą głową. Policja domyśla się, że ubezpieczał sprawców zamachu.

To ostatnia z kilku policyjnych wersji wydarzeń. Wynika z niej, że w akcji brało udział co najmniej siedem osób. Jak się jednak wydaje, dochodzenie drepce w miejscu. Włoska policja zwróciła się z prośbą do państw-właścicieli satelitów szpiegowskich: może dysponują zdjęciami z 19 marca z via Valdonica?

Artykuł 18

Marco Biagi podpisał na siebie wyrok śmierci, opracowując rządową Białą Księgę o Rynku Pracy. Była uzasadnieniem potrzeby zmian i miała stanowić punkt wyjścia do dyskusji na temat kodeksu pracy we Włoszech. Lewicowe związki zawodowe (choć nie tylko one) sprowadziły całą dyskusję do walki o artykuł 18 kodeksu pracy, który niesprawiedliwie zwolnionym zapewnia powrót na stanowisko. Rząd też mocno okopał się na swoich pozycjach, odmawiając utrzymania przepisu w nowym kodeksie. W ten sposób „Artykuł 18” stał się hasłem wywoławczym ostrego konfliktu społecznego. Co więcej, symbolem planowanych zmian stał się również Marco Biagi. W przemówieniach związkowców zaczęło padać jego nazwisko, choć w opracowanej przez niego Białej Księdze nie było ani słowa o artykule 18. Biagiemu, który był zarówno ekspertem ministerstwa, jak i Confindustrii (związku

przedsiębiorców), zarzucono, że gra na dwa fronty. Jako że profesor był przedtem także ekspertem lewicowych związków i lewicowego rządu, zaczęły padać oskarżenia o zdradę klasową.

Zamachowcy

20 marca po południu, w dzień po zamachu, do bolońskiego dziennika „Il Carlino” zadzwonił mężczyzna. Mówił bez żadnego regionalnego akcentu, co znaczyło, że jest wykształconym Włochem: „To my - Czerwone Brygady. Przyznajemy się do zamachu na profesora Biagiego. Oczekujcie komunikatu”.

I rzeczywiście, późnym wieczorem 26-stronicowy elaborat sygnowany przez Czerwone Brygady - Komunistyczną Partię Walczącą (Br-Pcc) wysłany został przez telefon komórkowy pocztą elektroniczną do wszystkich ważniejszych włoskich mediów. Tekst natychmiast poddano badaniom lingwistów i komputerów, konsultowano również „nawróconych” brygadzystów starszej daty. Jak na razie jednak autorzy komunikatu pozostają

nieznani. Dokument spisano ciężkim, biurokratycznym stylem i pseudonaukowym marksistowskim żargonem. Zdania ciągną się przez kilkanaście linijek i są tak skomplikowane, że potrzeba maksimum koncentracji, by je zrozumieć. Pisali je albo uczestnicy niekończących się dyskusji w jacejkach Czerwonych Brygad, albo ktoś, kto znakomicie umiał ten męczący i dęty styl podrobić.

Jednak prowadzących śledztwo o wiele bardziej od tych zawiłości zaniepokoił fakt, że autorzy przyznają się również do zabójstwa 20 maja 1999 r. w Rzymie profesora Massima D'Antony, wówczas rządowego eksperta ministerstwa pracy. Rzeczywiście, okoliczności obu zamachów były niepokojąco podobne. D'Antona również zginął pod swoim domem. Zabójcy też używali skuterów. Morderstwo tłumaczyli w 28-stronicowej epistole jako kolejną bitwę w długiej wojnie klas. Podpisali się też jako Br-Pcc.

Następnego dnia znikły ostatnie wątpliwości. Minister spraw wewnętrznych Claudio Scajola w transmitowanym przez telewizję wystąpieniu w parlamencie poin-

formował: „Profesorów D'Antone i Biagiego zastrzelono z tego samego pistoletu”.

Trudno było o gorszą wiadomość. Znaczyło to bowiem, że we Włoszech od kilku lat działa świetnie zorganizowana grupa ludzi zdolnych w każdej chwili do przeprowadzenia perfekcyjnego mordu. Robią to z pobudek ideowych, więc są fanatykami. Ale nie są samobójcami. Działają ostrożnie i potrafią czekać. Oba zabójstwa dzielą jednak niemal

trzy lata. W tym czasie grupa podpisała się pod kilkoma zamachami bombowymi, w których nie było ofiar w ludziach, i wydała kilka manifestów. Są tak znakomicie wtopieni we włoskie społeczeństwo, że przez trzy lata nie udało się nikogo ująć. Niemal na pewno pracują zawodowo. Nie muszą się więc ukrywać, finansować swojej działalności rabunkami czy zabiegać o pieniądze od potężnych ideologicznych czy taktycznych sojuszników - jak czyniły to „stare” Czerwone Brygady.



Renato Curcio
razem
ze swoją żoną
Margheritą Cagol
założyli
w Mediolanie
w roku 1970
Czerwone
Brygady



Aldo Moro, 1978

O ile we Włoszech nikt raczej nie wątpi, że zamachów dokonała grupa szaleńców podpierająca się bełkotliwą i wyjętą z lamusa ideologią, hipotez na temat „kto za tym stoi” i „kto na tym skorzystał” pojawiło się mnóstwo. Pierwszy i najbardziej logiczny trop prowadzi ku Czerwonym Brygadam.

Czerwone Brygady

Organizację założyła w roku 1970 w Mediolanie para małżeńska: Renato Curcio (ur. 1941, od 1976 w więzieniu) i Margherita Cagol (zastrzelona przez policję w oblężeniu w 1975). Celem Czerwonych Brygad było stworzenie rewolucyjnego państwa marksistowsko-leninowskiego i zerwanie wszelkich związków łączących Włochy z Zachodem. Postanowili toczyć walkę z państwem, które określali jako

„imperialistyczny zlepek wielonarodowych korporacji”. Organizacja skupiała głównie młodych studentów i intelektualistów skrajnej lewicy, uczestników studenckiej lewicowej rewolty, jaka przetoczyła się przez Europę Zachodnią u schyłku lat 60., choć do Brigate Rosse należeli również młodzi robotnicy. Uważali się za prawdziwych marksistów-leninistów, oskarżając Komunistyczną Partię Włoch i lewicowe związki zawodowe o zdradę ideałów rewolucyjnych.

Za wzór stawiali sobie „rewolucję kulturalną” w Chinach i działalność Che Guevary. Przywiązali wielką wagę do ideologicznego uzasadnienia swojej działalności – stąd akcjom i zamachom towarzyszyły publikacje wielostronicowych traktatów. Za głównych wrogów oprócz rządzącej we Włoszech chadecji

uważali Stany Zjednoczone i NATO. Związek Radziecki i jego satelitów określali jako blok socjalno-imperialistyczny. Jako że Włochy posiadały najsilniejszą na Zachodzie i legalnie działającą Partię Komunistyczną, uważali je za najsłabsze ogniwo zachodniego bloku, a wybuch rewolucji jedynie za kwestię czasu. Czując się „awangardą ruchu rewolucyjnego”, chcieli poprowadzić proletariat na barykady. W odróżnieniu od podobnych organizacji we Francji (Action Directe) i w Niemczech (RAF – Rote Armee Fraktion) działali wyłącznie we Włoszech. Czerwone Brygady bezpośrednio wspierała Organizacja Wyzwolenia Palestyny. Z dokumentów przekazanych Włochom przez prezydenta Havla wynika, że wielu „brygadystów” często odwiedzało Czechosłowację.

Początkowo Czerwone Brygady ograniczały się do porwań i aktów sabotażu. Pierwszymi śmiertelnymi ofiarami stali się dwaj aktywiści partii neofaszystowskiej w roku 1974 w Padwie. Potem nastąpiła krwawa seria zamachów, z których najgłośniejszy to porwanie i zamordowanie w roku 1978 Aldo Moro – przywódcy włoskiej chadecji. Terrorysty Brigate Rosse mordowali polityków, sędziów, policjantów, przemysłowców, a nawet dziennikarzy. W roku 1981 w Weronie porwany został generał NATO James L. Dozier odbity później przez policję.

Pod koniec lat 70. ujęci przez policję „brygadziści” w zamian za łagodniejsze wyroki wydawali swoich towarzyszy. Poza tym topnieć zaczęło dość szerokie aktywne i milczące wsparcie, jakim



Marco Biagi, 2002

organizacja cieszyła się wśród części włoskiej lewicy i na uniwersytetach. Punktami zwrotnymi było zamordowanie popularnego Aldo Moro, a w dwa lata później – Patrizia Peci w odwecie za to, że jego brat – jeden z przywódców Czerwonych Brygad – zaczął w więzieniu współpracować z policją. W roku 1984 czterech przywódców organizacji (w tym Renato Curcio) opublikowało „list otwarty”, w którym napisali, że „sytuacja międzynarodowa, która stworzyła warunki walki zbrojnej, przestała istnieć”. Za koniec działalności Czerwonych Brygad przyjmuje się rok 1988, kiedy od kul zamachowców zginął senator Ruffillini.

Dziś we włoskich więzieniach kary nadal odsiadyuje 150 „brygadystów”. 81 z nich nie wyrzekło się terroryzmu. Nadal w celach

toczą wojnę klas, piszą manifesty, odezwy i analizy. Oburącz podpisali się pod ostatnimi zamachami, przyjmując za nie odpowiedzialność. Śledztwo ruszyło więc i w tę stronę, jednak bardziej z obowiązku niż z przekonania. Powszechnie uważa się, że weterani chcieli w ten sposób nadać swemu zrujnowanemu życiu przynajmniej pozory sensu. Przecież większość z nich prawdopodobnie zakończyła w więzieniu. Nie sposób uwierzyć, by mimo nierzadko 25 lat spędzonych w celi nadal kierowali organizacją po drugiej stronie więziennego muru.

Tylko nieco bardziej wiarygodna jest hipoteza, że zamachowcy kontaktowali się z 46 skazanymi zaocznie „brygadystami” starej daty, z których 29 mieszka spokojnie we Francji. Z kolei ci z od-

siadujących wyroki, którzy wyrzekli się przemocy (60 osób), spędzają w więzieniu tylko noce i korzystają z urlopów. Za dnia chodzą do normalnej pracy. Wśród nich jest też Mario Moretti – człowiek, który zastrzelił Aldo Moro. Zarówno Moretti, jak i inni członkowie przywództwa Czerwonych Brygad z „czasów ołowiu” przyznają, że w roku 1988 „stare” Brigate Rosse zdecydowały jasno: „Faza walki zbrojnej zakończyła się porażką i została zakończona”.

Na razie nie ma żadnych dowodów na to, by było inaczej.

Teorie spiskowe

W związku z zamachem na profesora Biagiego powróciła również funkcjonująca od późnych lat 60. teoria, że zamachy terrorystyczne to nieustająca pro-

wokacja włoskiej prawicy (najczęściej skrajnej), by zdyskredytować lewicę, wprowadzić rządy silnej ręki i zdławić wszelką opozycję. Na przykład do dziś spora część Włochów jest przekonana, że Aldo Moro w roku 1978 zamordowały Czerwone Brygady, ale zmanipulowane przez agentów CIA, agentów włoskich służb specjalnych i masońską lożę P2.

Tym razem słowa o spisku padają nawet ze strony członków gabinetu premiera Berlusconi.

Padają też konkretne pytania. Dlaczego pozbawiono Marca Biagiego osobistej ochrony (otrzymał ją po kilku telefonach z pogroźkami w roku 2000)? MSW odpowiada, że po 11 września brakowało im ludzi. Jak na ironię, na kilka dni przed zamachem przecieł do prasy raport sił specjalnych, z którego wynikało,

że profesor narażony jest na niebezpieczeństwo. Skąd minister Claudio Scajola już w dzień po zabójstwie wiedział, że Biagiego i D'Antonę zastrzelono z tej samej broni? Ponoć badań balistycznych nie można przeprowadzić tak szybko, zwłaszcza że mordercy D'Antony nie pozostawili po sobie fusek. Wiele podejrzeń wzbudzą też dziwne okoliczności samobójstwa komputerowego geniusza Michele Landiego. Podobno zajmował się zamachem na profesora Biagiego i wpadł na interesujący trop...

Co na to Włosi? Umberto Eco radzi, by na płaszczyźnie politycznej i społecznej nie zmieniać niczego – działać tak, jakby tego zamachu nie było. Inaczej terroryści zatriumfują. Eco przypomina też rządowi, że krytyka jego poczynąń wcale nie oznacza solidaryzowania się z terrorystami. Największą karierę zrobił jednak ten list czytelnika do „Corriere della Sera”: „Czerwone Brygady-Komunistyczna Partia Walcząca? Z kim oni walczą? W walce musi być przeciwnik. Oni tymczasem strzelają do bezbronnego człowieka na rowerze, i to w plecy. To nie są żadni wojownicy. To tchórze!”.

PIOTR KOWALCZUK



Rzym, 23 marca 2002. Manifestacja przeciwko terroryzmowi i zmianom w kodeksie pracy

To nie był spisek polityków

Mówi PHILIP WILLAN, od kilkudziesięciu lat mieszkający w Rzymie korespondent brytyjskiego dziennika „The Guardian”, autor „Puppet Masters” („Pociągając za sznurki”), książki o kulisach zabójstwa Aldo Moro.

PIOTR KOWALCZUK: Dlaczego Pan nie wierzy, że za zabójstwem Marca Biagiego mógł stać prawicowy, lewicowy albo jakiś międzynarodowy spisek?

PHILIP WILLAN: Po pierwsze, skończyła się zimna wojna, komunizm przegrał, więc nie ma się ani przed czym bronić, ani po co w imię komunizmu, który umarł, atakować. Kto chciałby dziś wspierać takie akcje z zagranicy? Z kolei trudno sobie wyobrazić, żeby dziś ktoś we Włoszech wierzył w powodzenie lewicowej rewolucji i ustanowienie marksistowskiego rządu. Stąd deklarowane przez zamachowców motywy mogą wydawać się podejrzane. Sądzę, że oba zamachy to dzieło fanatyków.

Czyli zamachów dokonały odrodzone Czerwone Brygady?

– Wydaje mi się, że tak. Zastanawialiśmy się w gronie włoskich

polityków, intelektualistów i dziennikarzy, kto ewentualnie może za tym stać. To co najwyżej mogłaby być jakaś bardzo wewnętrzna włoska sprawa. Ale jaka? Proszę zwrócić uwagę, że ani D'Antona, ani Biagi nie byli w ogóle szerzej znani. Porachunki w wąskim gronie negocjujących stron? Przecież Biagi był człowiekiem kompromisu. Nie zagrażał też żadnym potężnym grupom biznesu ani mafii. Natomiast z punktu widzenia Czerwonych Brygad ujmujących się za proletariatem byli celem logicznym. Pierwszy negocjował kompromis w sprawie prawa strajkowego, a drugi stał za planami zmian stosunków pracy. To są dla ortodoksyjnych marksistów sprawy święte. No i poza tym Biagi był dla nich „zdrajcą klasowym”.

Jeśli to nowe Czerwone Brygady, skąd rekrutują nowych członków i zamachowców? Wiemy jedno: strzelali młodzi ludzie...

– Nie wiem, ale proszę spojrzeć na obrzeża ruchu antyglobalistów. Przecież tam nie brak agresywnie nastawionych młodych ludzi. Globalizacja i imperializm to dla nich jedno.

Czy nie boi się Pan, że Włochy znów pogrążą się w terroryzmie?

– Pewnie, że się boję. Ale mam nadzieję, że tak się nie stanie. Mamy inne czasy. Terroryści nie znajdują teraz żadnego oparcia w społeczeństwie. Nie mogą liczyć, jak 20 lat temu, na lewicową inteligencję i całą armię studentów. Co prawda nadal trwa konflikt wokół nowego kodeksu pracy, ale w moim odczuciu zabójstwo profesora Biagiego podziela jak kubek z zimnej wody na głowy polityków, związkowców i wszystkich Włochów. Antyglobaliści? Mimo że często dochodzi do starć z policją, są w przytłaczającej większości pacyfistami. Z tego, co wiem, tam idea strzelania komuś w plecy nie znajduje żadnego poparcia.

W ostatnim komunikacie Czerwonych Brygad wskazywano na passus poświęcony zamachom z 11 września.

– Pomijając ogromne różnice ideologiczne, nie sądzę, żeby ci ludzie mogli sobie pozwolić na choćby taktyczny sojusz ze zwolennikami ben Ladena. Wtedy we Włoszech nie mogliby liczyć dosłownie na nikogo. Poza tym to sprowadziłoby im na głowę wywiady, kontrwywiady i policję całego zachodniego świata.

Czyli izolowani szaleńcy?

– Tak. Niestety, to inteligentni i wyrachowani szaleńcy.

Rozmawiał PK

TAJEMNICA PADMY 28

Nowoczesna medycyna odkrywa tajemnicę skuteczności starych receptur

Padma 28 – LEK 3 POKOLEŃ

Dla dzieci – naturalny sprzymierzeniec układu odpornościowego

Dla rodziców – kompleksowa profilaktyka miażdżycy, zapobiega zawałom serca i udarom mózgu

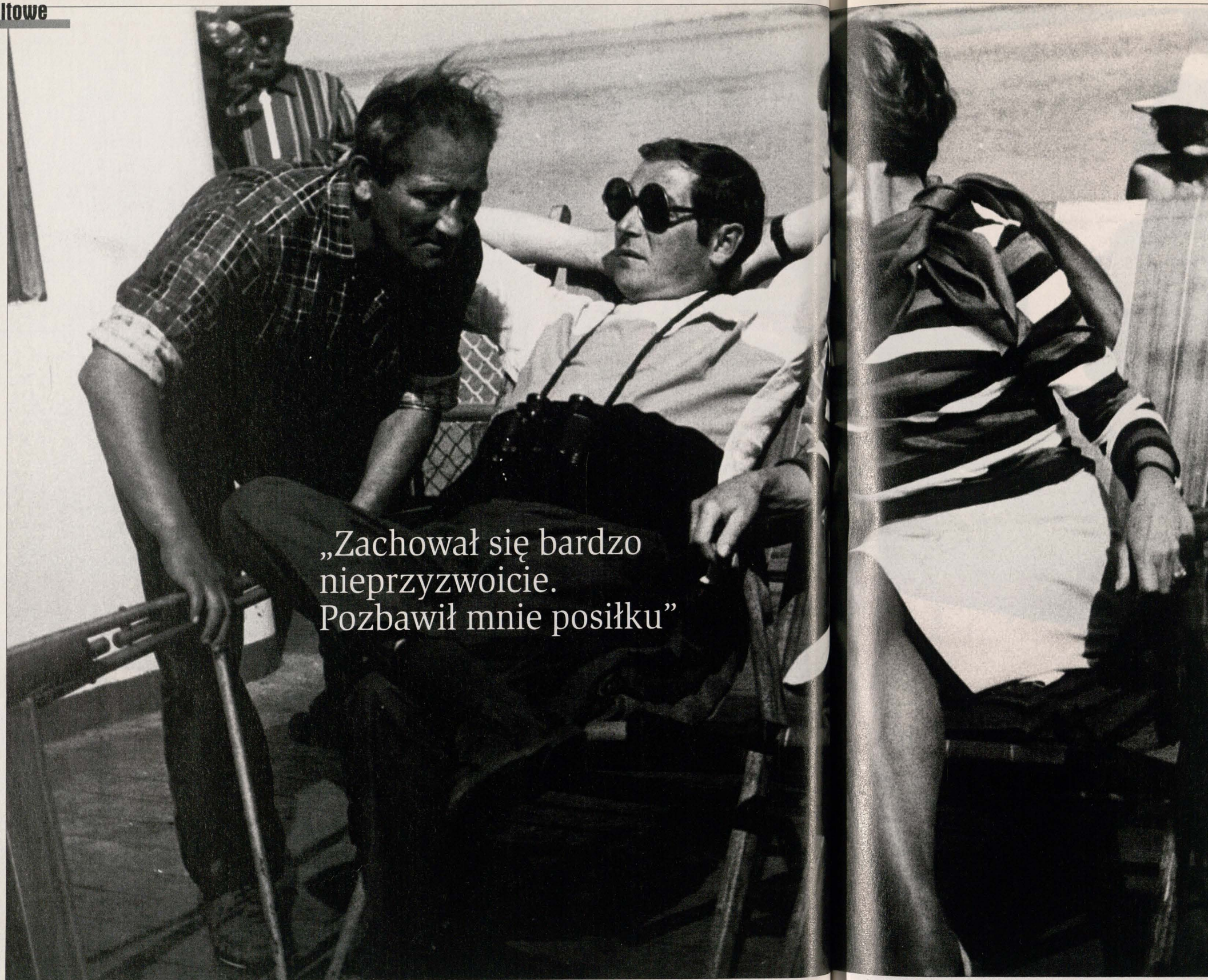
Dla dziadków – leczy zaawansowane postaci chorób krążenia, utrzymuje w formie fizycznej i psychicznej



TYMOFARM LECZYMY PRZYCZYNĘ CHOROBY

00-790 Warszawa ul. Willowa 8/10 lok. 41

tel. (0-22) 646-02-38, Internet: www.tymofarm.pl



„Zachował się bardzo nieprzyzwoicie. Pozbawił mnie posiłku”

FOT. STUDIO FILMOWE TORFILMOTEKA NARODOWA

Jan Himilsbach (Sidorowski), Zdzisław Maklakiewicz (inżynier Mamoń), Wanda Stanisławska-Lothe (Mamoniowa)

ZNANE I NIEZNANE
Anegdoty, legendy, sceny,
które nie weszły do filmu, i zdjęcia z planu

Wszystko,
co chcielibyście
wiedzieć o „Rejsie”,
ale nie wiecie,
o co zapytać,

znajdziecie w książce Macieja Łuczaka,
której fragment publikujemy w „Przekroju”

„Rejs” nakręcono po to, żeby Jan Himilsbach miał pieniądze na wódkę. Taka w pewnym uproszczeniu była geneza najbardziej kultowego polskiego filmu. W roku 1963 na dziedzińcu warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych najwybitniejszy w Polsce pisarz wśród kamieniarzy i najlepszy kamieniarz wśród artystów pióra uskarżał się Markowi Piwowskiemu na ciągłe kłopoty finansowe. Pieniądzy brakowało mu nie tylko na odwiedzanie SPATiF-u, lecz nawet na kupno pół litra wódki, której picie w bramie nazwał kiedyś wprowadzaniem elementu baśniowego do szarej rzeczywistości. Nagle: Eureka!

– Słuchaj, Marek – zaczął mówić swoim ochrypłym głosem Jan Himilsbach. – Musisz zostać reżyserem filmowym, oni przecież zarabiają kupę forsy. Wtedy już zawsze będziemy mieli za co pić – dokończył swój wywód przyszły filmowy Sidorowski, ceniący bardziej swoją twórczość kamieniarską niż pisarską: „moim dziełem granitowym nikt sobie dupy nie podetrze” – mawiał.

Bardziej oficjalna wersja głosi, że Marka Piwowskiego zafascynował „Popiół i diament” Andrzeja Wajdy. Dlatego poszedł do łódzkiej szkoły filmowej, czego konsekwencją było powstanie „Rejsu”. – „Popiół i diament” to jeden z filmów, które mają siłę zmieniać rzeczywistość – powtarzał potem w wywiadach. – Szkoła polska pokazała – podkreślał – że filmowcy wywalczyli sobie o wiele więcej wolności i niezależności niż inni twórcy.

W TAK PIĘKNYCH OKOLICZNOŚCIACH PRZYRODY



Jan Himilbach (Sidorowski)

Miałem na sobie strój Murzynka i byłem tam razem z Himilbachem przebranym za pirata, który cały czas wymachiwał tasakiem

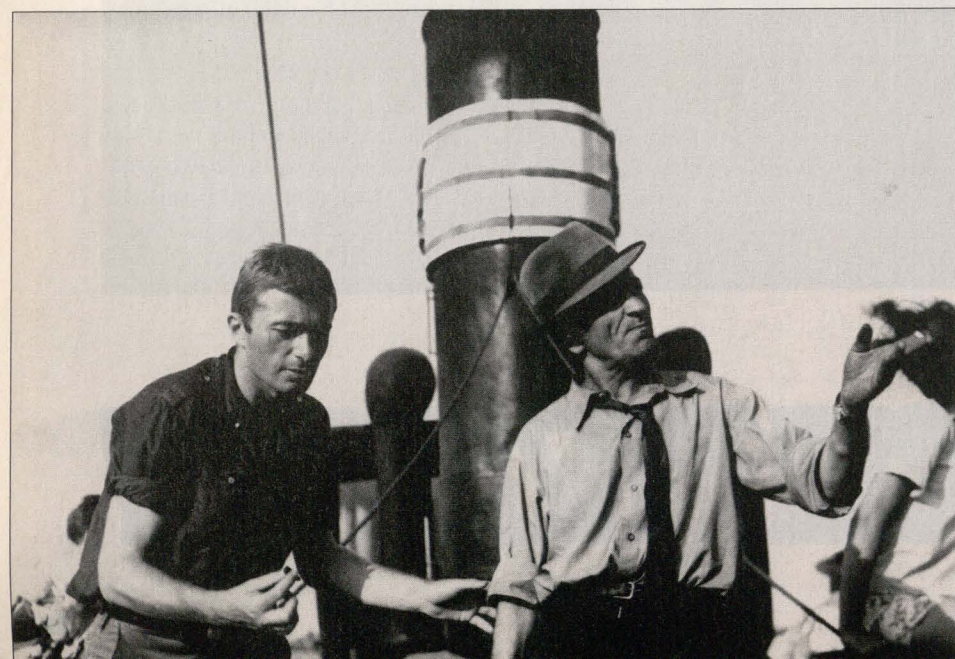
– opowiada Janusz Kłosiński.
Sceny z balu przebierańców nie weszły do filmu

Publiczność zaczęła głośno krzyczeć: „Spencer Tracy!”

– opowiada Marek Piwowski

Jedni twierdzą, że wynajęty na potrzeby filmu statek nazywał się „Świerczewski” lub „Generał Świerczewski”, inni, że „Dzierżyński”

Marek Piwowski na statku (po lewej)



– Mam taką zasadę, żeby dwa razy nie mówić tego samego, chyba że kupuję bilet do Baden-Baden; mój życiorys za każdym razem musi być inny – zdradza Marek Piwowski. Jest wierny tej maksymie, więc dokładnie nie wiadomo, ile prawdy zawierają jego opowieści. – Pierwsze zdjęcia do „Rejsu” nakręciliśmy chyba w Poznaniu na Jeżycach, ale lepiej ode mnie wszystko będzie pamiętać Małgorzata Musierowicz – dodaje przewrotnie.

Nie ma zatem innego wyjścia, jak tylko przyjąć za klucz interpretacyjny jego wypowiedzi tak zwaną antynomię kłamcy. Ową sprzeczność między dwoma twierdzeniami, które wydają się prawdziwe i równie dobrze uzasadnione, tak przedstawił jeden z „rejsowiczów”, logik, prof. Roman Suszko, w swoim esej z tytułowanym „Wstęp do zagadnień logiki”: Oto więc Kreteńczyk mówi: „kłamie”. Po pierwsze, jeśli tym samym nie skłamał, to powiedział prawdę, czyli prawdą jest, że kłamie. Jeżeli więc nie kłamie, to kłamie. Po drugie, jeśli skłamał, to powiedział nieprawdę, czyli nie kłamie. Jeżeli więc kłamie, to nie kłamie. Zatem w obu przypadkach Kreteńczyk kłamie i nie kłamie. Podobnie jest z Markiem Piwowskim i jego opowieściami o „Rejsie”.

Legends „Rejsu”

Przytoczona wcześniej antynomia kłamcy pozwala zrozumieć złożoność i nieuchwytność pojęcia prawdy. To bardzo ważne w sytuacji, kiedy „Rejs” obrósł legendą, która całkowicie oderwała się od rzeczywistości. Konfabulacje zaczęły zastępować wiarygodne relacje świadków, a obiegowe opinie nie liczyły się z żadnymi dokumentami. Rozbieżności dotyczą zarówno drobnych szczegółów, jak i spraw bardzo ważnych. To pewne – nie ma jednej prawdy o „Rejsie”, a każdy z jego uczestników inaczej postrzegał tamtą rzeczywistość. Każdy ma więc swoją własną najprawdziwszą historię filmu.

Jedni więc twierdzą, że wynajęty na potrzeby filmu statek – i przemianowany na filmowego „Neptuna” – w rzeczywistości nazywał się „Świerczewski” lub „Generał Świerczewski”, inni stanowczo obstają przy „Dzierżyńskim”. Zresztą zgodności nie ma także w scenariuszu filmu. Najpierw statek, na którym płyną wycieczkowicze, nazywa się „Świerczewski”, aby kilka stron dalej Kaowiec przekonywał pasażerów, że jest to „Wisła”. Panuje opinia, że film miał wielkie kłopoty z cenzurą, choć w rzeczywistości cenzor po kołaudacji nie zakwestionował nawet jednego ujęcia. Największe kontrowersje dotyczą chyba jednak kulis powstania słynnej sceny o kinie polskim, czyli monologu inżyniera Mamonia, któremu przysłuchuje się Sidorowski.

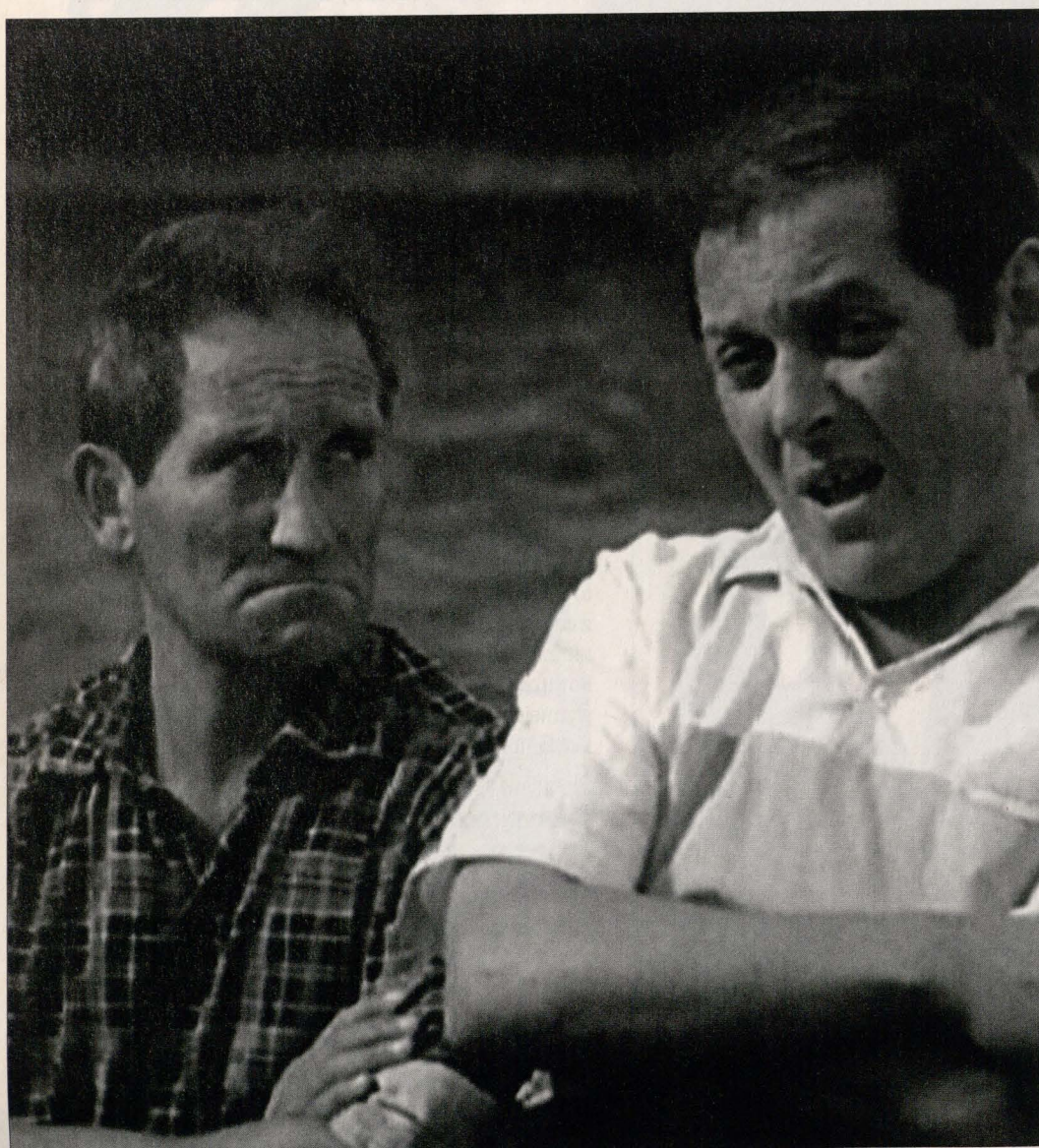
Jak nakręcono monolog o polskim kinie

W pewnej chwili Maklakiewicz podszedł do Piwowskiego i powiedział: „Mam pomysł, ustaw kamerę, to ci z Jankiem pokażemy”. Scena została zagrana tylko raz, w całości improwizowana przez Maklakiewicza – stąd ta wspaniała kontemplacja Himilbacha, który słyszał po raz pierwszy przyjaciela mówiącego o kondycji polskiego kina. Tak wygląda wielokrotnie przytaczana relacja Jerzego Karaszkiewicza, który podobnie jak wielu

Stanisław Tym (Kaowiec)
i Leszek Kowalewski
(Poeta)



„W damskiej ubikacji
napisane jest:
»Głupi kaowiec«”



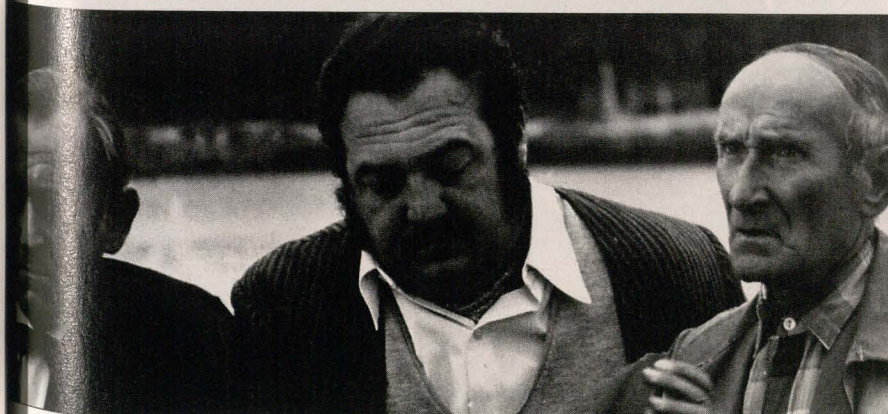
Jan Himilsbach
i Zdzisław Maklakiewicz

„W filmie
polskim,
proszę pana,
to jest tak:
nuda... nic się
nie dzieje...
Bardzo
nie dobre
dialogi są.
W ogóle brak
akcji jest.
Nic się
nie dzieje”



Lejtmotywnym całego filmu
były właśnie zbiorowe marsze.
W ten sposób chciałem
zobrazować tezę, że nasz system
zmierza w kierunku militaryzacji

- mówi Piwowski



Komisja konkursowa: Wacław Antczak, Eugeniusz Gajewski, A. Sobczyk

„Nam chodzi o odgłos paszczą”

wybitnych krytyków filmowych potężnego kaca malującego się na twarzy Sidorowskiego uznał za przejaw doskonałej gry aktorskiej i to nieomal wprost wywodzącej się ze słynnej szkoły Stanisławskiego.

Opisaną scenę wymyślił dzień wcześniej w SPATiF-ie Maklakiewicz z pomocą Piwowskiego i Głowackiego, bez udziału Himilsbacha, którego nie wpuszczał już wtedy kierownik Sidorowski. Tekst spisali na serwetkach. Według Marka Piwowskiego przy kawiarnianym stoliku Maklakiewicz zagrał ją o wiele lepiej niż potem na planie filmowym. Podobne zdanie wypowiada także rejsowy Kapitan, czyli aktor Ryszard Pietruski, w filmie zatytułowanym „Zdzisław Maklakiewicz”.

W reportażu z planu „Rejsu” zamieszczonym w „Polityce” w październiku 1969 roku Bywalec, czyli Daniel Passent, przedstawił cytowany monolog o kinie polskim: Nasze filmy są mierne. Nic się nie dzieje. Dłuzyny. Aż dziw, że się na podobnych zagranicznych nie wzorują. A za granicą to twarz aktora coś wyraża, na przykład sprzeczne uczucia. I do tego dochodzi kolor. A u nas co? Janusz Głowacki w eseju „Bez happy endu” pisał:

Tuż przed nakręceniem sceny rozmowy o filmie artyści, ostro zamroczeni, zamknęli się w kotłowni i odmawiali wyjścia. Mieli na dole hydrant i dość długo się bronili, zanim się poddali i zgodzili wziąć udział w kręceniu filmu. Scenę powtarzano wiele razy. Zdzisio był profesjonalistą, mógł grać w każdym stanie i miał starannie przygotowany tekst. Natomiast Janek szalał i mimo próśb i błagań ciągle przerywał opowieść Zdzisia i kompletnie go zagłuszał. Straciliśmy już wszelką nadzieję, kiedy Janek nagle osłabł, zapadł się w sobie, zamilkł i na jego twarzy pojawił się ten wyraz rozpaczliwej koncentracji i uwagi, który słusznie tak zachwycił swym aktorskim kunsztem publiczność i krytyków.

- Scena monologu o polskim filmie wydawała się łatwa. To było jedno ujęcie. Sądziliśmy więc, że nakręcimy je bardzo szybko. Normalnie powinniśmy wszystko zrealizować w godzinę, straciliśmy jednak cały dzień. Najpierw upił się Maklakiewicz. Gdy zabraliśmy się za intensywne jego trzeźwienie, urznął się Himilsbach. Albo jeden, albo drugi był pijany. To, co jest na filmie, to jedyna wersja, na której nie widać, że aktorzy są zamroczeni. Istniał tekst monologu o polskim kinie, ale Maklakiewicz miał kłopoty z jego powtórzeniem. Był jednak profesjonalistą i improwizował na planie - umiał haftować. To, co powiedział, znacznie odbiegało od naszych wyobrażeń. Pierwotnie było to o wiele dowcipniejsze - wspomina Marek Nowicki. - Scena ta miała szczególnie urok, to nie tylko było mówienie o polskim kinie, ale również jego istota. Scena jest nudna, długa i nic się na niej nie dzieje - dodaje.

Himilsbach - polski Spencer Tracy

Istnieją dwa warianty anegdoty o Himilsbachu i Spencerze Tracym. Podobno kiedyś pewien sławny aktor powiedział w kawiarni literatów do Himilsbacha: „Wiesz, że ty jesteś podobny do Kirka Douglasa?”. Jasio pokręcił przecząco głową i powiedział z rozmarzeniem: „Spencer Tracy”. Wszyscy się roześmiali - poza Jankiem (wersja Janusza Głowackiego). Marek Piwowski opowiada z kolei, że kiedy „Rejs” wyświetlono na festiwalu filmowym w Pesaro - w dodatku bez listy dialogowej

– i na ekranie pojawił się Jan Himilbach, publiczność zaczęła głośno krzyżeć: „Spencer Tracy”.

Istnieje też kilka wersji zdarzenia, w wyniku którego Himilbach na początku zdjęć trafił do milicyjnego aresztu w Toruniu (miejsce akcji wskazane przez Jerzego Karaszkiewicza). Pierwsza: aktor ubrany w strój pirata i dodatkowo „ucharacteryzowany” za pomocą pół litra wódki zrobił awanturę w restauracji. Druga: przebrany za kowboja straszył gości w lokalu z danciem. Trzecia: Himilbach w stroju góralskim sprzedawał kerpce na toruńskim rynku.

– Pamiętam dokładnie awanturę w kawiarni Mazowsze w Białobrzegach. Miałem na sobie strój Murzynka i byłem tam razem z Himilbachem przebrany za pirata, który cały czas wymachiwał tasakiem. Trafiliśmy do aresztu. Uwolnił nas Marek Piwowski, stawiając komendantowi milicji litr wódki – opowiada Janusz Kłosiński, czyli rejsowy śpiewak Józio.

– Jestem pewien, że samego Himilbacha zatrzymano w Zegrzu. Musiał pojawić się na planie, więc razem z kierownikiem produkcji wyciągnęliśmy go z aresztu – stanowczo twierdzi Feridun Erol.

Jak mógł się kończyć „Rejs”

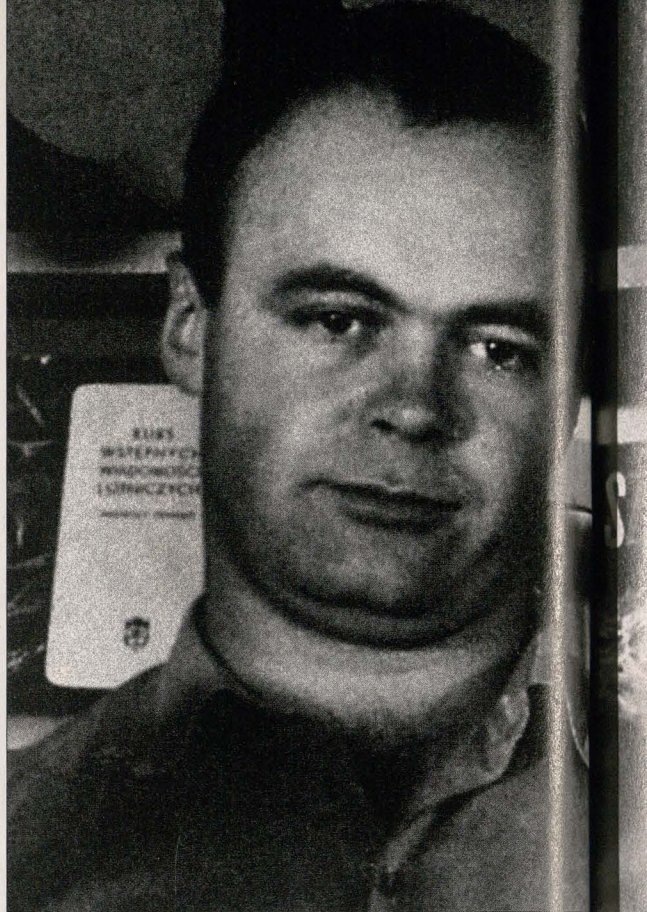
Do filmu nie weszły rozbudowane w scenariuszu sekwencje balu przebierańców, który Kaowiec zorganizował na statku. Na końcu mamy tylko kilkusekundową przebitkę z wieczornej zabawy. Bal przebierańców – już po wyborze strojów – rozpoczynał się kwestią koziołka, który powiedział do zebranych: „No to nareszcie możemy sobie szczerze i otwarcie porozmawiać”.

– Najpierw miałem zagrać Murzynka. Bardzo polubiłem tę postać i spodobał mi się jej kostium, ale po pierwszych próbach tę rolę dostał „Missisipi”, a mnie, niestety, przypadł tylko strój koziołka. Popłakałem się z tego powodu – wyznaje Janusz Kłosiński. – Pamiętam ujęcie nakręcone gdzieś koło Dziekanowa. Jako przebierańcy przedzierał się przez bardzo wysokie trzciny. Szliśmy tyralierą – koziołek, Murzynek pomalowany na czarno i trzymający w rękach tarczę oraz dzidę, a także Himilbach w stroju pirata. Nagle – czego nikt nie przewidział – zaczął się nam zapadać grunt pod nogami, a „Missisipi” zanurzył się po pas w bagnie. Nie mógł pomóc sobie tarczą i dzidą, ale na szczęście byliśmy w pobliżu i wyciągnęliśmy go na powierzchnię.

– Po balu statek wpada na mieliznę, trzeba go odciążyć, więc pasażerowie wychodzą na ląd – poprzebie-rani. Idą nadbrzeżem, wreszcie Murzyn z Indianinem natykają się na milicjantów. Wtedy funkcjonariusz mówi: „Dowodziki poproszę!”. Potem przebierańcy wracają na statek. Wszystko kończy przygotowywany bardzo długo występ na cześć Kapitana. Podczas kulminacyjnej sceny Kapitan umiera na atak serca – opowiada Marek Piwowski. Ostatecznie do montażu reżyser zakwalifikował blisko siedem godzin nakręconego materiału filmowego. Pierwsza wersja „Rejsu” trwała około 200 minut.

Fragment książki Macieja Łuczaka „Rejs, czyli szczególnie nie chodzę na polskie filmy”, która ukaże się wkrótce w wydawnictwie Prószyński i S-ka

„Bardzo
dziękuję,
niech pan
dalej
trzyma
oko
i ucho
na pulsie
spraw...”



Stanisław Tym (Kaowiec)



Posejdon oraz Pasażer na gapę (Jerzy Dobrowolski) na planie „Rejsu” w Toruniu

E... tam, panie,
kupa wariatów
lata po ekranie,
w ogóle
nie wiadomo,
o co chodzi

– ocenił ojciec
Janusza Kłosińskiego

Zobaczy pan
za kilka lat,
że to jest
wielkie dzieło

– odpowiedział mu
Jan Himilbach

TRADEMARK
Daktarin



psss...
...stosuj błyskawicznie,
przeciwgrzybicznie

Daktarin puder w aerozolu:

- zawiera lek, który likwiduje objawy i zapobiega nawrotom grzybicy stóp
- równomiernie nanosi się i świetnie przylega do skóry
- zapobiega przykreemu zapachowi stóp



krem puder

Dostępny w aptece bez recepty (także w formie kremu i pudru – teraz po niższych cenach).

Jeśli grzybica stóp jest twoim problemem i chcesz o tym porozmawiać z lekarzem, zadzwoń w godzinach 15.00 - 21.00 pod numer infolini:

0 801 172 744

Całkowity koszt rozmowy w cenie jednego impulsu za połączenie lokalne.

JANSSEN-CILAG
Div. Johnson & Johnson, Poland Sp. z o.o.



Przed laty dreptał po Moskwie staruszek o załzawionych ślepkach. Pół wieku wcześniej był literatem. Ocalał, bo gdy zaczęła się groza, postanowił nie trzeźwieć. Nasz bohater miał zawsze trzy ruble na wódkę. Jakim cudem? Brał z półki książkę i sprzedawał w antykwariacie. Z biegiem lat coraz drożej. A książek miał tysiące.

Nie były to zwykłe książki. Były to unikatowe, ręcznie pisane i odbijane z kamienia litograficznego, barwione sztuka po sztuce i wyklejane jaskrawymi kolażami tomiki rosyjskich futurystów. Staruszek zwał się Aleksy Kruczonych i w heroicznej epoce awangardy połowę z nich wydał osobiście. A że zbywały się słabo, miał w domu połowę nakładów. Za pijackim jak cień snuł się angielski agent. Brał każdy sprzedany egzemplarz. I tak oto w dniu śmierci Kruczonycha (1968) British Library mogła się poszczycić największą w świecie kolekcją dzieł rosyjskiej awangardy.

Nie szczyliła się długo. W roku 1975 syn Siergieja Poliakowa, wydawcy przedrewolucyjnego pisma o sztuce „Wiesy” i właściciela oficyny estetyków Skorpion, rozebrał podwójną ścianę korytarza komunalnego mieszkania. Znalazł tam kompletny zbiór awangardowych wydawnictw artystycznych, który ojciec zdążył ukryć, nim zginął (w 1942) w labiryncie Gułagu. Pamiętkę rodzinną za ciężkie pieniądze nabyło Muzeum Puszkina, a w roku 1995 zaprezentowało z dumą w paryskim Centre G. Pompidou. Francuzi padli plackiem.

Ubieszczur!

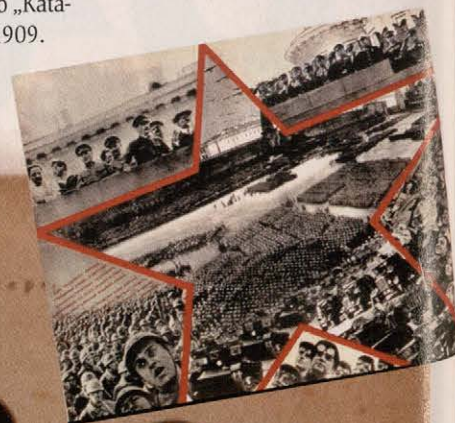
Wystawa „The Russian Avant-Garde Book 1910-1934” w nowojorskim Museum of Modern Art zawiera dzieła z obu kolekcji. Ukazuje jak nigdy dotąd zjawisko jedyne w swoim rodzaju, szalone i poruszające.

Na wystawie podziwiać można, rzecz jasna, zdjęcie Filippa Tomassa

Marinettiego zrobione 26 stycznia 1914 roku na Dworcu Aleksandryjskim w Moskwie. Za tłustym twórcą futuryzmu w paltocie z bobrowym kołnierzem, meloniku i z wąsikami buchaltera tłoczą się mundurowe czapki, chustki i papachy. Krótko mówiąc – tubylcy. Nie było wśród nich ani jednego futurysty. Mistrza, który przybył doglądać swego prowincjonalnego gospodarstwa, spotkał straszliwy zawód. Kompletnie go zignorowano.

W istocie Rosjanie zawsze utrzymywali, że byli pierwsi. W swym mniemaniu stworzyli futuryzm, gdy we Włoszech i Francji nikomu się o nim nie śniło. Co więcej, badacze skłonni są przyznać im rację. Chlebnikow ogłosił pierwsze teksty w październiku 1908 roku, na pięć miesięcy przed manifestem Marinettiego. A Chlebnikow był dzikszy niż wszyscy poeci Zachodu razem wzięci. Przedziwna książka malarki Jeleny Guro „Katarinka” wyszła w lutym 1909. Miesiąc przewagi!

A była to rzecz futurystyczna co się zowie. Albowiem wypada wiedzieć, kim byli w carskiej Rosji drukarze. Gdy raz zaczęto im płać od złożonych liter, zażądali doliczenia przerw między wyrazami, które musieli przecież wypełniać justunkiem. Na tym tle wybuchł wielki strajk, zapłon rewolucji 1905 roku, jeszcze przed Krwawą Niedzielą. I oto towarzyszą sztuce drukarskiej z taką świadomością klasową jacyś oberwańcy przynoszą manuskrypt kompletnie bez sensu. Parę miesięcy trwało, nim książkę Guro przyjęła wreszcie z łaski typografia niemieckiego dziennika w Petersburgu. Nikt tam ponoć nie władał rosyjskim, lecz zecerzy byli tak wściekli, że usuwane ze składu czcionki rzucali gdzie bądź do kaszty. Drukarski horror, coś jakby chirurg płu w ranę podczas operacji! I ów obyczaj futurystów triumfalnie przyjęli za własny.



Igor Tierientiew „Fakt”, Tyflis 1919; na górze: El Lissitzky „Robotniczo-Chłopska Armia Czerwona”, Moskwa 1934

Skum!

Niemniej o profesjonalnym druku rosyjscy futurysty mogli odtąd tylko marzyć. Przyszło uciec się do dziecinnej drukarenki i roneo (powielacza na woskówce). Tak wyglądał tom Kruczonycha z roku 1909 o wybuchowym tytule „Wzorwał” („wzryw” to wybuch). I w tym momencie nastąpił przełom. Doszlusowała para małżeńska artystów wielkiej klasy – Natalia Gonczarowa i Mchail Łarionow. Oboje znali Paryż, widzieli Matisse’a z Picassem i odkryli, że to nie dla nich. Specjalizowali się w grubych babach kreślonych jak ręką dziecka krechą pasteli. „Kacapska Wenera” Łarionowa ma wdzięk modelek Dudy-Gracza. Ale prowokacyjne kształty kryły

pierwotną siłę. Kolor kładziono bezbłędnie. W tym sąsiedztwie bełkoty Kruczonycha robiły się frapujące. Najślynniejszy z nich brzmiał: *dyr buł szczyl ubieszczur skum*

Malarz i po trosze poeta Dawid Burluk, główny animator ruchu, twierdził, że owa budząca furie

dziennikarzy fraza znaczy: „Dziurą będzie poczwarne oblicze szczęśnych jełopów”.

Przepraszam, była jeszcze jedna drukowana książka. Almanach „Sadyk sędziów” z roku 1910. Wydrukowano go na lewej stronie ohydnych, tandetnych tapet. „Zastąpcie swoje pluskwy naszymi wierszami!” – wzywał mieszcuchów Burluk.

Solomon Telingater – okładka książki Semena Kirsanowa „Głos zabierze Kirsanow”, Moskwa 1930



Nabywców skręcało na widok nałożonych stemplem na kwiatyste strony rozmyślnie enigmatycznych anonsów:

Eugeniusz Oniegin w 2 strof.

emi woni

sie i cia.

Steryliżowany. wyjmie

łazi ciało

Czytelniku, nie tap wron!

Słowem – skandal. Książki, jakich nigdy nie było: brudzące, śmierdzące, nieprofesjonalne. Klej z mąki, kiepska farba, papier pakowy. Futurysty błędy drukarskie zastąpili omyłkami lustrzanego pisma na kamieniu litograficznym. Tekst pisany ręcznie i wydrukowany znaczą co innego – dowodzili bracia Burlukowie. I są takie słowa, które ma prawo napisać własnoręcznie tylko autor!

Pieśniomordzi będzianie

Futuryzm włoski był nadęty i efekciarski. Rosyjski tryska humorem, świeżością, bez troską. Inspiracje czerpał nie z techniki, bo tej w Rosji nie było, lecz z ludowych drzeworytów jarmarcznych zwanych łubkiem, naiwnych małomiasteczkowych szyldów, scytyjskich wykopalisk. Nie wiedzieć czemu Rosjanie uznali to za kubizm. I tak się – dla odróżnienia – nazwali:

kubofuturystami. Ale na krótko, bo Chlebnikow miast „futurysta” kazał mówić „będzianin”.

Jedna z 52 książek, jakie wydali do wojny będzianie, tom Kruczonycha „Pomada” (1913), wygląda tak: malinowa okładka z naklejoną litografią, rękopiśmienne strony przeplatają się z baśniowymi ilustracjami Łarionowa na złotym *passe-partout*, barwionymi czystymi pigmentami akwareli. Jak w łubku kolor wyłazi często poza kontur rysunków, które różnią się detalami: każdy egzemplarz, wbrew samej idei książki, stanowi oryginał.

Inny tom, „Goły wśród ubranych” Kamieńskiego, ma osobliwy kształt kwadratu z uciętym prawym górnym rogiem. Pisany jest w jodełkę, niby parkiet. Czasem też tekst układa się wokół centralnego krążka. Tak drukowano w ówczesnych pismach repertuar kinematografów. Ale dla futurysty była to wizja książki poprzebijanej tekstem, przeszytej seriami impulsów. Rozerwanie tekstu miało wprowadzać w sens bez pośrednictwa rozumu.

Grobniejąc w życiopaszczy

„W powieściach Lwa Tołstoja – powiada Zamiatin – zawsze bomba armatnia, miast wybuchnąć, kręci się długo w miejscu, a przed oczyma bohatera, niczym we śnie, mijają nie se-

kundy, lecz miesiące i lata – całe życie. Bomba rewolucji padła w lutym 1917 roku, lecz długo jeszcze kręciła się w miejscu, jeszcze wiele miesięcy potem wszyscy żyli jak we śnie, w oczekiwaniu właściwego wybuchu. Gdy zaś rozwił się dym owej straszliwej eksplozji, wyszło na jaw, że wszystko obróciło się wniwecz: i historia, i literatura, i ludzie, i ich sława”. Umarła Rozanowa, Łarionow z Gonczarową wyjechali do Francji, Dawid Burluk umknął do Nowego Jorku, gdy jego brata Mikołaja zastrzelili na ulicy pijani marynarze, Chlebnikow zmarł z głodu. „Grobniejemy w życiopaszczy” – stwierdził krótko przedtem. Książek nie wydawano, bo papier szedł na dekrety czerwonego terroru. Majakowski z przyjaciółmi, leżąc brzuchem na podłodze, bazgrał w mrozie agitacyjne plakaty.

Nastały czasy sprzed Gutenberga. Ocalały tylko dwie enklawy. Jedna była w Witebsku, gdzie szalony komisarz do spraw sztuk i teatru Marc Chagall zarządził przemalowanie całego miasta w ukośne białe-niebieskie paski, a do stworzonych przez siebie warsztatów rewolucyjnej twórczości ściągnął Malewicza, El Lissitzky’ego i Włodzimierza Tatlina. Tam właśnie, w sennym żydowskim miasteczku, powstał najśmielszy w dziejach projekt artystyczny – suprematyzm: wizja przebiccia się myślą twórczą w czwarty wymiar zjawisk. Pierwszy krok stanowił czarny



Kazimierz Malewicz „Troje” – okładka książki E. Guro, W. Chlebnikowa i A. Kruczonycha, Sankt Petersburg 1913

kwadrat w roku 1913 wymalowany na kurtynie widowiska „Zwycięstwo nad słońcem” Kruczonycha. „Jeśli by kto z siwej mądrości przeził w tę tajemniczą twarz czarnego kwadrata, może by obaczył to, co i ja widzę” – pisał (po polsku) Malewicz. „Jam jest gwiazda daleka w nieskończonej przestrzeni że nigdy ni jeden teleskop nie dosięży”.

Obok broszur wzywających do „wyrwania świata z rąk natury” wyszła też w Witebsku książka Abrama Efrona i Jakowa Tugendholda „Sztuka Marca Chagalla” (1918) z cudownym drzeworytem jegoż na okładce: kłęczący chłopiec z odwróconą po chagalowsku głową trzyma na dłoni chmurkę z zakłętym obrazem miasteczka. Na następne 60 lat miało to być w ZSRR jedyne źródło wiedzy o artyście.

Wszystko to trwało trzy lata. Co dziwniejsze, w tymże miejscu i czasie Lissitzky z Tatlinem powołali do życia konstruktywizm – najdoskonalsze z artystycznych narzędzi przyszłościowej utopii. Konstruktywizm zdołał wydobyć się

z enklawy i osiągnąć wszystko, o czym marzył Malewicz: wpływ na sztukę światową, *design* i modę, kształt budynków i druków. A w miarę jak to osiągał, wyłaziło zeń totalitarne żądło: aroganckie plamy czerwieni i czerni (optyczny odpowiednik wrzasku), uprzykrzone przekątne, brutalny kąt prosty. Konstruktywizm zyskał milionowe nakłady, poparcie państwa, międzynarodowe nagrody, tylko nie był już drogą, lecz narzędziem.

Cztery litery

Druga enklawa mieściła się w Tbilisi i trwała też trzy lata: 1918–1920. Tyle co wolna Gruzja. Trafili tam pół-Polacy, bracia Kirił i Ilia Zdaniewiczowie, którzy otarli się w latach wojny o Zurych, więc ich produkcje nosiły odświeżające piętno dadaizmu. Na miejscu odkryli genialnego malarza szyldów Niko Pirosmaszawilego, którym miał się zachwycić Picasso. Doszlusował wszedobylski Kruczonych. Do kompanii, która nadała sobie

miano 41°, dołączył Grigoł Robakidze i dwaj wielcy poeci – Paolo Jaszwili i Tycjan Tabidze. Tak długo radzili nad winem Teliani w artystycznej knajpce Fantastyczna Tawerna, aż jej właścicielce, niewątpliwiej sponsorce przedsięwzięcia, poświęcili niezwyklej urody książkę zbiorową nazwaną bezpretensjonalnie „Mielnikowej”. Kubistyczną koronę na okładce wyrysował Kirił, typografię absurdałnych tekstów opracował Ilia, a po Gonczarowej został im zbiór maleńkich, skomponowanych w kole ołówkowych osiołków, więc dali po jednym na stronie.

Inną rewelacyjną książką Zdaniewiczów był „Fakt” Igor Tierientiewa, gdzie na okładce szaleją cztery rozrzucone litery tytułu i dwie „rączki”, odbite czcionkami-klockami, jakich używa się do obwieszceń. Było to istne wyzwanie liter! Wkrótce potem nadeszła władza Rad, Zdaniewiczowie prysnęli do Paryża, a poetów gruzińskich rozliczył z Fantastycznej Tawerny Stalin.

Granice epok wyznacza „Przemysł ciężki”, dział propagandowej książki „Nowe oblicze ZSRR” (1935) w opracowaniu El Lissitzky’ego. Owe tłoczone w aluminiowej folii podobizny Dnieprostroju i Magnitogorska to jeszcze awangarda, lecz już – stalinizmu. Wystawa nowojorska pomija, niestety, wydany w roku 1938 inny album propagandowy – „Rozbudowę Moskwy” z roku 1938. Rodczenko opracował w niej diagramy, Stiepanowa – projekty stron, teoretyk nowej poezji Wiktor Szklowski – teksty. Awangarda w służbie ludu prezentuje tam triumfalny marsz sieci kanalizacyjnych i wzrost liczby oczek klozetowych na głowę mieszkańca. Aż wreszcie w tych klozetach tonie. Przygoda książki awangardowej dobiegła końca.

JAN GONDOWICZ

Wystawa „The Russian Avant-Garde Book 1910–1934” w Museum of Modern Art w Nowym Jorku otwarta jest do 31 maja.



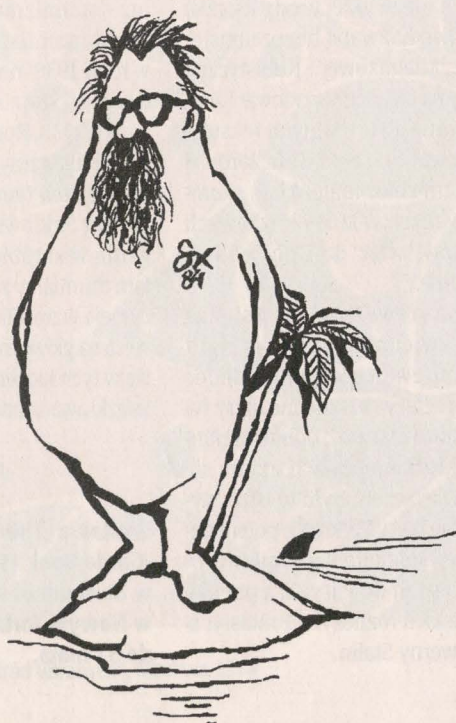
Wasilij Kamieński „Goły wśród ubranych”, Moskwa 1914



SARMATA I KPIARZ WSZECH CZASÓW

SZYMON KOPYLIŃSKI 1927–2002

Rysownik i satyryk wprost fenomenalny,
prawdziwy mędrzec i filozof, historyk i koneser sztuki,
znamienity znawca oręża i polskiej historii,
niedościgniony gawędziarz i anegdociarz,
nauczyciel i popularyzator tego,
o czym powinniśmy stale pamiętać... i tak można bez końca.
Po prostu Szymon – erudyta doskonały!



Kopyliński debiutował w polskiej prasie tuż po wojnie, jeszcze w roku 1945, ale myślę, że tak w mojej pamięci, jak i w pamięci wielu pokoleń Polaków, był z nami „od zawsze”. Aż do 15 kwietnia...

Idolem Szymona był w pewnym sensie Franc Fiszer – jedna z najpopularniejszych postaci polskiej bohemy międzywojnia. Nie tylko z racji podobnej imponującej postury z charakterystyczną brodą włącznie, ale przede wszystkim z racji niebywale witalnego i nieco rubasznego, sarmackiego wręcz, sposobu bycia. W przeciwieństwie do Fiszera jednak, który poza legendą i przekazywanymi z drugiej ręki sytuacyjnymi anegdotami nic po sobie nie pozostawił, dorobek Kopylińskiego jest naprawdę imponujący. Dziesiątki tekstów, w tym przeszło 20 w formie książkowej, realizacje scenograficzne, filmy animowane, no i setki, setki rysunków: różnorodnych projektów, ilustracji i, oczywiście, karykatury.

Szymon Kopyliński żył i tworzył, jak to sam określał, „w ciężkich, ale ciekawych czasach”. Stąd też zapewne płynęło Jego specyficzne poczucie humoru operujące subtelną aluzją i przenośnią o trudno dostrzegalnych granicach między absurdem a prawdą. Jego słynny „Człowieczek”



Nie da rady cichaczem, bo ordery dzwonią

– rysowany jedną kreską stały element, a z czasem także integralna część winiety tytułowej „Polityki” – towarzyszył nam nieprzerwanie od pierwszego numeru tego tygodnika z roku 1957 aż do połowy roku 1990. Zestawiony z programowym hasłem: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!” przemawiał do nas zgoła innym głosem niż autor wspomnianego sloganu. Ten smutny „Człowieczek” uświadamiający nam wizualnie anomalie socjalistycznej rzeczywistości zmuszał niezmiennie do myślenia i głębszych refleksji, rozśmieszając przy tym do łez.

75 lat to dużo, ale z pewnością nikt nie przypuszczał, że odejście Szymona Kopylińskiego nastąpi tak szybko i tak nieoczekiwanie. Jeszcze we wrześniu ubiegłego roku tryskał niebywałą energią i humorem w Muzeum Karykatury na wieczorze upamiętniającym 10-lecie śmierci swego przyjaciela Eryka Lipińskiego. Teraz z pewnością są już razem w zaświatach i – jak znam życie (pozagrobowe oczywiście) – opowiadają sobie dowcipy i płatają nawzajem figle w stylu tego, jaki ongiś wyciął Szymonowi Eryk. Zadzwoń! mianowicie do mieszkania Kopylińskich. Odebrała gosposia i zapytała go: – Kto mówi? – Ja tu z izby wytrzeźwień. Pan Kopyliński zostawił wczoraj beret, niech przyjdzie go odebrać. – Pan Kopyliński nie pije! – zawołała gosposia pełna obu-

rzenia. – Być może – odpowiedział Lipiński – ale mimo to niech odbierze swój beret. Oczywiście po powrocie do domu Szymon nie miał wątpliwości, kto do niego dzwonił.

Przed siedmiu laty w Muzeum Karykatury odbyła się duża wystawa monograficzna prac Szymona Kopylińskiego. Waliły na nią tłumy. Z Muzeum Karykatury był Szymon związany bardzo silnymi więzami przyjaźni. Przed czterema laty, w 20-lecie Muzeum, napisał w katalogu wystawy jubileuszowej „Panorama karykatury polskiej 1945–1998” wspaniały esej wstępny. 25-lecie istnienia Muzeum przypadającego w przyszłym roku już, niestety, nie doczekał. Natomiast miłośnicy wielkiego talentu Szymona Kopylińskiego doczekają się w tym właśnie czasie nowej retrospektywnej wystawy twórczości tego Wspaniałego i Niepowtarzalnego Artysty. Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych, ale choć nie ma już Szymona Kopylińskiego, to jednak jest... niezastąpiony.

MAREK WOJCIECH CHMURZYŃSKI
Dyrektor Muzeum Karykatury w Warszawie

Dziękujemy za udostępnienie rysunków Muzeum Karykatury i wydawnictwu Książka i Wiedza

Więc
jakie są
granice
absolutnej
szczerości?



Wiesz, przy szóstym sprawozdaniu
zaczynam sam w nie wierzyć



Strzelać nie umiem. Ale będę Panu wskazywać cel

Rysunki z „Ilustrowanej kroniki Polaków”



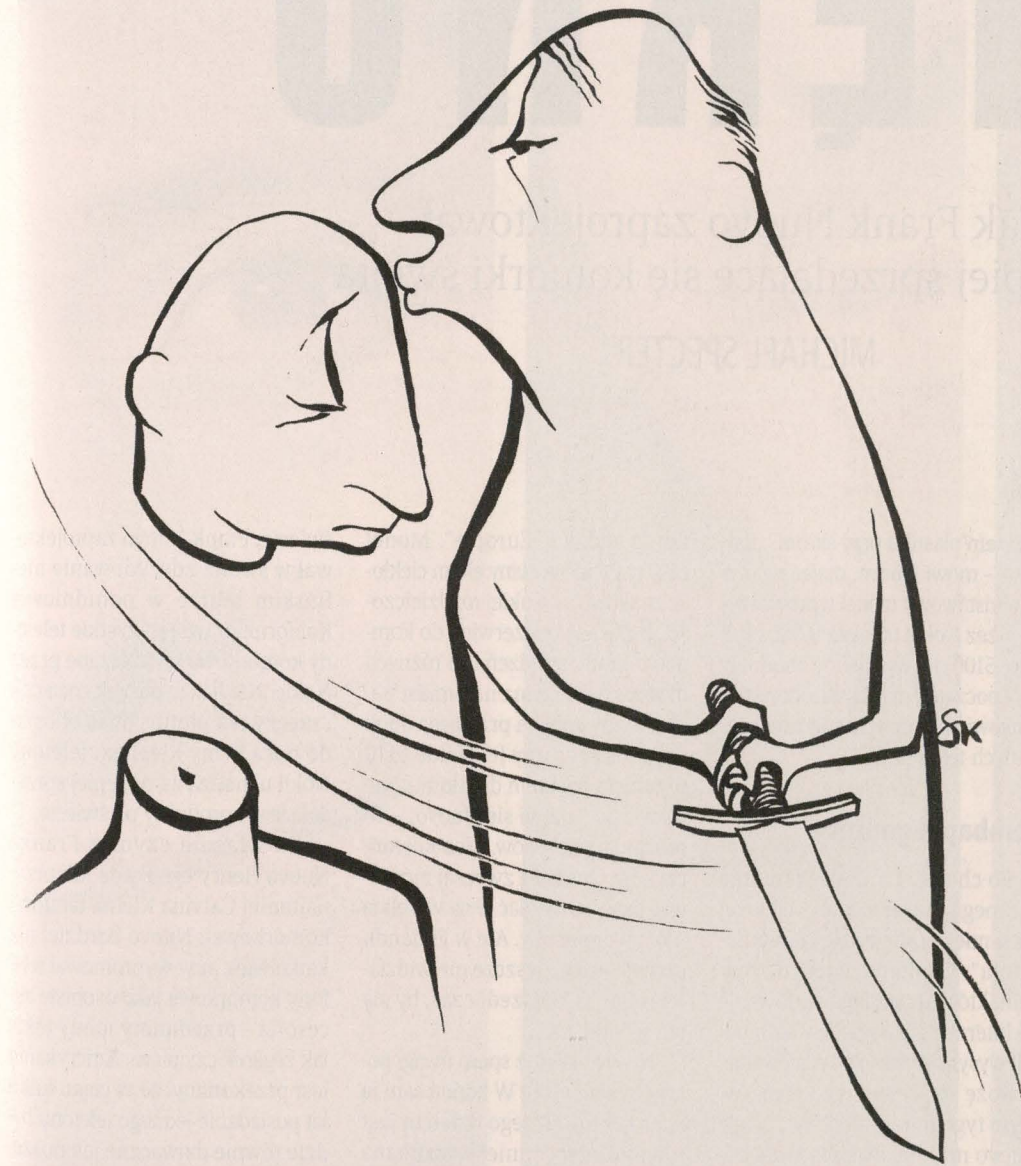
Redaktor Marian Eile



„Wielka miłość Izoldy i Tristana”
– ilustracja z książki Andrzeja Donimirskego
„Kobiety z mitów i legend”



Ilustracja z książki Michaliny Wisłockiej
„Sukces w miłości”



BEZPRZEWODOWE PIĘKNO

Jak Frank Nuovo zaprojektował
najlepiej sprzedające się komórki świata

MICHAEL SPECTER

Frank Nuovo wydaje się nie pasować do mroźnych ulic Helsinek. Bynajmniej nie dlatego, żeby był zagubiony czy nieszcześliwy. Po prostu jest inny. Ze swym niskim wzrostem, ciemnymi włosami i perfekcyjnie wystylizowanym wyglądem wyraźnie odcina się na tle wszechobecnych wysokich blondynek. Nosi gustownie dobrane odcienie szarości, oliwkowej zieleni i czerni. Późnym popołudniem w fotelu kawiarni przy jednym z głównych deptaków Helsinek Frank zdaje się trwać w czymś na podobieństwo letargu.

Bawimy się w osobliwą grę towarzyską, którą mógł wymyślić tylko mój towarzysz. Obserwujemy mijających nas przechodniów, by potem odgadnąć modele ich telefonów komórkowych. Frank nie myli się ani razu, a ponieważ Finlandia jest pierwszą na świecie wielką bezprzewodową utopią, materiału do badań nie brakuje. W Helsinkach niemal każdy ma przy sobie komórkę i często odnosi się wrażenie, że mieszkańcy stolicy przez cały dzień nie robią nic innego, tylko rozmawiają przez telefon lub wysyłają sobie SMS-y. Nasz stolik mijają właśnie troje nastolatków, każdy z kolorowym, owalnym ka-

wałkiem plastiku przy skroni. „Klasyka” – mówi Nuovo, mając na myśli podstawowy model wprowadzony przez Nokię trzy lata temu, czyli serię 5100. Jej wymienne obudowy dały początek międzynarodowemu rynkowi kolorowych, spersonalizowanych telefonów.

Kombajn i gadżety

Po chwili wskazuje starannie ubranego biznesmena: „Ten facet musi mieć nową wersję communicatora”. Communicator to kombajn, który umożliwia surfowanie po Internecie, ściąganie wiadomości, wysyłanie faksów i czatowanie. „Założę się, że kupił go w pierwszym tygodniu sprzedaży”. Nagle Nuovo milknie i wstrzymuje oddech. Jego wzrok zatrzymuje się na wysokiej kobiecie, która właśnie rzuciła się do biegu jakieś 10 metrów od nas. Jest wyraźnie zdenerwowana. Patrzymy, jak pędzi w szpilkach, ze sporą torbą w rękę, i wrzeszczy coś do telefonu. Niełatwo robić to wszystko naraz.

„Spójrz tylko – Nuovo nie kryje swego zachwytu, jak antropolog, który właśnie natknął się na nieznaną, plemienną obyczaj. – Model 6110 z paskiem na dłoń. Pierwszy

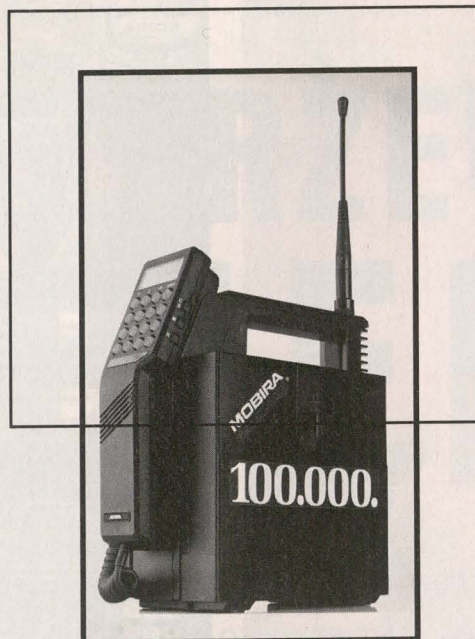
raz to widzę w Europie”. Model 6110 ma podświetlany ekran ciekłokrystaliczny wysokiej rozdzielczości, łączy na podczerwień do kompatybilnych urządzeń i 35 różnych dzwonek. Nie ma natomiast paska. Kiedy kobieta przebiega obok nas, dostrzegamy jej Nokię 6110 przypiętą paskiem do dłoni. „Nie do wiary! – dziwi się Nuovo. – To robota Japończyków. Albo Koreańczyków. Oni mają zwyczaj montować paski i ozdabiać je na wszelkie możliwe sposoby. Ale w Finlandii czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Chyba nadszedł czas, by się temu przyjrzeć”.

Nuovo i tak już sporo uwagi poświęca serii 6100. W końcu sam ją zaprojektował. Jego dziełem jest również nieco mniej wyszukana seria 5100 (która zalicza się do najpopularniejszych urządzeń elektronicznych konsumpcyjnej na świecie), nie wspominając już o lśniącem, ekstrawaganckim modelu 8800. Ten miniaturowy, niezwykle stylowy, aparat cyfrowy zamiast na konferencji prasowej dla dziennikarzy biznesowych zaprezentowano na wybiegach w Paryżu i Mediolanie. Poczynając od modelu 101, który pojawił się w roku 1992 i był pierwszym telefonem sprzedawanym na całym

świecie, Frank Nuovo zaprojektował w swoim zdecydowanie niefińskim biurze w południowej Kalifornii prawie wszystkie telefony komórkowe wytwarzane przez Nokię. Nie licząc puszek coca-coli i rzeczy tak ulotnych jak chustki do nosa firmy Kleenex, telefony Nokii uchodzą za najlepiej sprzedające się produkty na świecie.

To właśnie czyni z Franka Nuovo Henry’ego Forda lub przynajmniej Calvina Kleina telefonii komórkowej. Nuovo bardziej niż ktokolwiek inny wypromował telefony komórkowe jako osobiste akcesoria – przedmioty mody takie jak zegarek czy pióro. Amerykanin jest przekonany, że w ciągu kilku lat posiadanie jednego telefonu będzie równie dziwaczne jak noszenie bez przerwy tej samej pary butów. Jeszcze 10 lat temu komórki były gadżetami dla bogatych. Korzystało z nich mniej niż 10 milionów ludzi. W przyszłym roku liczba użytkowników przekroczy miliard. W Stanach Zjednoczonych, które pod względem liczby abonentów komórkowych pozostają daleko w tyle za Europą, do końca grudnia telefon komórkowy będzie miało 130 milionów ludzi. Nie ma chyba produktu, który tak szybko





wywarłby wpływ na tak liczną grupę konsumentów.

Komórkowe szaleństwo

„Nokia startowała w momencie rozpadu ZSRR – wspomina J.P. Roos, profesor socjologii na Uniwersytecie Helsińskim badający wpływ telefonii komórkowej na społeczeństwo. – Fińska gospodarka była wówczas w opłakanym stanie. Tymczasem telefon komórkowy stworzył nową kulturę”. Stał się symbolem świata, w którym ludzie pragną być niezależni, a jednocześnie dostępni. „Trudno jest nazwać taką kulturę – mówi Roos. – Bez wątpienia jednak chodzi w niej o styl i kształt. I gdy weźmiemy do ręki ten mały kawałek plastiku i uświadomimy sobie jego siłę oddziaływania, to naprawdę nie sądzę, by to samochód miał większy wpływ na nasz sposób życia czy nasze oczekiwania w tym względzie”.

Gdy pierwszy raz spotkałem Franka Nuovo w jego biurze pod Los Angeles, miałem zamiar spytać go o kulisy wzornictwa przemysłowego: jak powstaje urządzenie, które trafia potem do rąk sporej grupy światowej populacji? „Moim jedynym celem jest stworzenie czegoś, bez czego ludzie nie będą mogli się obejść – przyznaje Nuovo. – Będą tego potrzebować, bo jest to użyteczne i w określony sposób ułatwia im życie. Jeśli jest to wspa-

niały telefon, będą go pragnęli jeszcze bardziej. Z tego samego powodu, dla którego kobieta kupuje bajeczną suknię, a mężczyzna wybiera konkretny model samochodu. Można potrzebować sukni lub samochodu. Ale trzeba ich też pragnąć”.

Mimo próśb ponawianych przez szefów Nuovo nigdy się nie zdecydował na przenosiny do Finlandii, choć w Nokii jest wiceprezsem do spraw wzornictwa. Wierzy, że Los Angeles, centrum amerykańskiego przemysłu filmowego i dusza branży motoryzacyjnej Stanów Zjednoczonych, jest tym miejscem, gdzie do piękna i stylu przywiązuje się największą wagę. Nuovo, były perkusista jazzowy, pochodzi z Monterrey.

Fajne małe przedmioty

Jako dorastający chłopak należał do fanów Charliego Parkera. Teraz ma 40 lat i, jak sam przyznaje, wychował się na serialu „Star Trek”. „Fascynacja gadżetami i bawienie się fajnymi małymi przedmiotami są wpisane w moje życie. Moje czasy to wiek lotów w kosmos, niewiarygodnych urządzeń, które przy okazji są piękne. Tak naprawdę urządzenia te nie sprawdzają się, jeśli nie są piękne”.

Po ukończeniu Art Center College of Design w Pasadenie Nuovo dostał pracę w Designworks/USA (obecnie dział wzor-

nictwa w koncernie BMW). Pracował tam nad poprawą ergonomii pulpitów naziemnej kontroli lotów. W tym przypadku projekt nie tylko musi być ładny, lecz także funkcjonalny. („Nie chcemy przecież przez pomyłkę wcisnąć niewłaściwego guzika”). Nuovo projektował też maszyny do szycia, tablice rozdzielcze do samochodów i meble ogrodowe. Konsultantem Nokii został w wieku lat 28. „Było Boże Narodzenie, wszyscy poszli już do domów, kiedy zadzwoniła Nokia. Nie miałem wówczas pojęcia, co to za firma. Wziąłem ich chyba za Japończyków. Wtedy były tylko wielkie telefony noszone w walizkach, a ja pracowałem nad tablicami rozdzielczymi i tylko to miałem w głowie. Więc gdy zapytali, czy nie zaprojektowałbym dla nich telefonu samochodowego, odpowiedziałem: »Pewnie, czemu nie?«”.

Kalifornijskie biuro Franka Nuovo to rodzaj tajemnego Disneylandu dla gadżetowych świrusów. Na drzwiach i na budynku próżno by szukać znaku firmowego Nokii. Nuovo troszczy się o bezpieczeństwo w obawie przed szpiegostwem przemysłowym. Poprosił mnie, bym nie podawał nazwy miasta, w którym pracuje wraz z zespołem projektantów, ekspertów od kolorystyki i specjalistów od materiałów. Wnętrze pracowni przypomina warsztat projektanta mody. Na ścianach wiszą rysunki

najnowszych kreacji Versace i Chanel oraz szkice najodważniejszych futurystycznych projektów samochodów, rowerów, a nawet łyżworolek.

Prostota długopisu

Nuovo jest szczególnie dumny ze swojej bogatej kolekcji długopisów niczym trofea ułożonych na półkach. Niektóre to drogie i rzadkie okazy wykonane z tytanu, korka lub pojedynczego kawałka rzadkiego drewna. Inne to tanie, masowo produkowane kawałki plastiku. Nuovo uwielbia długopisy za ich absolutną prostotę. „Spełniają tylko jedną funkcję, a powstają w niekończących się asortymentach wzorów. Tak jak telefony”.

Telefon komórkowy stworzył nową kulturę. Stał się symbolem świata, w którym ludzie pragną być niezależni, a jednocześnie dostępni

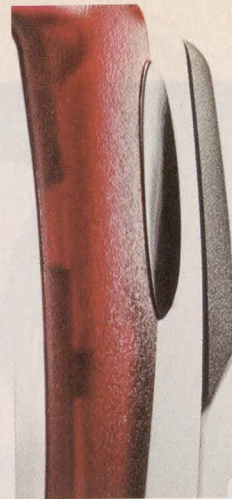
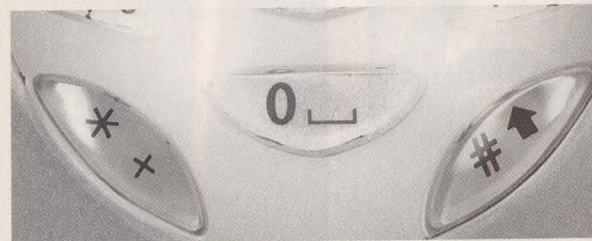
Zasadniczo Nuovo woli kształty kuliste i eliptyczne, aerodynamiczne symbole szybkości. W jego pracowni telefony można znaleźć na każdym kroku: na podstawkach, biurkach, ścianach. Większość to prototypy. Pierwsze wersje Nuovo tworzy z wosku na czymś w rodzaju drukarki trójwymiarowej. Ale najpierw sporządza rysunki. Rysowanie telefonów to jego nałóg. Podczas spotkań często robi notatki, ale poza tym ustawicznie szkicuje telefony. Gdy zaczyna pracę nad nowym modelem, swoje pierwsze szkice nanosi na to, co ma akurat pod ręką – kopertę, notes czy odwrotną stronę faksu. Potem przenosi wzór

na kalkę, aby pokazać go swoim współpracownikom w Los Angeles. Zadanie wprowadzenia komputerowych poprawek często przypada w udziale właśnie im.

„W roku 1991 wszyscy mieli »pudełkowate«, małe aparaty z kwadratowym wyświetlaczem – mówi Nuovo. – Większość naszych konkurentów starała się za wszelką cenę zmieścić w swych telefonach możliwie dużo funkcji. Ja natomiast byłem zdania, że potrzebujemy miejsca. Wierz mi, w tamtym czasie pozostawianie na obudowie pustej przestrzeni było bardzo radykalnym posunięciem”.

Co najlepiej leży w dłoni

Nuovo bierze do ręki mój telefon, który jest bardzo mały. „Prześnij palcem po tej krawędzi między klawiszami. Właściwie przyciski wydają się stykać ze sobą, ale dzięki odpowiedniej strukturze powierzchni wyczuwamy odstęp. To są najlepsze klawisze, jakie można zrobić przy tym rozmiarze. Wiele osób chce bardzo małego urządzenia. Oczywiście, jeśli weźmiesz pod uwagę ergonomię, otrzymasz coś takiego – mówi, sięgając po większy model. – Można przeprowadzić badania nad tym, co najlepiej leży w dłoni. Biorąc największego człowieka z ogromnymi dłońmi i najmniejszego z małutkimi, jesteśmy w stanie wyznaczyć optymalną średnią. My trafiliśmy w sam środek pomiędzy



dużą a małą dłonią. Tym uniwersalnym rozwiązaniem jest właśnie model 6110. Ale jeśli trzymać się tego środka, to wszystko będzie cały czas takie samo. A to jest nudne. W każdym wzorze forma ściera się z funkcją. Weźmy na przykład damskie buty: w imię mody kobiety gotowe są nosić drogie buty, nawet jeśli przyprowadzają je o ból stóp”.

Nuovo sięga po złotą wersję modelu 8850. Kosztowny malutki aparat telefoniczny został wprowadzony na rynek w tym roku w Azji. Od tego czasu cieszy się niesłabnącym powodzeniem wśród klientów. „Ten telefon nigdy nie trafił na rynek amerykański. Kiedy pojawił się po raz pierwszy w sprzedaży, jego cena wynosiła 2800 dolarów. Aż trudno w to uwierzyć. Z punktu widzenia stylistyki zjawisko to nazywam falą ciśnienia”. Nuovo pieści dwie niewielkie kra-

w tym przypadku to nie o samochody chodzi, lecz o ruch, i – tu zawiesza głos przed przytoczeniem swej mantry – o próbę perfekcyjnego wykonania jednej rzeczy”.

Kosiarka parzy kawę

Zdaniem Franka Nuovo projektanci zbyt często pomijają tę kwestię. Przez lata producenci telefonów komórkowych oraz spora część ich klientów wyznawali „wielką jednolitą teorię gadżeciarności” i zgodnie z nią poszukiwali telefonu, który robi wszystko: prowadzi terminarz, zapamiętuje notatki, gra muzykę, pozwala surfować po Internecie. „Dziś dzieci mają obsesję na punkcie wielofunkcyjności – mówi Nuovo. – Młodzi projektanci przemysłowi myślą często w kategoriach modułu. Chcą budować odkurzacze, które

księstwa do jednego z najlepiej komunikacyjnie zintegrowanych i bezprzewodowych krajów. Firma Nokia i miasto o tej samej nazwie zostały założone ponad sto lat temu nieopodal położonego na południowym zachodzie kraju Tampere. Firma rozpoczynała działalność jako producent papieru i pulpy, a w pewnym okresie była nawet czołowym producentem kaloszy. Wytwarzała również opony, telewizory i energię elektryczną.

Na początku lat 90. skupiła się jednak na telefonii komórkowej, co uważano wówczas za ryzykowną decyzję. Pierwsze połączenie w ramach sieci GSM zostało zrealizowane w Finlandii w roku 1991 z telefonu Nokii. GSM stał się technologią, która pozwoliła telefonom wędrować po całym świecie, a Nokia miała spory wkład w jej powstanie. Firma zbudowała też pierwszy telefon cyfrowy. Dziś ma 60 procent udziałów w obrocie na fińskiej giełdzie papierów wartościowych. Przedsiębiorstwo zatrudnia 58 tysięcy pracowników, a jego siedziba Nokia House znajduje się w centrum Espoo, drugiego co do wielkości miasta Finlandii. Ze swoją niezwykle liczną flotą samochodów Volvo i nowoczesnymi autobusami Espoo jest chyba jedynym miastem na świecie z tak dużym odsetkiem przedstawicieli wyższej klasy średniej. Nokia House, ogromny budynek stanowiący połączenie ekologicznego szkła i naturalnego drewna, zdaje się ucieleśnieniem wizji samego koncernu. Jest przestronny i ograniczony jedynie kolumnami spiralnych schodów. Podczas swojego

pobytu cały czas czekałem, aż ktoś się na nich potknie i spadnie jak kamień na posadzkę znajdującą się poniżej kafełkarni. Ludzie zdają się tu w ogóle nie patrzeć pod nogi. Odnosi się wrażenie, że każdy pracownik ma przykazane, by cały czas przechadzać się z najnowszym okazem cyfrowej technologii w dłoni, mówić do siebie, gapić się w wyświetlacz lub wysyłać wiadomości tekstowe.

Trwałość, użyteczność, piękno

Na dobre czy na złe firma prawie całkowicie zdominowała życie gospodarcze Finlandii, niemal tak samo, jak kiedyś czynił to ZSRR. Nokia ma dzisiaj dziewięć fabryk – po trzy w obu Amerykach, Europie i Azji. Najnowocześniejsza z nich, o powierzchni 39 tysięcy metrów kwadratowych, znajduje się w miejscowości Salo około stu kilometrów na zachód od Helsinek. Tak się złożyło, że pojechałem tam zobaczyć się z innym Amerykaninem Erikiem Andersonem, który jest odpowiedzialny za produkcję telefonów projektowanych przez Franka Nuovo. Anderson ma licencjat z elektrotechniki z Uniwersytetu Princeton, a poza tym kończy doktorat z historii architektury renesansowej na Uniwersytecie Harvarda. Ożenił się z Finką i mieszka w Finlandii od 12 lat. Co kilka lat bierze roczne urlopy, podczas których kontynuuje badania poświęcone XVI-wiecznemu architektowi Andrei Palladiowi.

Co renesans może mieć wspólnego z produkcją telefonu?

Projektant mody może naszkicować suknię, zamówić materiał i poinstruować krawca, jak go skroić. Stworzenie urządzenia nie jest tak proste. Większość telefonów komórkowych składa się z setek części, a wyprodukowanie ich w milionowych ilościach wymaga ścisłej współpracy. Gdy zasiadłem w jednej z sal konferencyjnych nieopodal hali produkcyjnej, Anderson pchnął w moim kierunku stos papierów i porozumiewawczo mrugając okiem, wyjaśnił: „Oto nasz podręcznik”. Okazała się nim kompilacja fragmentów klasycznego,

renesansowego traktatu Leona Battisty Albertiego „O sztuce budowania”. Zanim jednak przeszliśmy do Albertiego, Anderson wspominał o Witruwiuszu (jedynym antycznym pisarzu-architekcie, którego dzieła zachowały się do naszych czasów) i jego trzech filarach. „*Firmitas, utilitas, venustas* – wyrecytował Anderson, praktycznie wyśpiewując swoją kwestię. – Trwałość – bo stoi. Użyteczność – bo działa, czyli nic innego jak ergonomia. I wreszcie *venustas*, czyli piękno. Klasyczny budynek musiał być piękny. Wszystkie te filary są równie ważne. Na tym właśnie polega klasyka – na równowadze”.

Anderson sięgnął po swoją teczkę i odwrócił ją do góry nogami. Ze środka z łomotem wyleciał co najmniej tuzin telefonów. Mój gospodarz wziął do ręki najstarszy z nich, model 101 sprzed dziewięciu lat. „Widzisz ten odstęp? – zapytał, wskazując na niewielką przerwę między klawiaturą a znajdującymi się nad nią klawiszami przewijania. – Frank zrobił to własnoręcznie – powiedział, wolno

przesuwając kciukiem wzdłuż każdej linii i krawędzi. – Przyjrzyj się słuchawce. Ma trzy otwory. Jakiego kształtu? Owального. Spójrz na mikrofon. Jest małym owalem. Te owalne otwory kosztowały dodatkowe pieniądze. Okrągłe byłyby tańsze. Na to nie zwraca się uwagi, to się widzi i czuje. Telefon stwarza wrażenie spójności, zrozumienia zarówno intelektualnego, jak i emocjonalnego. Daje poczucie organicznej poprawności”.

Telefoniczny renesans

Spojrzał na mnie. „Pewnie myślisz, że to stek bzdur? – spytał rozbawiony, widząc, że mój wzrok wędruje z komórki na esej Albertiego, którego fragmenty Anderson wcześniej cytował. – Co renesans może mieć wspólnego z produkcją cholernego telefonu?”.

Tak, zadawałem sobie to samo pytanie. Spojrzałem na to, co Anderson zakreślił w eseju Albertiego: „Wszelka troska, wszelka staranność, względy finansowe

winny być podporządkowane temu, by tworzony przedmiot był użyteczny i wygodny, a przy tym piękny i pełen wdzięku”. Alberti pisał o budowlach w starożytnym Egipcie i Grecji. Egipt był bogaty i potężny. Anderson wziął do ręki esej i przeczytał na głos: „Później przyszła Grecja – kraj trzeźwych i szlachetnych umysłów, w którym upiększanie posiadanych przedmiotów było rzeczą oczywistą... Zadaniem Greków było wykorzystanie własnej pomysłowości do przewyższenia tych, z którymi nie mogli rywalizować pod względem bogactwa”.

Anderson wstał z krzesła. „Jeszcze nie rozumiesz? Egipcjanie to była Motorola w roku 1989. Byli tak silni i wpływowi, że w otwartej walce nie mieliśmy z nimi szans. Musieliśmy znaleźć inny sposób. Musieliśmy wykorzystać własną pomysłowość, ponieważ oni dysponowali środkami, z którymi nie mogliśmy konkurować”. Rzeczywiście, na początku lat 90. na rynku telefonii komórkowej dominowała Motorola. Na przykład

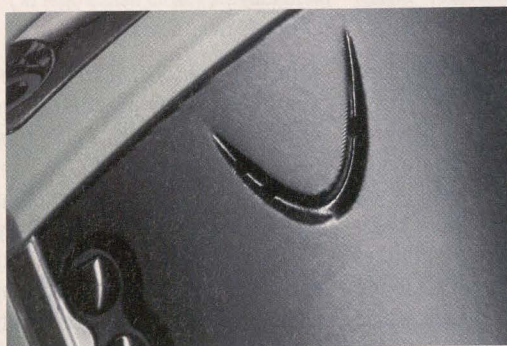
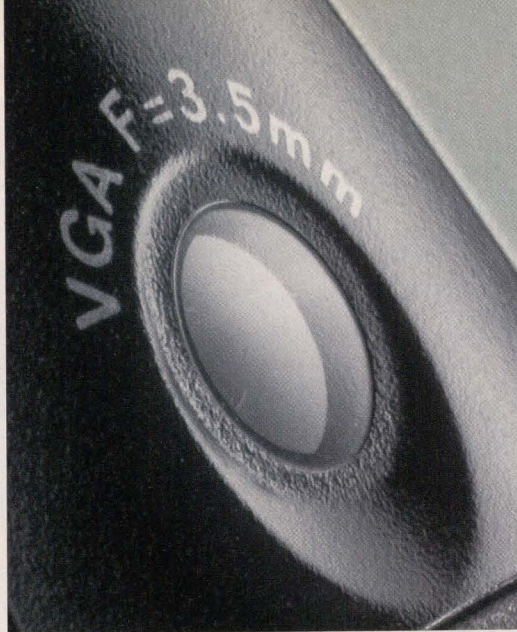
W ciągu kilku lat posiadanie jednego telefonu będzie równie dziwaczne, co noszenie bez przerwy tej samej pary butów

wędzie znajdujące się w dolnej części obudowy. Dla osoby niewtajemniczonej są one prawie niezauważalne. „Pomyśl o samochodach, aerodynamice, tunelach aerodynamicznych. Przyjrzyj się naszej stylistyce, która znajduje tak wielu naśladowców na całym świecie. Posługujemy się językiem, który mówi o uczuciu pędu i rosnącej prędkości. Oczywiście, wpływ samochodów jest tu widoczny. Ale

potrafiłyby robić drinki, i kosiarką gotującą kawę. A ja od jednego telefonu, który robi wszystko po trochu, wolę pięć, z których każdy robi co innego. Dziś takie myślenie wielu osobom wydaje się dziwne. Ale już niedługo i oni zmienią zdanie”.

Nokia jest najbardziej fińską z firm, a jej historia w dużym stopniu odzwierciedla transformację, jaką przeszła sama Finlandia na drodze od mało znaczącego





Można potrzebować
sukni lub samochodu.
Ale trzeba ich też pragnąć

w roku 1993 sprzedała na świecie ponad jedną trzecią wszystkich komórek. Dziś sytuacja jest odwrotna. To Nokia sprzedaje przeszło jedną trzecią wszystkich aparatów komórkowych, a jej obroty przewyższają łączne obroty trzech największych konkurentów: Motoroli, Ericssona i Siemensu.

„Na początku mieliśmy jeden telefon – ten, który zaprojektował Frank – powiedział Anderson. – I próbowaliśmy uczynić z niego ten jeden, doskonały telefon. W roku 1993 byłem na urlopie. Pracowałem nad doktoratem, kiedy zdałem sobie sprawę, że produkowanie jednego doskonałego aparatu nie wyjdzie nam na dobre. Potrze-

bowaliśmy wielu doskonałych telefonów i do tego różnych.

W Salo jest taki bar. Nazywa się Rikala. To dość obskurne miejsce. Inżynierowie z Nokii przychodzili tam zawsze w piątkowe wieczory. Po przyjeździe zdejmowali z pasków swoje wielkie telefony i kładli je nakontuarze, a potem do czwartej rano pili piwo, zajadając orzeszki. Potem jeden z nich zaczynał: »O Boże! Gdzie jest mój telefon?«. Skąd mieli wiedzieć? Każdy miał taki sam przeklęty aparat, w tym samym kolorze i z takim samym dzwonkiem. Więc wrócili do domów i pomalowali telefony lakierem do samochodów. Nie jest to zbyt barwna historia, ale takie

właśnie były początki kolorowych i modnych telefonów. A wszystko zaczęło się w barze w Salo”.

Anderson wrócił do swojego biurka i zaczął szukać czegoś wśród swoich telefonów. „Każdy rozwijający się rynek dzieli się na segmenty. Takie są ekonomiczne prawa natury. Najpierw był ciężki, czarny telefon przenośny. Potem pojawiły się małe telefony i te z melodykami. Pierwsze segmenty na rynku telefonii komórkowej wyznaczali z jednej strony konsumenci, którym zależało na bateriach o długiej żywotności, a z drugiej ci, którzy woleli aparaty mniejsze. Żywotność baterii już dawno przestała

być problemem. Antenę zmniejszono, a w niektórych przypadkach umieszczono w środku telefonu. W miarę rozwoju technologii łatwiejsze stało się też różnicowanie oferty.

Dawny podział rynku na »dobre, lepsze i najlepsze« należy dziś do przeszłości. Za żadne skarby nie odmówilibyśmy niskiej, starszej pani prawa jeżdżenia Ferrari. To bzdura. Cóż irracjonalnego jest tak naprawdę w chęci posiadania pięknego przedmiotu? Próbuje się utrzymać nasz udział w rynku, oferując najlepszą linię produktów”. Anderson znów wstał, ale tym razem z grymasem na twarzy. „Wydawałoby się, że to proste, nie? Ale jeśli wypuścisz zbyt wiele telefonów, to zbankrutujesz. Jeśli wytworzysz dużo produktów, z których żaden nie będzie najlepszy w swojej klasie, to też zbankrutujesz. Jeśli zrobisz jeden dobry produkt, który odniesie naprawdę duży sukces, to wygenerowane zyski i tak nie uchronią cię przed bankructwem. W ostatecznym rozrachunku chodzi tak naprawdę o równowagę. Alberti miał rację”.

Nie ma kraju, który bardziej niż Finlandia zaufał technologii bezprzewodowej. To stawia ten kraj w awangardzie komórkowej rewolucji i czyni doskonałym laboratorium do badań nad skutkami braku zakorzenienia. Każdego ranka tysiące fińskich mam razem z zeszytami pakują swym dzieciom do tornistrów telefony komórkowe. W Finlandii panuje przekonanie, że bycie „poza zasięgiem” jest niedopuszczalne. Ludzie oczekują natychmiastowych odpowiedzi na swoje telefony i SMS-y. Socjologowie są zdania, że skurczyła się nie tylko rozpiętość uwagi, lecz także tolerancja ludzi na wszelkiego rodzaju opóźnienia.

Idealne rodzicielstwo

Pewnego popołudnia udałem się z wizytą do antropologa społecznego Kaisy Coogan. Spotkaliśmy się w jej mieszkaniu położonym kilka kilometrów od centrum Helsinek. Coogan i jej współpracownicy niedawno zakończyli badania, w ramach których analizowali wpływ powszechnego użytkowania telefonów komórkowych na relacje mię-

dzy nastolatkami oraz nimi samymi i rodzicami. „Sposób komunikacji między młodymi ludźmi a ich rodzicami uległ całkowitemu przeobrażeniu – przyznaje Coogan. – Nazwałam to zdalnym rodzicielstwem. Rodzice idą do pracy, a kiedy ich dzieci wracają późno do domu, już śpią. Pozostaje im więc tylko wirtualna łączność. Mogą do siebie dzwonić i wysłać SMS-y”. Na początku roku 2000 z telefonów pracujących w sieciach GSM wysyłano na całym świecie przeszło trzy miliardy SMS-ów miesięcznie. Do końca tego roku liczba ta urośnie do 30 miliardów, czyli niemal miliarda wiadomości dziennie.

„Rodzice myślą, że wiedzą, gdzie są ich dzieci, ponieważ mogą im przesłać wiadomość. Niekiedy w ogóle nie spotykają przyjaciół dzieci. Te zaś nie dzwonią na numery telefonów stacjonarnych, lecz bezpośrednio na komórki. Tym samym rodzice zostają odcięci od dziecka”. Podczas badań prowadzonych przez ostatnie dwa lata w Helsinkach i okolicach Coogan stwierdziła, że wszystkie badane osoby między 16. a 18. rokiem życia miały własną komórkę. „Są nawet

czterolatki, które mają komórki. Matki wysyłają dzieci do parku, a kiedy tracą je z oczu, dzwonią. Przypuszcza się, że połowa 10-latków ma już telefony. Tak było w ubiegłym roku. Teraz z pewnością liczbą te są wyższe”.

Jeszcze tego samego wieczoru zapytałem Franka Nuovo, czy dostrzega ciemną stronę takiego uzależnienia się od nowej potężnej technologii. „Oczywiście, że tak. Nie należę do tych, którzy uważają, że technologia jest zawsze bez winy. Ostatecznie decyzję o tym, co jest właściwe dla dziecka, podejmuje rodzic. Samochody zanieczyszczają środowisko i to mi się nie podoba. Ale nie znaczy to bynajmniej, że nie powinniśmy ich używać. Musimy wykorzystywać technologię w odpowiedzialny sposób”.

W ostatnich dniach uwagę Franka Nuovo pochłania kolejne wielkie przedsięwzięcie. Nie chce nic zdradzić poza tym, że ma ono odzwierciedlać zmianę schematu myślenia o sposobie używania telefonu. Nokia oficjalnie mówi, że telefony z wbudowanymi kamerami będą ważnym krokiem ku systemowi szybkiej i ciągłej łączności obejmującej tekst, obraz wideo i Internet.

W Kalifornii Nuovo pokazał mi kilka modeli, które, kiedy sieć będzie na to pozwalać, umożliwią ludziom przysyłanie dowolnej osobie obrazu ciągłego.

Przenosiny

Na ulicy w Helsinkach spytałem go, czy nie obawia się, że wideo-telefony i inne dodatkowe funkcje zaszkodzą prostej estetyce, którą on i jego koledzy z Nokii zdają się tak cenić. „Nie, jeśli się je wprowadzi we właściwy sposób. Wprowadzanie na siłę dodatkowych funkcji nie przynosi dobrych rezultatów, ale nie zapewni ich też ignorowanie technologicznych możliwości”. Mało kto wie, że swego czasu Nokia nie chciała instalować w swoich telefonach funkcji umożliwiającej odbieranie i wysyłanie SMS-ów. Dziś wiele osób wybiera modele Nokii właśnie ze względu na tę funkcję.

Wchodzimy do salonu z telefonami. Dla Nuovo mógłby to być równie dobrze sklep z zabawkami. „Spójrz na ten aparat – mówi, wskazując Siemensu SL45, jeden z najnowszych i wielofunkcyjnych tele-

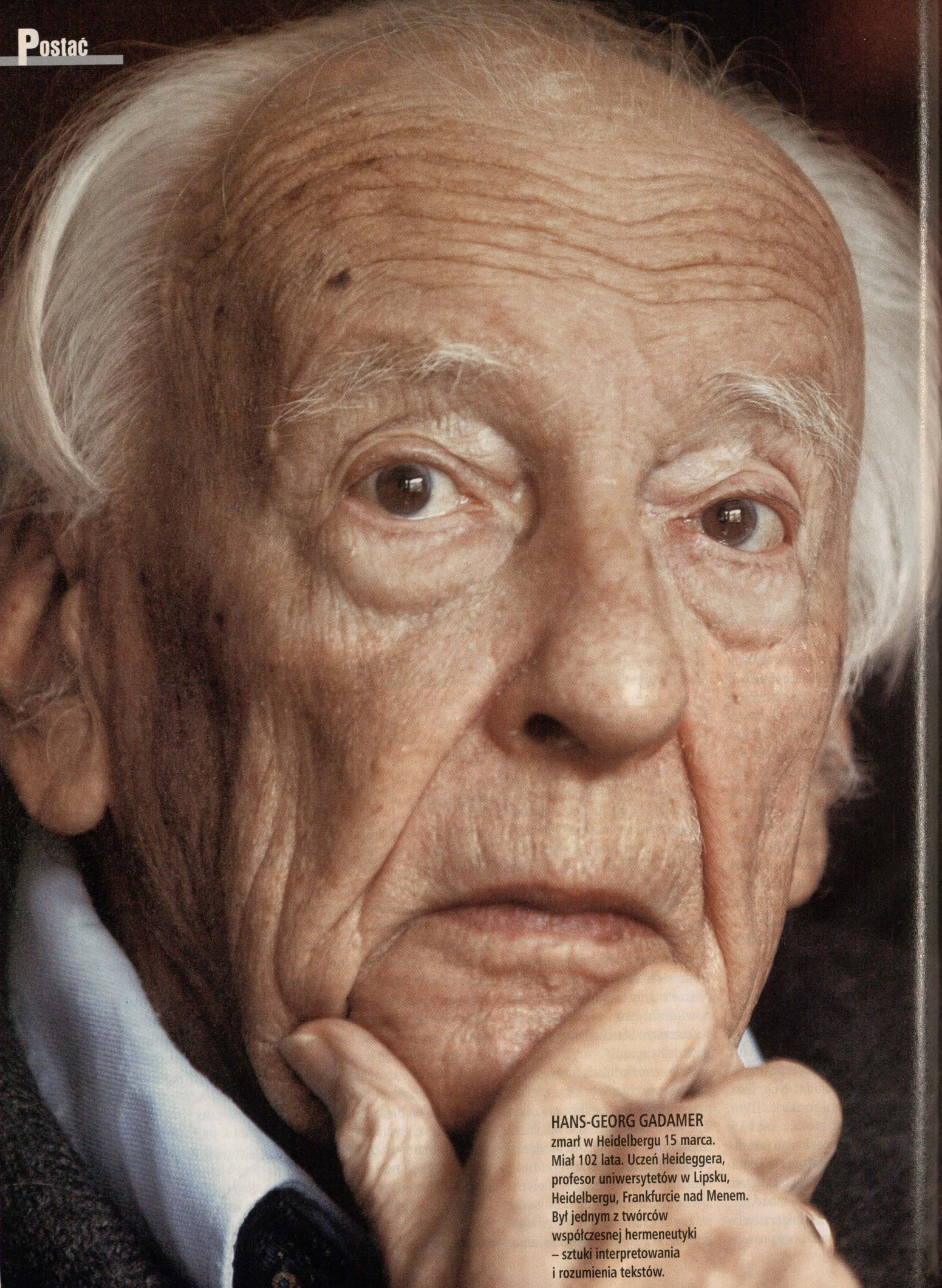
fonów dostępnych na rynku. – To jest technofon. Możesz go zsynchronizować ze swoim komputerem, odtwarzać pliki muzyczne MP3 i Bóg wie co jeszcze. Dlaczego ludzie go kupują? Bo fajnie wygląda i sprawdza się jako telefon. W tym właśnie, a nie w gadaniu o wielofunkcyjności, widzę przyszłość branży”. Nuovo szerokim gestem omiata dziesiątki modeli. „Każdy jest inny. Tak samo jak adidasy, rowery, motocykle i samochody. Wszystkie te przedmioty służą do przenoszenia ludzi w inne miejsca. Ale czy adidasy robią to samo co samochody? Oczywiście, że nie. A rower? Czy chcesz jedną z tych rzeczy? Nie. Ty potrzebujesz każdej z nich”. W jego oczach pojawia się coś między roztargnieniem a pasją. „Chcę powiedzieć tylko jedno: niedługo nie będziemy się mogli bez nich obejść”.

MICHAEL SPECTER

tłum. Wawrzyniec i Maciej Smoczyński

Artykuł ukazał się po raz pierwszy w tygodniku „New Yorker”.

Dziękujemy firmie Nokia za udostępnienie materiałów fotograficznych.



HANS-GEORG GADAMER
zmarł w Heidelbergu 15 marca.
Miał 102 lata. Uczeń Heideggera,
profesor uniwersytetów w Lipsku,
Heidelbergu, Frankfurt nad Menem.
Był jednym z twórców
współczesnej hermeneutyki
– sztuki interpretowania
i rozumienia tekstów.

JOANNA TOKARSKA-BAKIR

Ostatni świadek

Czy filozofia jest nam dzisiaj do czegoś potrzebna? A filozof to kto i po co? Przecież od myślenia współczesny świat ma ekspertów. Ale zostańcie jak dzieci, a wówczas zaczniecie sami filozofować – zapewniał Hans-Georg Gadamer

„Jest nieodpartą prawdą, że każdą stratę, nawet najcięższą, można przeboleć, i że to właśnie nazywa się »życiem« – napisał kiedyś Hans-Georg Gadamer, o którym do 13 marca tego roku mówiliśmy: najwybitniejszy z żyjących filozofów. Umarł, zostawiając nas z tym zdaniem. „Ostatni filozof” – napisano w nekrologach. Ostatni, co potrafił tak czytać Platona. Ostatni świadek. Ostatni, który wierzył w rozmowę.

Dwa lata temu obchodził setne urodziny. I w tym był najlepszy: żaden wielki filozof nie doczekał tak późnego wieku. Trzymał się nad podziw krzepko. W swoim instytucie bywał w każdy poniedziałek, choć od dłuższego czasu nie przyjeżdżał już na rowerze. W dniu jubileuszu jego głos rozbrzmiewał donośnie w auli Starego Uniwersytetu w Heidelbergu, nie trzeba było mikrofonu.

Dwa lata temu 11 lutego wypadł tuż przed karnawałem. Urodziny świętował z Gadamerem cały Heidelberg, dziwne miasto, rozlokowane symbolicznie – między Świętą Górą (Heiligenberg) i Królewskim Tronem (Königstuhl). W tym jego geograficznym położeniu niektórzy dopatrywali się kompromisu, na jaki od wieków skazani są intelektualiści. Mieszkali tu między innymi Brentano, von Arnim, Hölderlin, Jean-Paul, Hegel, Windelband, Weber, Buber, George, Arendt, Jaspers, jednak niektórzy wyrażali się o tym mieście z zaskakującym przekąsem. Na przykład Goethe pisał, że „Heidelberg to znakomite miejsce na nastrojowy trzydniowy pobyt” (w domyśle: nie dłużej). Z kolei Hannah Arendt utrwaliła obraz powojennego Heidelbergu jako żenującej prowincji myślowej.

Gadamer był jednym z ostatnich dowodów świetności tego miasta, świetności, która odeszła stąd wraz z nastaniem Hitlera. Heidelberg poddano wówczas tak dokładnemu „czyszczeniu”, że z placu Uniwersyteckiego usunięto nawet rzeźbę Pallas Ateny dłuta żydowskiego rzeźbiarza i zastąpiono politycznie poprawnym wizerunkiem Germanii. W mieście w areszcie domowym pozostał wtedy tylko jeden zakładnik, Karl Jaspers, niemiecki filozof żonaty z Żydówką. Gdy po wojnie, po klęsce swojej *Schuldfrage*, czyli „pytania o winę”, które odważył się zadać rodakom, także i on zdecydował się stąd wyjechać, na jego posadę w Seminarium Filozoficznym przyszedł właśnie Hans-Georg Gadamer.

W ostatnich dniach karnawału, w Rosenmontag i Fastnacht, przez Heidelberg ciągnie pochód. To lokalna tradycja, trochę naciągana, bo humor nie jest mocną stroną tubylców. Mówiono mi, że w karnawałowym pochodzie w roku 2000 obok kukły kanclerza Kohla, wtedy akurat nękane skandalem finansowym, i Beate Uhse, zmarłej niedawno potentatki niemieckiego przemysłu erotycznego, wdzięczni rodacy nieśli też figurę Gadamera. Jeśli to prawda, to dobrze świadczy o Niemcach. W dzisiejszej Polsce trudno sobie wyobrazić procesję dziękczynną dla jakiegokolwiek filozofa i nie jest to tylko wyraz od reagowania po marksizmie-leninizmie.

Gorycz i iluzje

Zanim znalazł się w Heidelbergu, po habilitacji u Heideggera, Gadamer był najpierw prywatnym docentem w Marburgu (1928–1937),

potem zaś w Lipsku (1939–1947). Gdy po objęciu władzy przez Hitlera zdecydował się zostać w kraju, przyhamował nieco swe badania nad Platonem. Analizując platońską „dyktaturę pedagogów”, nie chciał się znaleźć zbyt blisko aktualnej dyktatury. W roku 1937 przyjął co prawda stanowisko profesora po usunięciu za pochodzenie Richarda Kronera, ale w partii faszystowskiej nie był nigdy. Odmówił też wstąpienia do popieranego przez nazistów towarzystwa neokantystów i prowadził seminarium z filozofii Husserla wyklętego ze względu na „niearyjskość”. Jako że z wojny wyszedł „czysty”, bez zarzutów obciążających większość kadry profesorskiej (w tym jego nauczyciela Martina Heideggera), zanim przeprowadził się na zachód, zdążył jeszcze zostać rektorem uniwersytetu w radzieckiej strefie okupacyjnej.

Mimo tych wszystkich atutów ani życiorys Gadamera, ani jego własna nad nim refleksja nie stanowią najmocniejszej strony filozofa. W wydanej u nas autobiografii „Moja droga do filozofii” o okresie 1933–1939 Gadamer gawędzi z lekkością rażącą u kogoś, kto w „Prawdzie i metodzie” z takim wyczuciem pisywał o takcie i smaku. Gdy w „Mojej drodze...” paple o „dykretnych metodach podnoszenia rączek” w epoce hitlerowskiej, czytelnikowi wcale nie jest do śmiechu, a zdanie: „Nasi żydowscy przyjaciele musieli nas opuścić” z tej samej książki brzmi fałszywie w kontekście wcześniejszego komentarza do lektury „Mitu XX wieku” Rosenberga: „Chyba zrozumiałe, że nie dostrzegłem żadnego niebezpieczeństwa w tych nadętych bredniach”. Kiedy jednak przysta-

na drażniący powściągliwą manierę tych wspomnień, dostrzega się w nich też i inne składniki: rozczarowanie, gorycz, niespełnienie. I tajony wstyd, jak w wyznaniu: „Nauczyłem się wtedy – na sobie i innych – jak łatwo człowiek stwarza sobie iluzje, gotów nie uważać wszystkiego za złe, gdy sam nie stoi pod pręgierzem. A jednak nigdy nie można dobrze wyuczyć się tej lekcji”.

Wielokrotnie słyszałam o Gadamerze, że jest to filozof „bardzo niemiecki”. Gdybym miała zgadywać, co to właściwie znaczy, nie mówiłabym ani o rzetelności, ani o zamiłowaniu do systematyki, ale właśnie o tej porażającej, zapierającej dech wstrząsliwości, którą czasem naprawdę trudno odróżnić od wygodnych przemilczeń, a nawet hipokryzji. Co za paradoks, że to właśnie ten filozof wypracował skuteczne narzędzia obnażania „przesądów”, przełamywania dogmatyki i pokonywania wewnętrznej cenzury.

Pytanie zamiast odpowiedzi

Jakim był filozofem? Zamiast opowiadać, lepiej pokazać, bo wiadać to choćby w zdaniu, od którego zaczęłam ten artykuł. „Jest nieodpartą prawdą, że każdą stratę, nawet najcięższą, można przeboleć, i że to właśnie nazywa się »życiem«”. To nie brzmi źle, prawda? Niby filozoficznie, ale przecież zrozumiale. Więcej: mądrze. Jest w tym zdaniu jakiś patos, ale ten patos nie drażni. Zamiast się zachęcać, przytakujemy: tak naprawdę jest w życiu.

To typowa sztuczka Gadamera. Podchodzi czytelnika jak płochliwego konia, a gdy biegnie on już

narzuconym rytmem, błyska mu w oczy mądrością. Zdezorientowany czytelnik brnie dalej. Bierze do ręki książkę, po którą bez zachęty nigdy nie miałby odwagi sięgnąć, a już po chwili sam bezwstydnie filozofuje. Gadamer zachęca. Czy chodzi o hermetyczną filozofię, czy o poezję, jego wiedza przytłacza, ale nigdy nie zawstydzia. „Wiersze mówią o nas wszystkich – słyszymy w dziele „Poetica”. – My wszyscy wiemy albo musimy się nauczyć, czym jest powrót. W tych wierszach zatem stykamy się sami ze sobą, ucząc się tego, co wiemy”. Zdania

fii. Miej odwagę pytać i czekać na pytania. Bo prawdziwych pytań się nie wytwarza. One się zdarzają albo nie...

Eksperci przeciw mędrcom

Gadamer uważa, że to współczesna nauka odczytała człowieka pytać, a w konsekwencji i myśleć. Dziś myślą za niego eksperci. Człowieka nie interesuje źródło, z którego eksperci czerpią wiedzę. Wystarczy mu, że uświęca je autorytet nauki. W „Prawdzie i metodzie”

Gadamer. Eksperci troszczą się, by to, co człowiek ma do swojej dyspozycji, zostało wykorzystane maksymalnie, najbardziej ekonomicznie, najbardziej użytecznie. Nie do nich należy pytanie, kim właściwie jest człowiek, i o sens samej użyteczności. Kto ma odpowiedzieć na to pytanie? Chyba tylko inni eksperci, ci od religii, psychologii. W taką pułapkę wpadła ludzkość wieku technologii. Na własne życzenie pozbyła się zdolności i narzędzi rozumienia, a zaraz potem, zdziwiona, zaczęła narzekać na własne wyobcowanie ze świata.

Rehabilitacja przesądów

Jeśli ludzie chcą na powrót za-domować się w świecie i odzyskać władzę nad swoim życiem, powinni więc inaczej spojrzeć na swoje przesady. Nie są one tylko, jak myślało o nich oświecenie, jakimś „oparem światła rozumu ćmiącym”. Bez przesądów, nawet takich, które trzeba porzucić, bo przy bliższym obejrzeniu okazują się jednak wspomnianym oparem, w ogóle nie ma rozumienia. Aby zrozumieć, trzeba najpierw nie rozumieć, zaryzykować, wystawić swoje uprzedzenia na próbę. Jest to w każdym razie uczciwsze, niż chować je pod kocem, strzec, by nie przegrały przypadkiem w starciu z cudzą prawdą. Gadamer ostrzega przed ludźmi „bez przesądów”: nie są godni zaufania, nie mówią prawdy.

Rehabilitacja przesądów nie znaczy jednak, by występując przeciw oświeceniowemu ideałom, filozof usprawiedliwiać obskurantyzm, oportunizm czy bezmyślność. Przeciwnie. Ponieważ każdy, nikogo nie wyłączając, ulega przemiennej sile własnych uprzedzeń, jedynym, co w takiej sytuacji istotnie może ludzi wyróżniać, jest świadomość własnego uwikłania, a także, w konsekwencji, zdolność rozumienia świata. Trzeba się przyznać, gdy się go nie rozumie, ale nawet ryzykując, że rozumie się źle, trzeba się też przyznawać, gdy się z niego coś jednak zrozumiało. Tylko wtedy powstaje szansa, że skorzystają na tym też inni. Każdy z nas jest w istocie wart tyle, ile warte są jego przesady, czyli to, co naprawdę uważa za wartościowe, to, czego naprawdę spodziewa się po sobie i innych, to, dla czego jest w stanie zdobyć się na ryzyko.

Z chwilą gdy człowiek uświadamia sobie, że odpowiedzialności za życie nie zdejmie z niego żaden ekspert, ma szansę „powrócić

do siebie”, odzyskać tożsamość. Droga powrotu biegnie przez dziedzinę, z której nikogo nie można wykluczyć – przez język. Na co dzień nie zdajemy sobie sprawy, jaką rolę odgrywa on w naszym rozumieniu świata. Zapatrzeni w ideał wiedzy naukowej pogardzamy nim podobnie jak przesadami. Aspirując do języków ścisłych i sztucznych, nie doceniamy cudu języka naturalnego. Nie zawsze tak było. Od starożytności do wieku XVIII w Europie w cenie była retoryka, w której Gadamer dopatruje się nie tylko sztuki wymowy, lecz także ugruntowania mądrości, wiedzy praktycznej. Odzyskiwanie mądrości musi się odbywać także za pośrednictwem języka i naprawę nie chodzi tu o piękne mówienie. Chodzi o namysł nad sensem słów i odzyskanie zdolności rozumienia świata.

Gadamer pisze w dziele „Poetica”: „Poplątanie nazw rzeczy oznacza największe niebezpieczeństwo i skrajną bezbronność. Pamiętamy nie tylko, że Lao-Cy chciał zacząć od poprawnego ustalenia nazw, gdyby miał panować, i nie tylko

Tukidydes opisuje spustoszenie, jakie nastąpiło w nawiedzonych przez dżumę Atenach, na przykładzie zmiany znaczeń słów. Znamy potworne zafałszowanie pojęć, jakiego w każdej epoce dopuszczają się uwodziciele ludu. (...) Nie rozumiem już świata ten, kogo nie otacza ochronny pierścień swojskich słów”. Trzeba więc odzyskać słowa i Gadamer uczy, jak to robić.

Przed wszystkim nie wolno porzucić na tym, co jest w słownikach. Zanim zajrzesz do słownika, sprawdź, jak to słowo brzmi w twojej głowie. Dokąd cię prowadzi. Czego strzeże, co ukrywa, wymija. Ile jest w stanie unieść. Czy budzi zaufanie. O ile cudze słowa trzeba nieraz przywoływać do porządku, własnym warto raczej zaufać.

„Najpiękniejsza harmonia”

Czy jednak to wystarczy? Czy odzyskanie języka w gębie jest wystarczającą rękomią mądrości? Mówić coś to jeszcze nie znaczy coś wiedzieć. Przecież mędrzec to raczej jakąś niż retor. Sokrates zwalczający własne tezy w ustach in-

nych pokazuje, że dopiero w kontekście czyjegoś życia słowo nabiera znaczenia. Nie ma w tym cynizmu ani relatywizmu. Jest przeświadczenie o absolutności prawdy, której nie można wpisać w żadną z góry znaną regułę czy kryterium. Jak uczył Platon, najpiękniejsza harmonia nie tkwi w słowach, ale w zgodności słów z życiem tego, który mówi.

Gadamer tylko częściowo uznaje tę zasadę. Skłania się ku niej, gdy twierdzi, że życie – ściślej: przesady mówiącego – nie są obojętne dla sensu jego słów, bo zasadniczo warunkują jego rozumienie. Polemizuje zaś, wskazując na ograniczenia interpretacji biograficznej, nade wszystko zaś wtedy, gdy pod pozorem unikania ekshibicjonizmu sam skrupulatnie maskuje w tekście własne poglądy, lekceważąc życiowe uwarunkowania. Autobiografia – tłumaczy w „Poetica” – „ma sens w ogóle tylko pod warunkiem, że wszyscy jesteśmy w tej autobiografii uwzględnieni”. Postulat dobry, ale niewykonalny...

W eseju o poezji Rilkego Gadamer napisał, że szczerość to najtrudniej-

sze słowo. Ktoś, kto był świadkiem pierwszego zeppelinu i katastrofy „Titanica”, musiał przejść długą drogę w dziedzinie szczerości. Urodził się i ukształtował w czasach, gdy jej wzór wyznaczała przypisywana Paulowi Natorpowi dewiza „De nobis ipsis silemus” („O nas samych lepiej zamilczmy”), którą filozof z Heidelbergu w geście nieco kokieterijnym umieszcza w charakterze epigrafu na tytułowej stronie autobiografii. Dziś wszystko się odwróciło. Ale nieprawdą jest, że dzisiejszy cyniczny świat w nic nie wierzy. Dzisiejszy świat, podobnie jak każdy świat w ogóle, pragnie, by go przekonywano. Jest jednak nieufny, bo zbyt często słyszał: „Róbcie, jak mówię, nie mówcie, jak robię”. Właśnie dlatego wymaga od filozofa, by odślaniał też siebie, swoje osobiste i intelektualne wybory, by szukał języka dla nowej szczerości. Szczególnie zaś oczekuje tego od kogoś, kto zamiast wystawiać ekspertyzy, raz po raz przywołuje, wręcz forsuje, słowo „mądrość”.

JOANNA TOKARSKA-BAKIR



Hans-Georg Gadamer (z lewej) z Martinem Heideggerem w wiejskiej posiadłości rodziny Heideggerów w Todtnauber Holz w roku 1923

krótkie jak wdech i wydech. Tak mówi się do analfabetów albo do dzieci. Najpierw mowa jest o wierszach i o jakimś powrocie. Ale jak rozumieć sam koniec? Uczyc się tego, co wiemy? Na filozofii?

Właśnie tak. Filozofować to być początkującym – powtarza Gadamer za swoim nauczycielem z Marburga. Wbrew temu, czego nas nauczono, filozofia nie ma nic wspólnego z encyklopedią, z posiadaniem racji, z prestiżem, z „moimi słusznymi poglądami na wszystko”. Nie wystarczy znajomość prawidłowych odpowiedzi. Filozofia to stawianie pytań, a w pytaniach najlepsze są dzieci. „Stań się dzieckiem” – tak brzmi propedeutyka tej filozo-

Gadamer odważył się zakwestionować to źródło. Rzucił wyzwanie potęgom swoich czasów, tym, o których Józef Czapski napisał, że „od skromnego przyznania, że cały świat nie jest dla nas poznawalny”, przeszły „do brutalnej negacji wszystkiego, czego nie możemy poznać”. Zwrócił uwagę, że to, co było myśleniem dla Sokratesa i Platona, nie mieści się w zakresie zainteresowań ekspertów. I że obok *episteme* – wiedzy naukowej – ludziom potrzebna jest też *fronesis* – to co dawniej określało się po prostu jako mądrość.

Po co dziś komu mądrość? Nie wystarczy wiedza specjalistyczna? Nie, nie wystarczy, odpowiada

O jakich zdolnościach i narzędziach jest tu mowa? Gadamer nazywa je prowokacyjnie „przesadami”. Nie ma jednak na myśli zaborów, ale tę cechę ludzkiego poznania, która sprawia, że wobec żadnej rzeczy w ludzkim świecie nie jesteśmy neutralni, że żadnego poznania nie zaczynamy od zera. Nawet gdy nie wiemy, czym jest ta rzecz w ciemnym pokoju, czegoś się w niej boimy albo po niej spodziewamy. To zjawisko nazywane w filozofii przedrozumieniem napiętnowane zostało przez naukę jako zasadnicza przeszkoda w poznawaniu. Ideały naukowe głoszą bezstronność i neutralność. Gadamer twierdzi, że są one nieosiągalne,

Podróżuj z

Księgą Świętą

Jan Paweł II

przeżyjemy kanonizację ojca Pio

W programie:
zwiedzanie bazyliki św. Antoniego w Padwie, San Giovanni Rotondo, modlitwa przy grobie o. Pio, Rzym, Florencja, Wenecja, a także wykład Grzegorza Polaka na temat życia i działalności o. Pio.
Liczba miejsc ograniczona. Decyduje kolejność zgłoszeń. Aby wziąć udział w pielgrzymce, wystarczy wypełnić załączony kupon i przesłać na adres redakcji.

Cena wycieczki obejmuje: przejazd luksusowym autokarem z klimatyzacją, WC, barkiem, wideo, wyżywienie (śniadania i obiadyokolacje), ubezpieczenie, zakwaterowanie w pokojach 2-3-osobowych z łazienkami oraz bilety wstępu.

Cena promocyjna:
2200* zł zamiast 2589 zł
* równowartość 598 euro. Ostateczna cena zostanie przeliczona po kursie PKO SA z dnia 2.06.2002 r.

OFERTA WAŻNA TYLKO Z KUPONEM

Oferta ważna do 5 maja 2002 r.

– pojedźmy razem na pielgrzymkę

9-dniowa pielgrzymka 12-20.06.2002r. na kanonizację ojca Pio

Dodatkowych informacji udziela Magdalena Kućma – tel. 0 11 628 39 08

KUPON RABATOWY – 15% KUPON RABATOWY – 15% KUPON RABATOWY – 15% KUPON RABATOWY – 15%

Tak, jestem zainteresowany/a pielgrzymką do Włoch na kanonizację ojca Pio w dniach 12-20.06.2002 r. Proszę o przesłanie oferty i umowy: imię i nazwisko..... nr domu..... nr mieszkania..... kod miejscowości.....

Ja, poniżej podpisany/a, wyrażam zgodę na przekazywanie moich danych osobowych przetwarzanych przez Wydawnictwo Edipresse Polska S.A. innym odbiorcom w celach reklamowo-marketingowych.

/data i podpis/

IDA NOGI!

Jak wiadomo z zoologii • Każdy koń ma cztery nogi • Ale kto z uczonych wie • Czemu cztery, a nie dwie? | • Struś nogami biega dwiema • A wąż nawet jednej nie ma • Gdyby

Ma dwie nogi każdy bociek • Ale kto z uczonych dojeżdża • Czemu każdy bociek w nóg • Jedną nogę chować zwykły? | • Obliczono, że stonoga • Ma sto nóg, lecz ta nie bogata

Właściwie w połowie składamy się z nóg. Nic więc dziwnego, że poświęcamy im tyle uwagi

OLGA WOŹNIAK

„Co to za zwierzę, obdarzone głosem, które z rana chodzi na czworakach, w południe na dwóch nogach, a wieczorem na trzech?” – pytał Sfinks, mieszkający w Tebach potwór o twarzy i piersiach kobiety, ciele lwa ze skrzy-

dłami jak u ptaka. Zanim zagadka została rozwiązana, zginęło wiele dziewcząt, które zwierzę ów chrupał ze smakiem. Obżarstwo Sfinksa położył kres król Edyp, który taką dał odpowiedź: „Człowiek chodzi rano, to jest w dzieciństwie, na czworakach, gdy urośnie, staje się zwierzęciem dwunożnym, a w starości, która jest życia wieczorem, podpira się laską, jakby mu trzecia noga przybyła”. Już starożytni spostrzegali, że to właśnie dwunożność wyróżnia człowieka z – przeważnie – czworonożnej menażerii.

Wcześni przodkowie *Homo sapiens* stanęli na dwóch nogach około pięciu milionów lat temu. Od chwili, gdy dwiema nogami wmaszerowali w epokę człowieczeństwa, swym dolnym kończynom poświęcamy sporo uwagi.

Choć, zależnie od czasów, jesteśmy dość niezdecydowani, czy powinniśmy je odsłaniać, czy usuwać z widoku publicznego, jedno jest pewne – nogi zdecydowanie wkroczyły w obszar naszej kultury i obyczajów.

Noga człowieka nie jest zbyt wyrafinowaną konstrukcją. Tworzą ją głównie cztery kości: masywna kość udowa (najdłuższa ze wszystkich kości w ludzkim ciele), rzepka chroniąca od przodu staw kolanowy, kość piszczelowa, tworząca staw z kością udową, oraz leżąca przy niej z boku kość strzałkowa.

Takiej budowie zawdzięczamy niezwykłą wytrzymałość naszych kończyn, co pozwala bić rekordy w biegu, marszu, jeździe na rowerze, łyżwach, nartach, w skokach oraz podrzucaniu stopami stołu – czyli dyscyplinach, w których bez tej części ciała ani rusz. Nogi są symbolem stabilności, siły i ruchliwości. I choć nie każdemu są dane długie aż po samą szyję, jednak gdy popatrzymy na siebie krytycznie, dojdziemy do wniosku, że właściwie w połowie składamy się z nóg. Na proste nogi dorosłego człowieka przypada bowiem połowa wysokości ciała. Czemu więc się dziwić, że od wieków przywiązujemy do nich tyle wagi?

Wstydlive słowo „noga”

W kulturze Zachodu pokazywanie nóg od dawna związane jest z silną podniętą

za zbyt przypominające ludzkie. Toteż podczas koncertów, by nie budzić zgorszenia towarzysza, trzeba je było ubierać w plisowane „spodnie”. W owych czasach moralność nie pozwalała także na jedzenie kurzych, z przeproszeniem, udek – w ich miejsce spożywano „ciemne mięso”. Nogi były tabu.

Bicykle wiozą wolność

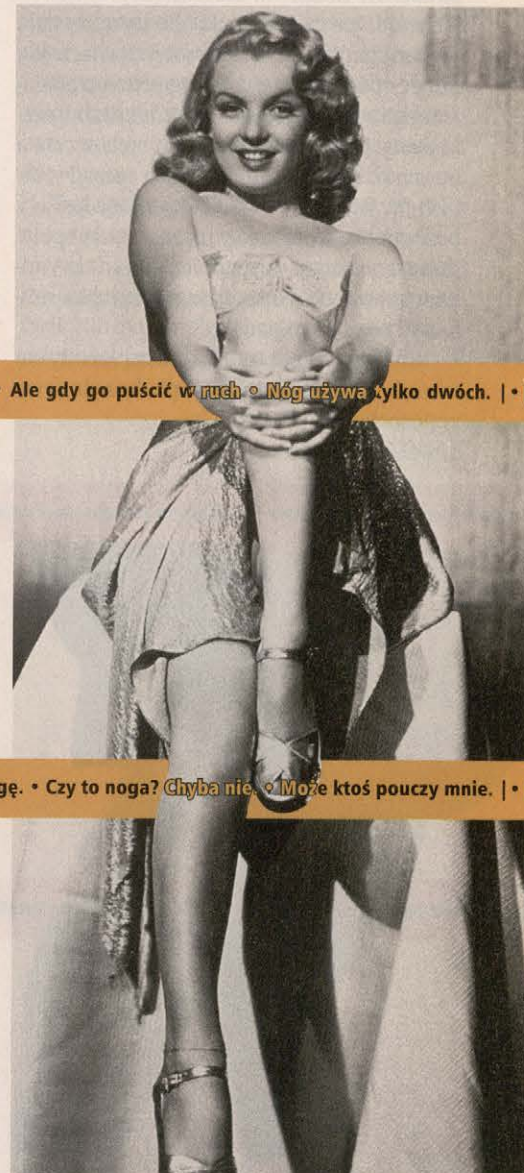
Stan ten utrzymywał się mniej więcej do I wojny światowej. A dokładniej do czasu, gdy świat opanował nowy wynalazek – bicykl. Na przełomie XIX i XX stulecia przemknął prawdziwy bicyklowy huragan. Spowodował milionowe straty producentów powozów i uprząży końskich. Nawet najubożsi ludzie starali się zaoszczędzić ostatnie grosze, aby po wielu wyrzeczeniach pozwolić sobie na kupno roweru. A że tego dwukołowego pojazdu trudno dosiadać w powłóczyście kciakach – moda starała się sprostać nowym wyzwaniom. Skorzystały na tym nogi.

Gdy w roku 1911 najnowsze kolekcje francuskich projektantów zaprezentowały spódnice-spodnie umożliwiające paniom wygodną

wylądowała na proscenium kinoteatru, w męskiej orkiestrze przygrywającej do niemych filmów. Musiała tak zarabiać na życie. Niedługo jednak.

– Panno Marleno, niestety muszę panią zwolnić – oświadczył pewnego dnia Giuseppe Becce, szef orkiestry wytwórni filmowej, w której grała. Był wyraźnie zakłopotany. – Pani nogi... – wybąkał wyjaśniająco. – Są za długie. Koledzy się rozpraszają. Zamiast w nuty zerkają na pani nogi.

W latach 20. kobiety odsłoniły tyłki. Marlena straciła pracę, bo jej sukienka kończyła się zbyt wysoko.



Marilyn Monroe. Piękne nogi nie sięgają do samej szyi

Takie sytuacje nie były odosobnione. Twierdzono powszechnie, że „nowoczesne panny” zachowują się jak ładaczniczki. Urzędnikom, kelnerkom, sklepowym zabraniano chodzenia do pracy w modnych krótszych spódnicach.

Czego się obawiano? Im bardziej widać nogi, tym łatwiej wyobrazić sobie miejsce, w którym się one łączą...



Pozycja nóg wyraża czasem więcej, niż byśmy chcieli. Dobrze wiedzą o tym politycy

erotyczną. Kolejne epoki dyktowały, jaki kawałek nogi kobieta mogła pokazać mężczyźnie.

W związku z tym przez poprzednie kilkadziesiąt lat nasze dolne kończyny niemal znikły z pola widzenia, zakutane w fałdy spódnic i halek. Nawet mignięcie kostki było szokujące dla tak zwanej opinii publicznej.

W czasach wiktoriańskich doszło do tego, że z powodu jawnie gorszących skojarzeń samo słowo „noga” znikło ze słownika wytwornego towarzystwa. Próbowano tworzyć dla niego nieudolne eufemizmy. Udawano, że tworzy takie jak nogi w ogóle nie istnieją. Co gorsza, dotyczyło to także stołów i fortepianów.

Nogi tych ostatnich wiktoriańska wyobraźnia, drażniona licznymi zakazami, uznała

jazdę na rowerze, uznane one zostały za ubiór wysoce niemoralny i gorszący. Na wszelkie protesty było jednak za późno. Kobięce nogi wyzwoliły się z krępujących fałd materiału i popędziły na spotkanie nowoczesności.

Lata 20., przynosząc ruch sufrażystek i skoczny charleston, spowodowały, że buntownicze kobiety tego czasu zuchwale obnażały tyłki, a nawet kolana. Tego tak zwana opinia publiczna znieść nie mogła.

Na własnej skórze odczuła to wschodząca wtedy gwiazda ekranu – Marlena Dietrich. Błękitny anioł z nogami do samego nieba. W owym czasie miała 20 lat i nie zamierzała zostać aktorką. Chciała być skrzypaczką. Na skutek niefortunnego zbiegu okoliczności

Trudno się zatem dziwić, że gdy w roku 1946 francuski projektant mody Louis Réard zaprojektował kuse majteczki kostiumu bikini, żadna szanująca się modelka nie chciała wyjść „w czymś takim” na wybieg. Réard do pokazu musiał zatrudnić dziewczyny na co dzień pozujące do aktów.

Czy należy wyciągnąć wniosek, że im więcej widać nogi, tym społeczeństwo pełniejsze seksualnego wigoru? Socjolog Desmond Morris ma inną teorię: „Jeśli prześledzimy kolejne zmiany spódnic na przestrzeni dziesięcioleci – pisze – to okaże się, że krótkie spódnice nastawały w czasach gospodarczej prosperity, długie – w okresach depresji. Krótkie spódnice szalonych lat 20. ustąpiły pola długim spódnicom w kryzysowych latach 30., długie spódnice spartańskiego okresu powojennego zostały wyparte przez minispódniczki pełnych rozmachu lat 60. Po nich przyszła pora na długie spódnice okresu recesji w latach 70. Wygląda to tak, jakby młode kobiety pod wpływem nastrojów panujących w społeczeństwie okazywały stopień swego optymizmu i pewności siebie wysokością rąbka sukni nad poziomem podłogi”.

Krótkie spódnice lat 20. zapoczątkowały erę triumfu nóg. Jej kulminacją były nylonowe pończochy i spódniczki mini.

Wyraz zachodniej degeneracji

Pończochy z nylonu mają w Internecie prawdziwe fancluby. Choć ten „sztuczny jedwab” dawno już wyparła lycra, to właśnie kobieca noga odziana w „nylony” kończące się zapiwką pasa do pończoch jest nadal dla wielu symbolem kobiecego seksapilu.

Nylon wynaleziono tuż przed II wojną światową. Jej wybuch opóźnił nylonową rewolucję. W tym czasie nikt nie myślał o takich zbytkach, a kobietom często wobec powszechnego kryzysu pozostawało malować sobie nogi na kolor pończoch i znaczyć na łydce szew ciemną kredką. Wojna się skończyła. Pończochy wróciły. W Nowym Jorku jeden z większych supermarketów sprzedał 50 tysięcy par nylonów w ciągu sześciu godzin. Kroniki miasta Pittsburgh donoszą, że w roku 1947, podczas potwornej burzy, 40 tysięcy kobiet stało w nocy w kolejce, w nadziei, że rano do sklepu rzucią pończochy. Za nieco ponad dekadę taki sam szal wywołują minispódniczki.

Tym, co symbolizowały krótkie spódnice w latach 60., było poczucie wolności. Młode kobiety na Zachodzie zyskały je dzięki boomowi gospodarczemu oraz wynalezieniu pigułki antykoncepcyjnej. To czas intensywnego lansowania nieskrępowanej seksualności, której ucieleśnieniem była Marilyn Monroe.

Lata 70. posuwają się dalej – obok minispódnic w roku 1971 pojawiają się minispodenki, tak zwane *hot pants*, odsłaniające nogę nawet z fragmentem pośladka.

Moda ta w krajach demokracji socjalistycznej uznana zostaje za wyraz zachodniej degeneracji i „perfidną broń zimnej wojny”.

W latach 80. cel pochodu nagich nóg okazał się jasny: feminizm i walka o równouprawnienie płci. Wtedy nastąpiła kolejna zmiana. Powróćmy do teorii Desmonda Morrisa. Obraz gospodarki nie był wówczas jednorodny, a więc zapanowało zamieszanie także w spódnicach – mini, maxi, midi.

Awangarda kobiecej populacji uniknęła dylematu, przywdziewając dzinsy. Ubiór ten dawał się z początku tak kontrowersyjny, że ubrane w nie kobiety wypraszano z miejsc publicznych. W Stanach Zjednoczonych kobiety nie mogły zakładać spodni, idąc do biura, szkoły czy restauracji. Zabraniało tego prawo. Dziś budzi to jedynie uśmiech niedowierzania.

Lewa – diabelska

Nogi tak mocno odcisnęły ślad w naszej kulturze, że astrologowie przypisali im znak zodiaku. Opiekuje się nim Wodnik. W ten sposób weszły w sferę wierzeń i przesądów,

czego wyrazem są liczne przysłowia i powiedzenia z ich udziałem.

Wstanie lewą nogą nie wróży niczego dobrego. Przekonanie co do feralności tej kończyny wywodzi się jeszcze ze starożytności. Rozpoczęcie marszu albo wejście do domu lub świątyni lewą nogą u starożytnych Greków i Rzymian (dziś u muzułmanów) miało przynosić pecha.

Lewa strona była zawsze kojarzona ze złem – szatanem. Dość przewrotnie ten fakt wykorzystuje do dziś... wojsko. Ile razy, widząc maszerujących żołnierzy, słyszeliście komendy:

Podstawowe układy to nogi rozstawione lub rozłożone, złożone i skrzyżowane.

Stanie, siedzenie czy leżenie z rozstawionymi nogami symbolizuje pewność siebie i zmysłowość. Ma także podtekst erotyczny. Podręczniki *savoir-vivre'u* jeszcze w latach 70. zaznaczały, że kobiety nie powinny tak siadać. Elegancko było natomiast „siedzieć z dużym palcem jednej stopy przysuniętym do podbicia drugiej i ze złożonymi kolanami”. Do nieformalnych pozycji zaliczano do niedawna także skrzyżowane nogi.

podobno sprzyja powstawaniu żyłaków, ponieważ powoduje zakłócenia w obiegu krwi”.

Zasady dotyczące nóg różnią się w różnych kulturach. Na przykład klepanie się w uda w Ameryce Południowej oznacza zniecierpliwienie lub złość, w Europie – zaskoczenie, zawstydzenie. Starożytni Grecy i Rzymianie okazywali tak przerażenie lub żal.

Nogę śnić...

W stosunku do nóg trzeba jednak być czujnym nie tylko na jawie. Także we śnie ich obraz może nieść ze sobą konsekwencje.

Śnić o bolącej nodze oznacza troskę, zmartwienie; noga odcięta symbolizuje przykre nowiny; długa – wielkoduszość; umięśniona – odwagę i stanowczość; tusta i krótka – zły humor, okrucieństwo; chuda – nieśmiałość, słabość; skrzywiona – złośliwość, nikczemność; drewniana – to znak, że utracimy podporę.

Dwie proste nogi stanowią o naszym człowieczeństwie, są erotycznym wabikiem, środkiem lokomocji. Wiążą się z nimi przesady i wierzenia, były wyrazem obyczajowej rewolucji. Nie ma się więc chyba co obrażać, kiedy usłyszymy czasem: „Ale z ciebie noga”. Być nogą to zaszczytna rola. Z tradycjami.

OLGA WOŹNIAK



„Lewa, lewa!” nakazujące rozpoczęcie marszu od tej właśnie nogi? Celując „złą” lewą kończyną we wroga, żołnierze mają go przestraszyć...

Noga na nodze

Przyglądamy się bacznie okolicznym nogom. Jak twierdzą znawcy, ich ułożenie nie tylko w wojsku przekazuje określone sygnały.

Choć „zakładania nogi na nogę nie uważa się już za męskie – można było przeczytać w poradnikach dla pań sprzed 30 lat – są powody, żeby tego unikać za wszelką cenę. Po pierwsze, powoduje ono nieatrakcyjne wybrzuszenia na łydkach i udach. Po drugie, ze względu na krótkie spódnice zakładanie nogi na nogę może być nieprzyzwoite, a co najmniej nieskromne. Po trzecie,

Przy pisaniu tekstu korzystałam z „Magii ciała” Desmonda Morrisa, i „Słownika symboli” Władysława Kopalińskiego.

Małpa nie ma nóg, lecz ręce • Obliczyłem je naprędce • Cztery ręce ma, nie dwie • I dlatego tak się zwie. | • Co jest lepsze? Ręce cztery? • Cztery nogi? Będę szczyt | • Ręka prawa, ręka lewa • Człowiek innych rąk nie miewa. • Noga lewa, prawa tuż • No i dość, wystarczy już. | • Mam dwie

nogi i dwie ręce • Wcale nie chciałyby mieć więcej • Bo określa właśnie to • Co jest co, i kto jest kto. | • Stąd wiadomo, że nie krowa • Żem nie kret, nie sowa płowa • Żem nie wąż, nie kot, nie bóbr • Nie stonoga i nie żubr. | • Stąd się właśnie pewność bierze • Że nie jestem ptak ni zwierzę • Tylko człowiek, starszy pan • Który zwie się – Brzechwa Jan.

Nasze nogi są bardzo wytrzymałe. Przekonał się o tym Australijczyk Gary Parsons, który pobił rekord najdłuższego biegu. W czasie 274 dni i 8 minut przebiegł 19 030,3 kilometra. Silne dolne kończyny sprawiają, że jak na dwunożne istoty jesteśmy dosyć skoczni. Rekord w skoku wzwyż należy do Kubańczyka Javiera Sotomayora i wynosi 2,43 metra. Najwyżej o tyczce skoczył Rosjanin Siergiej Bubka – 6,15 metra.

SALON Nr3 N WYTRZEŻWIEŃ

POD REDAKCJĄ TADEUSZA NYCZKA

**O TYM, ŻE W KULTURZE GEOGRAFIA PIONOWA JEST WAŻNIEJSZA OD POZIOMEJ
I O POTRZEBIE EUROPEJSKIEGO SŁOW FOODA ROZMAWIAJĄ:
WŁODZIMIERZ BOLECKI LITERATURA, ANDRZEJ CHŁOPECKI MUZYKA,
PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ KULTURA ALTERNATYWNA, MARIA KORATOWSKA FILM,
PIOTR RYPSON SZTUKA, MARYLA ZIELIŃSKA TEATR**

Rypson: Wracam z narady w Instytucie Adama Mickiewicza...

Nyczek: O czym kolega mówi? Przecież Instytut Mickiewicza zlikwidował niedawno minister Celiński.

Rypson: Jeszcze nie, ale rzeczywiście wisi na włosku.

Nie ma dawnych dyrektorów, tylko są jakieś osoby zarządzające, a Adam Mickiewicz tym wszystkim steruje.

Kornatowska: Zza grobu?

Rypson: A dlaczego nie? Musi być jakaś godna osoba, bo poprzednie straciły zaufanie.

Nyczek: Czy wiadomo dlaczego?

Rypson: Nie wiadomo.

Nyczek: Proszę kontynuować.

Rypson: Adam M. jest szczególnie wskazany, bo tu chodzi o Francję. Ma się tam w roku 2003 odbyć wielka polska narodowa prezentacja...

Dunin-Wąsowicz: To dlaczego o tym teraz mówimy? Przecież w „Przekroju” powiedzą nam, żeśmy na głowy poupadali i żeby z tym przyjąć za rok.

Rypson: A to dlatego, że program zaczyna się układać właśnie od teraz i jak go teraz dobrać nie wymyślimy, to potem możemy sobie...

Głosy z sali:

Ślusznie prawi!
Dać mu mówić!

Rypson: No więc na tym spotkaniu powiedziano mniej więcej, jak to ma wyglądać. Po pierwsze, w ubiegłym roku na Europaliach w Belgii było 300 polskich prezentacji, a że Francja jest dużo większa niż Belgia, powinno być ich dużo więcej. Po drugie, tacy Węgrzy zrobili 700 swoich prezentacji we Francji, a ponieważ Węgry są czterokrotnie mniejsze od Polski, no to my musimy pokazać cztery razy 700 i jeszcze tyle razy, ile razy Francja jest większa od Belgii. Jasne? Nie? Tak podejrzewałem. I to były w zasadzie jedyne wskazówki. Kiedy ktoś zapytał, czy są już jakieś propozycje, okazało się, że jest polska grafika, polska cyta, polskie drewno i ogólnie dużo wszystkiego, co gatunkowo, materiałowo i tak dalej – po polsku i polskie. Rozmawialiśmy potem w dosyć rozgarniętym gronie, co by tam można było do sensu zrobić, i pomyśleliśmy, że może na przykład przewartościować pojęcie Europy Środkowej. Bo poczuliśmy, że wartości dotąd w naszym regionie podnoszone są troszkę już leciwe, nudnawe. I sama Europa Środkowa nie wiadomo czym jest, mglista, rozciągliwa, melancholijna. I chyba źle się już ta baśń sprzedaje.

Kornatowska: A Milan Kundera?

Rypson: Kundera... No, ale Kundera nie nasz, jak tu się Kunderę chwalić? Niedawno był w telewizji wywiad ze Stasiukiem, w ramach „Rozmów na początek wieku”, gdzie usiłowano go wmanewrować w rolę jakiegoś dziwnego „środkowego Europejczyka”, co to z piórem w dłoni siedzi w górskiej chacie, gdzie mieszka, za oknem krowa i nic się właściwie nie dzieje. W każdym razie postanowiliśmy tę naszą częśćkę świata uatrakcyjnić. Zamiast Kafki dać na przykład Hansa Bellmera, prowokacyjnego artystę niemieckiego urodzonego przed stu laty w Katowicach...

Kornatowska: A zamiast krowy?

Rypson: Krowa może zostać. Myślę, że główną przeszkodą w naszych akcjach promocyjnych jest to, że Europa Środkowa strasznie

nas pęta. A czy rzeczywiście jesteśmy jeszcze w jakiejś Europie Środkowej?

Dunin-Wąsowicz: Moim zdaniem to jest eufemizm, żeby nie mówić – Wschodnia.

Nyczek: Dla mnie środkowoeuropejska jest już chyba tylko kuchnia. Taka bałkańsko-węgiersko-jakaś tam.

Kornatowska: Kuchnia węgierska jest zupełnie inna niż na przykład czechosłowacka albo polska.

Nyczek: Ale austro-węgierska...

Kornatowska: Austro-węgierska to była monarchia, a nie kuchnia.

Nyczek: Poddaję się.

Rypson: Co ludzi w tej chwili naprawdę interesuje i pociąga? Na pewno nie różne nostalgiczne, dziwne, metafizyczne rozterki. Zamiast my je więc na coś bardziej pikantnego i wyrazistego.

Nyczek: Redaktorze Rypson, żebyśmy się do brze zrozumieli. Chodzi wam o nasz polski wkład w Europę Środkową czy Europę w ogóle?

Rypson: Jak już mamy wyleźć z tej ślepej uliczki zwanej „my, z Europy Środkowej”, byście wy, tam, w tej waszej lepszej Europie, coś z nas pojęli, trzeba by wszystko nazwać

troszeczkę inaczej. Przewartościować samo pojęcie Europy Środkowej. Zamiast mgliście i abstrakcyjnie – witalnie i atrakcyjnie. Niechby i mrocznie, ale pociągająco.

Kornatowska: A Drakula?

Rypson: Wampiryzm? Jak najbardziej. Drakula jest nasz!

Dunin-Wąsowicz: Jesteśmy chyba na dobrym tropie.

Jeśli państwo oglądali „Harry’ego Pottera”... Tam jest taki wątek – Charlie Weasley, brat Rona, pojechał do Transylwanii studiować smoki. A my w końcu, może w mniejszym stopniu niż Rumuni, jednak żyjemy w tej samej części dzicy.

Zielińska: Ale nasz Roman Polański był tam wcześniej!

Kornatowska: Ach, „Nieustraszeni łowcy wampirów”...

Chłopecki: Jak już jesteśmy przy Europie Środkowej, chciałbym przypomnieć, że jeszcze w tym roku jest przewidziana ekspansja polskiej kultury na Austrię właśnie. A Austria, to – wiadomo – Wiedeń, a polski Wiedeń to przede wszystkim Instytut Wiedzy o Człowieku pod kierownictwem filozofa profesora Krzysztofa Michalskiego. Idea Europy Środkowej w tym Instytucie założonym w pamiętnym roku 1982 stała się nadzwyczaj żywa.

Ale w pewnej chwili nastał tam, w Wiedniu, moment trwogi: Niemcy się zgłosili, że oni też chcą do Europy Środkowej!

Nikom nie przeszkadzało, że ten obszar kojarzy się z byłym blokiem sowieckim. Więc Wiedeń i Budapeszt, i Galicja z Krakowem, ale też Lwów i oczywiście Praga. I mimo wszystko także Berlin? Nie bardzo więc widzę jedną ideę Europy Środkowej, raczej jej niejedność. Kiedyś w wiedeńskich koszarach stały pułki bośniackie, serbskie, polskie, czeskie, gdzie ka-

pele wojskowe grały polki, czardasze i rytmy bałkańskie, tworząc harmider melodii i rytmów. I ta poplątana różnorodność wyzwała szczególnie klimat.

Rypson: Moim zdaniem to są mętne czary-mary. Samo pojęcie sprawdzało się jeszcze w latach 90., kiedy trzeba było odróżnić się od Rosji. Teraz podziały są dość klarownie zarysowane. I opowieści o tej osobliwej duchowości, tych magiach wiedeńskich, o trzech starych dżentelmenach, a nie trojgu żywych młodych ludzi... Nie wiem, jak jest w Budapeszcie i Pradze, ale w naszym kraju chyba nikt nie czuje potrzeby chowania się za jakieś wygodne alibi dla swoich nastrojów, tłumacząc sobie naszą wyjątkowość a to Canettim, a to Vincenzem, a to innymi mitami przeszłości. A na trzeźwe pytanie, dokąd zmierzamy, chyba mało kto powiada, że właściwie to nigdzie, bo u nas czas inaczej się rozwija, tak sobie wolno i środkowoeuropejsko płynie.

Chłopecki: Protestuję. Jest różnica między duchowością Europy Zachodniej i Środkowej. Może to jest pomysł? Oni nam *fast food*, a my im... *slow food*!?

Nyczek: Dzisiejsi Polacy, którzy chcą się czegoś dowiedzieć o świecie, nie jadą do Budapesztu ani Tallina, ani nawet do Wiednia, tylko do Berlina, Nowego Jorku albo Londynu, a na wakacje do Portugalii albo Grecji. I wy mówicie, że zjawisko Europy Środkowej nie jest zmitologizowane?

Chłopecki: Ja jeżdżę i tam, i tu, tylko jeszcze do NY mnie dotąd nie zaprosili. Chociaż turystą nie jestem.

Kornatowska: Ja myślę, że ta mitologia jednak istnieje. Na przykład w Pradze osiadło 40 tysięcy młodych Amerykanów. Rozmawiałam z różnymi ludźmi w Nowym Jorku; bardzo się tą naszą Europą Środkową interesowali, a ponieważ nie bardzo odróżniają Polskę od Czech, pytali, czy w Warszawie jest też tak

pięknie jak w Pradze, a może w ogóle Praga jest stolicą Polski.

Nyczek: Ale ciekawe, że nie ma tam żadnej polskiej kolonii, tylko amerykańska.

Kornatowska: Bo każdego pociąga to, co dalekie i niepojęte. Ale są i Polacy, którzy uważają, że Praga jest miastem magicznym. Na przykład Agnieszka Holland, która studiowała w Pradze. A poniekąd Amerykanie wolą Pragę od Paryża. Bo to miasto idealne na związane z New Age trendy. Kabalistyczno-alchemiczno-magiczne. Miasto Golema i Józefa K. No i trudno się dziwić, że Steven Soderbergh kręci w Pradze film pod tytułem „Kafka”, a Woody Allen robi „Shadows and Fog”, film, który właściwie dzieje się też w Pradze, a w każdym razie gdzieś w Europie Środkowej, całkiem osobliwy jak na Allena, kafkowski. Fascynacja Pragą w Ameryce jest zadziwiająca. Havel stał się dla Amerykanów autorytetem moralnym, cytują się go na każdym kroku.

Nyczek: Ale nadal nie wiemy, z czym kolega Rypson ma pójść, poniekąd i w naszym imieniu, na następną naradę w ministerstwie, żeby coś z tym naszym wkładem w Europę zrobić. Proponuję wredną tezę: czy zadaniem takiej wystawy nie byłoby udowodnienie raz na zawsze, że tej mitycznej *Mitteleurop* tak naprawdę nie ma? I może właśnie tym mielibyśmy okazję zasłynąć w świecie – generalnym odrzuceniem mitu, w który zostaliśmy wmanewrowani.

Bolecki: Jestem przeciw. Uważam, że mitem jest właśnie to, do czego doszliśmy.

Rypson: Mianowicie?

Bolecki: Mianowicie, jeżeli przeciwstawić mit rzeczywistości, to znajdujecie się w sferze mitu, udowadniając, że nie ma czegoś, co istnieje.

Rypson: Ja nie mówiłem, że nie ma mitu, tylko że ten mit jest nieprzydatny i niefunkcjonalny, w związku z tym proponuję, żeby go zastąpić innym, bo z tego środkowoeuropejskiego mitu przynajmniej w dzisiejszej Warszawie mało co wynika.

Bolecki: Z faktu, że z tego mitu w pewnym kraju nikt nie potrafi zrobić sensownego użytku, nie wynika, że ta rzeczywistość, którą nazywamy Europą Środkową, nie istnieje. Pojęcie Europy Środkowej wbrew pozorom niezbyt było potrzebne samym środkowym Europejczykom. Było i jest natomiast potrzebne – w naszym interesie – politykom, historykom

oraz opinii publicznej Europy Zachodniej. Chodzi o dowód, że Europa nie kończy się na Łabie.



Nyczek:
Wynika z tego, że
Europa Środkowo-
-Wschodnia

w stosunku do Europy
ma się tak jak humanizm
socjalistyczny w stosunku
do humanizmu...



Chłopecki:
...a krzesło
do krzesła
elektrycznego.

Bolecki: A wszystko jak kulturystryka
do kultury. Dowcipami nigdzie nie ujedziemy.
Przecież kiedy mówimy „Ameryka Środkowa”,
nikomu to nie przeszkadza. Geografia jest rze-
czywistością, której nie możemy wyminąć.

Rypson: Nieprawda. Geografia jest taka, jak
ją sobie przedstawiamy. Wystarczy wziąć kil-
ka istniejących modeli przedstawiania Ziemi
i jej kontynentów, aby zobaczyć, jak zmienia-
ją się ich proporcje.



Bolecki: Kolego
Rypson,
czy kolega
odróżnia Półwysep
Apeniński od Niziny
Mazowieckiej?



Rypson: Niestety,
tak.

Bolecki: Otóż właśnie: mówimy „niestety”,
ale odróżniamy. Stety czy niestety geografia
porządkuje nam świat po to, byśmy odróżnia-
li miejsca, kierunki, niziny, półwyspy...

Chłopecki: Półwysep Apeniński jest pół-
wyspem, natomiast Europa Środkowa jest bar-
dziej pojęciem niż miejscem.

Bolecki: I tak, i tak. Jeżeli pominiemy rozma-
ite zabawy pojęciem Europy Środkowej, z któ-
rych często nic nie wynika, łatwiej zrozumiemy,
że nazwa ta wskazuje nie tylko na geografie,
lecz przede wszystkim na fenomen tożsamości
tego specyficznego obszaru. Z jednej strony jest
to przecież obszar historyczny o wielowiekowej
tradycji, a z drugiej – twór polityczny ukształto-
wany w wyniku II wojny światowej.

Kornatowska: Stuszne rozróżnienie, bo oba
pojęcia przecież się nie pokrywają. Kiedyś
wszyscy się cieszyli, że ta paskudna monarchia
austro-węgierska wreszcie się rozpadła, ale po-
tem okazało się, że na dalsze losy całej Europy
ten rozpad miał fatalny wpływ. Kiedy z kolei
rozpadł się socjalizm, znów zaczęto się zasta-
nawiać nad naturą tego dziwnego regio-
nu. A przecież jego istota tkwi ponad układa-
mi politycznymi. Jego tożsamość budowali ra-
czej wielcy pisarze, Musil, Kafka, Schulz,
Hašek i Hrabal...

Dunin-Wąsowicz: Ilustracją tego w naszej
literaturze były choćby powieści Piotra Wojcie-
chowskiego, w których istnieje jakieś nieokre-
ślane cesarstwo obejmujące zarówno krainy
prawdziwe, jak i mityczne. Miejscami jakby
marionetkowe, a miejscami, bo ja wiem... I nie
ma tam żadnych komunizmów, faszizmów.

Nyczek: Nie zapominajmy o Kuśniewiczu.

Zielińska: Redaktorzy, opamiętania! Prze-
cież nas tu wynajęto do robienia współczesnej
gazety, a nie do snucia wspomnień z czasów
i okolic Franciszka Józefa! Mam przykład cał-
kiem żywy. W ostatnich czasach odbyły się pre-
miery artystycznie nieszczerólnie może uda-
ne, ale ciekawe w związku z tematem, który
wałkujemy do nieprzytomności. Otóż w Gdań-
sku „Hanemann” według Stefana Chwina w re-
żyserii Izabelli Cywińskiej – była w „Przekro-
ju” złośliwa recenzja (i słusznie); a w Jeleniej
Górze „Hauptmann” Jerzego Łukosza w reży-
serii Waldemara Krzystka, który pochodzi
z tamtej okolicy, dokładnie z Legnicy. On też
przeniósł do telewizji głośną legnicką „Balla-
dę o Zakaczu”. Teatry wyciągają wreszcie
wnioski z własnej lokalności, głęboko pojętej,
bo wracają do trudnych związków polsko-
niemieckich, wypędzenia Niemców z terenu
obecnych Ziem Zachodnich czy Wybrzeża. Te-
go w polskim teatrze, wydaje mi się, jeszcze nie
było. To jest jakby przepoczwarczanie się mitu
Europy Środkowej i budowanie go na nowo.
I odbiór tych przedstawień sam w sobie jest cie-
kawym. To żywy teatr, na swoim miejscu.

Dunin-Wąsowicz: To jest już prawie efekt
kuli śnieżnej, która, jeżeli chodzi o literaturę,
toczy się od parunastu lat, od wczesnych rze-
czy Pawła Huellego czy Chwina, później Olgi
Tokarczuk.

Bolecki: Panie Pawle łaskawy, ta sprawa
ciągnie się co najmniej od końca XVIII wieku,
od upadku państwa i od odkrywania „kraju”
przez romantyków, przez całą „szkołę kreso-
wą” polskich pisarzy, którzy po roku 1939 mu-
sieli opuścić swoje „małe ojczyzny” i na emi-
gracji kształtowali obraz Polski jako kraju bar-
dzo różnorodnego kulturalnie, etnicznie, reli-
gijnie, językowo. Myślę o Vincenzu, Stempow-
skim, Miłoszu, Odojewskim, Mackiewicz, Pa-
wlikowskim. W pokoleniu 40-latków, o któ-
rym pan wspominał, w twórczości Chwina,
Jurewicz, Huellego, przede wszystkim

Żakiewicz, odrodziła się ta sama tradycja
pamięci o kresowej genealogii.

Dunin-Wąsowicz: To jest inna tradycja.
Tamci opisywali to, co im zabrano. A ci piszą
o świecie, który myślimy komuś zabrali. Wsie-
dlając tych Rusinów biednych, Łemków z cer-
kiewek, Niemców z Gdańska... O tym też piszą
Huelle czy Stasiuk.



Bolecki:
Bardzo proszę,
niech pan mnie
do tego wysiedlania
nie włącza.

Dunin-Wąsowicz: To nic nie pomoże. Ci pi-
sarze mają wyraźne poczucie, że w tym proce-
derze brała udział nie tylko Armia Czerwona,
ale i my, Polacy.

Rypson: Zgoda. Dlaczego tylko Czerwona
Armia ma wziąć odpowiedzialność za to
wszystko? Albo głupia komunistyczna władza?
Nasza średnia krajowa też miałaby tu coś
do powiedzenia [robi się dość dwuznaczne
zamieszanie].



Nyczek:
Proponuję
skończyć ten
temat, bo robi się
dość dwuznaczne
zamieszanie.

Chłopecki: Ja bym chciał powrócić do wst-
ku geografii. Zauważmy, gdyby wziąć przykład
z muzyki, jak wiele wspólnego mają ze sobą
pod względem muzycznym, stylistycznym czy
estetycznym ludy góryste. Bez względu na to,
czy są to polskie Tatry, Karpaty rumuńskie,
okolice Kaukazu, czy nawet Andy. Muzyce gó-
rali andyjskich bliżej do motywów zakopiań-
skich niż tym zakopiańskim do kujawiaków
czy innych pieśni nizinnych. Czyli element
geografii pionowej jest istotny.

Bolecki: Josif Brodski gdzieś kiedyś powie-
dział, że nie ma żadnej Europy Wschodniej,
jest tylko zachodnia Azja.

Nyczek: Łaskawi państwo. Wschodnia,
Środkowa, pozioma czy pionowa, to jest kwe-
stia, jak się okazuje, otwarta. Teraz proponu-
ję szybkie głosowanie. Kto jest za ideą Euro-
py Środkowej? Kornatowska, Chłopecki, Bolec-
ki... Kto przeciw? Rypson... aha, no i ja. Kto się
wstrzymał? Dunin-Wąsowicz. Dziękuję.
Nie mam więcej pytań. Żegnam i do zobacze-
nia za dwa tygodnie.

Salon W. dziękuje klubowi Bagatela przy ulicy
Bagatela w stolicy za skuteczną gościnę

Carl Dennis

BÓG, KTÓRY CIĘ KOCHA

Musi być przykro bogu, który cię kocha
Myśleć, o ile byłbyś dziś szczęśliwszy
Gdybyś zobaczył w porę wielość swych przyszłości.
Musi go boleć, gdy ogląda cię w piątek wieczorem
W drodze z biura do domu, zadowolonego z tygodnia –
Trzy piękne domy sprzedane przyzwoitym rodzinom –
Wiedząc, tak jak on wie, co by się zdarzyło,
Gdybyś poszedł do tego drugiego koledżu,
I znając kolegę, z którym dzieliłbyś pokój,
A którego żarliwość w sprawach malarstwa i muzyki
Roznieciłaby w tobie pasję na całe życie.
Życie o trzydzieści punktów lepsze od obecnego,
Według dowolnej skali satysfakcji. A każdy punkt
Ciemiem w boku boga, który cię kocha.
Nie chcesz chyba tego, ty, tak wielkoduszny,
Że ukrywasz przed żoną przykrości dnia,
Aby całym współczuciem mogła darzyć dzieci.
Chciałbyś może, aby ten bóg porównywał
Twoją żonę z kobietą, którą miałeś tam poznać?
Boli cię, gdy myślisz, że rozmowy z nią
Uznałby za głębsze od tych, do których przywykłeś.
I pomyśl, jak czułby się tenże kochający bóg
Wiedząc, że ten drugi w kolejce mężczyzna
Dałby twojej żonie więcej rozkoszy niż ty
W najlepsze dni, kiedy naprawdę się starasz.
Możesz spać spokojnie, wiedząc, że taki bóg
Chodzi po chmurnej sypialni dręczony alternatywami,
Które przed tobą kryje ignorancja? Różnica
Między tym co jest i co być mogło pozostanie dlań żywa,
Nawet kiedy ciebie już nie będzie, kiedy się
Przebieżysz wybiegając w śnieg po gazetę
I gubiąc jedenaście lat, które kochający cię bóg
Będzie musiał sobie wyobrażać, scena po scenie,
Chyba, że go uratujesz wyobrażając sobie,
Że nie wie od ciebie więcej – nie bóg lecz przyjaciel,
I nie bliższy niż ten z prawdziwego koledżu.
Ten, do którego nie pisałeś od miesięcy. Usiądź dzisiaj
I napisz mu o życiu, o którym umiesz mówić
Z niejakim przekonaniem, o życiu, w którym jesteś,
I o którym wiesz tyle, że je sobie wybrałeś.

Przełożył Jarosław Anders

Pulitzer 2002

Tegorocznym laureatem amerykańskiej nagrody
Pulitiera w dziedzinie poezji został Carl Dennis,
62-letni profesor literatury na uniwersytecie stanu
Nowy Jork w Buffalo. Nostalgia, szarość, zagadka,
niepokój codzienności – to główne tematy
jego wierszy. W ósmym, nagrodzonym, tomie
„Practical Gods” („Bogowie praktyczni”, Penguin, 2001)
mitologiczne postaci i bóstwa stają się komentatorami
wygodnej zwyczajności i pracowitej pustki
współczesnego życia.
Jest to – chyba rozmyślnie – poezja „średniego”
rejestr, to znaczy taka, która raz pokazałszy,
czym jest, kompetentnie i dowcipnie spełnia nasze
oczekiwania, bez większych jednak językowych
czy jakichkolwiek innych niespodzianek. Często
cytowany wiersz Dennisa „Bóg, który cię kocha”
dosyć dobrze ilustruje jego metodę poetycką.
Głównego literackiego Pulitiera, czyli nagrodę
w dziedzinie prozy, otrzymał Richard Russo
za powieść „Empire Falls” („Imperium upada”).
W kategorii dramatu nagrodzono Suzan-Lori Parks
za tragikomedie „Topdog/Underdog”
 („Najlepszy/Najgorszy”), a w dziedzinie
prozy biograficznej – Davida McCullougha
za książkę „John Adams”.

JAROSŁAW ANDERS

Kiedy powstały
używane dziś
przez nas wyrazy?
Czy zawsze
znaczyły to samo?
Jak się zmieniały?
Badanie historii słów
to prawdziwa
podróż w czasie

Iloma słowami posługuje się przeciętny polski inteligent? Naukowcy twierdzą, że ośmioma tysiącami. Jedna czwarta z nich to zabytki starsze od krzyżackich zamków. Rodowód niektórych można wyprowadzić jeszcze z rzymskiego Kołoseum. Są też takie, których początki giną w czasach, gdy ludzie zgadali się, by zbudować wieżę Babel.

Niektóre przetrwały w niemal niezmienionej postaci. Inne przebudowywano, modernizowano, ulepszano, aż ich dawna uroda znikła pod trykiem współczesności. Odłupmy go trochę.

W XI wieku polski słownik zawierał około dwóch tysięcy słów. W wieku XV w różnych zabytkach piśmienniczych odnajdujemy ich już 15 tysięcy. W XVII wieku zasób słów wzrasta do 40 tysięcy, pod koniec XVIII – do 60 tysięcy, a całkiem współczesny słownik języka polskiego odnotowuje ich 125 tysięcy. Choć przybywało wyrazów, od pokoleń mówimy wciąż tym samym językiem. Czy zatem moglibyśmy się dogadać z jakimś naszym przodkiem spod Grunwaldu?

Spróbujmy.

U jątrowy na imieninach

Najbardziej rozwinięte było w staropolskiej rodzinie słownictwo związane z dziedzinami życia, które najżywotniej frapowały współczesnych ludzi. O czym rozmawiano? O Bogu, szlachcie, urzędach, płaceniu podatków, interesach i rodzinie.

Jak więc zacząć rozmowę z dawno niewidzianym krewnym? Rzecz banalnie prosta. „Jak zdrowie cioteczki? Co u wuja?”. Zły wybór! Nasz przodek ma głupią minę. O jakiego wuja chodzi? Ze strony matki czy ze strony ojca? A ciotka która? Żelwa, świętka? Jak to wszystko jedno? Trzeba wiedzieć, kto jest kim w rodzinie. Co to za czas, że się nieciów nie odróżnia!

Słownictwo staropolskie bardzo dokładnie odzwierciedlało wszystkie stopnie pokrewieństwa i powinowactwa rodzinnego. Pokrewieństwo było dwojakie – po mieczu, czyli przez ojca, i po kądzieli, czyli przez matkę (zwaną niegdyś maciorą czy macierzą – matka było zdrobnieniem jak dzisiejsza „mama”).

Gdyby chcieć zrekonstruować staropolską rodzinę, w wielkim skrócie wyglądałoby to tak: cofnijmy się do dziada i baby (dziadka i babci). Gdy mieli oni czędo (dziecko) płci męskiej, to po jego ożenku w rodzinie pojawiała się snecha (zwana też sneszką) – czyli synowa. Dla niej bracia męża – o ile takich posiadał – byli dziewierzami (szwagrami), szwagierki zaś określała dźwięcznym mianem żelwic (mówiono też żelwy – stąd zresztą pochodzi późniejsze słowo... żółta). Bratowe męża (uff...) to jątrowie, a rodzice męża – świekrowie.

Mężowi w rodzinie żony nie było wcale lepiej – jej rodzice to cieściowie, brat żony nosił miano szurzego (potem szwagra), a siostra żony to świeść. Jeszcze gorzej, gdy owo rodzeństwo miało dzieci. Trzeba było pamiętać o wszystkich swych nieciach (bratankach i siostrzeńcach) i nieściorach (bratanicach i siostrzenicach). Ale i one były zobowiązane do szacunku wobec dostojnego pociota (męża ciotki).

Pilnowanie tych wszystkich nazw nie było wcale od rzeczy – przywiązanie zaś do stopni pokrewieństwa zwiększało się w przypadku spadków. Staropolskie prawo spadkowe bardzo dokładnie określało, co się komu od kogo należy. I nie daj Boże pomylić żelwę ze świętką!

Biorąc pod uwagę, że dawne rodziny były dość liczne i wielopokoleniowe – nie było łatwo.

Zmierz się z prętem

Nie lepiej też z dzisiejszą polszczyzną wypalibyśmy w sytuacjach zupełnie powszednich:

w sklepie, na targu, na polu. Jak dalibyśmy sobie radę, skoro sprzedawało się tam w łokciach, korcach, garncach? Kto dziś wie, ile to jest sążeń?

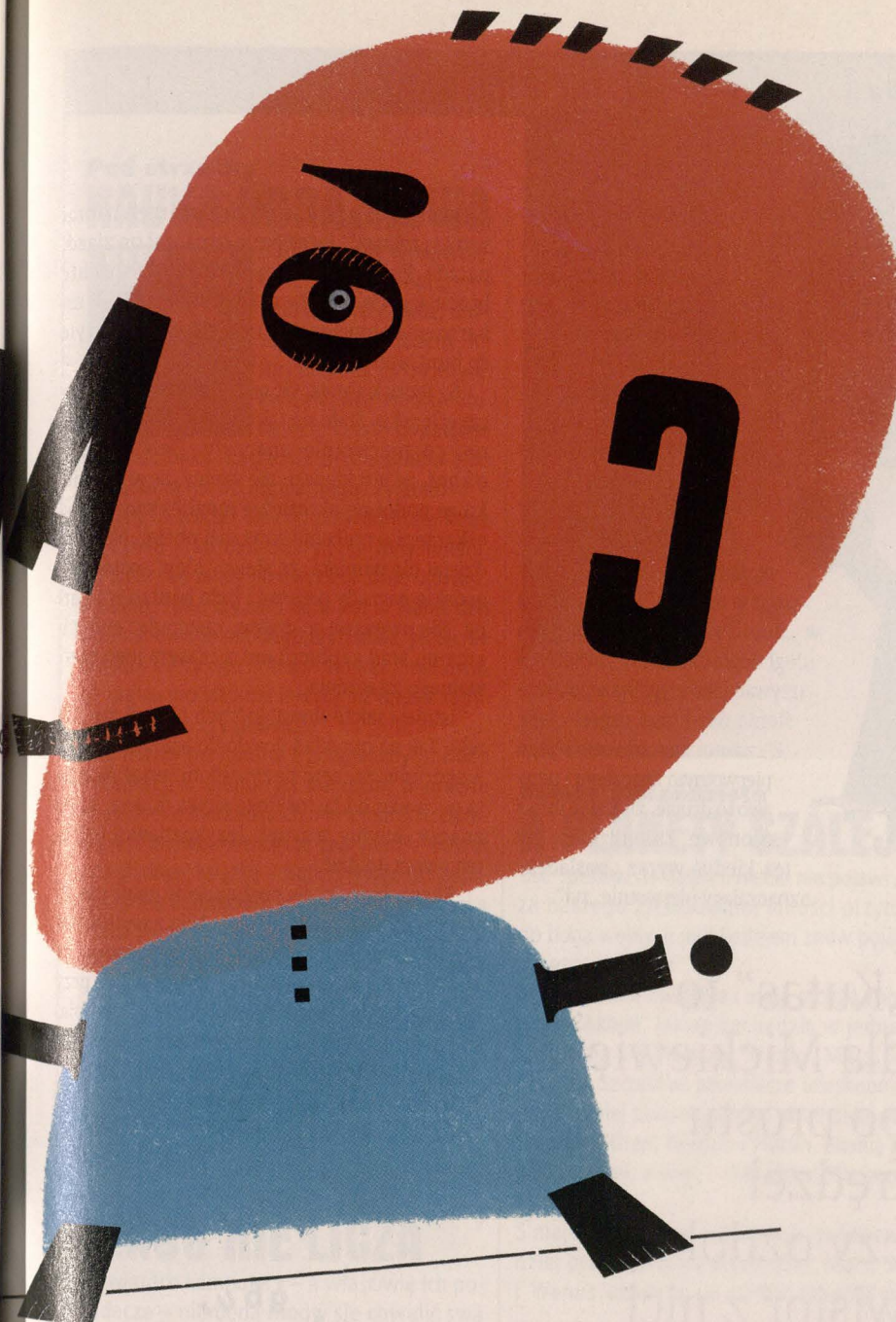
Nie ma co się jednak dziwić naszym kłopotom, skoro nawet ówczesni kupcy mieli problemy z jednostkami miar. W XV-wiecznej Polsce nie było bowiem jednolitego wzorca. *Co województwo, co powiat, co miasto* – skarżył się dawny poeta – *inna waga i łokieć, inszy garniec, korzec. Bezprawie, nierząd wielki, inaczej trudno rzec. Każdy kupiec osobne ma miary, na które sfalszowane sprzedaje towary.*

Niby zasada była prosta – wszystkie dawne miary odnosiły się do człowieka. Jednak w praktyce – ilu ludzi, tyle miar.

OD SŁOWA

do słowa

TEKST OLGA WOŹNIAK
ILUSTRACJE JOANNA SZACHOWSKA



Pierwsze próby zapisywania języka polskiego sięgają średniowiecza. Nie było jednak jednego pomysłu, jak to robić. Pisarze kształceni w języku łacińskim próbowali dostosować jego alfabet do wymagań polszczyzny. Problemem były więc polskie głoski sz, cz, rz, ch oraz ogonki przy ń, ś, ć i tym podobnych. Nie było też pewności, jak zapisać głoski ą i ę (kiedyś ich nie rozróżniano). Pierwszy traktat o ortografii polskiej pochodzi z roku 1440. Jego autorem był Jakub Parkoszowicz. Postulował on, by każda głoska była zawsze pisana tak samo (do tej pory nie było to takie oczywiste: na przykład s mogło być przedstawione jako s, sz, ź, ż, ś). Chciał odróżniać w pisowni głoski miękkie – miały być one bardziej okrągłe – od twardych – kanciastych. Postulował wprowadzenie dwuznaków typu sz, rz, cz. Proponował również, by istniejące wtedy w języku polskim długie samogłoski pisać podwójnie: oo, aa, ee i tak dalej. Jego pomysły nie przyjęły się jednak i dlatego szalenie trudno czytać stare polskie teksty – ilu było pisarzy, tyle sposobów zapisu.

Dawną wiorstę – jednostkę, w której podawano odległości – definiowano jako zasięg donośności głosu ludzkiego. Kupcy tekstylni posługiwali się łokciami – o ich wielkości stanowiła odległość od końca średniego palca do pachy. Panowie swoje dobra liczyli w morgach. Jedną morgę zaś wyznaczała wielkość powierzchni pola, które od rana do południa był w stanie zasiać lub zaorać jeden człowiek. Owe morgi obrabiali panom chłopci pańszczyźniani, a miarę ich dziennej pracy wyznaczał tak zwany pręt. Równy był on 15 stopom (stopa zaś, dla ułatwienia, to szerokość skiby ziemi lub odległość między rzędami kartofli). Jeden chłop miał w ciągu dnia wykonać pracę na 200–300 prętach kwadratowych ziemi. A wszystko pozostawało mocno względne.

Kilka razy w historii Polski próbowano jakoś zaradzić temu bałaganowi, ujednolicając system miar. Kres usiłował mu położyć król Stanisław August. W Królestwie Polskim porządek chciał zaprowadzić Stanisław Staszic. Swoje miary wprowadzali zaborcy. Skutek? Totalne pomieszanie: sążnie, pudy, łuty, funty, włóki, kwarty i cetnary – każdy mierzył, jak mu było wygodnie.

Raz na zawsze obowiązujący w Polsce system metryczny zatwierdził w roku 1919 dekret Józefa Piłsudskiego.

Z szacunkiem do kobiet

W rodzinie się gubimy, o interesach lepiej nie myśleć. Może więc ponarzekajmy na podatki. Kto uważa, że dzisiaj mu źle, ten powinien przed dyskusją z przodkiem spróbować zapamiętać chociaż pięć dawnych podatków.

W średniowieczu płacono je niemal od wszystkiego. Czynn timerzy był od roli, zagrody lub młyna, godne to podatek na Boże Narodzenie i Wielkanoc, brone uiszczało się, przejeżdżając przez bramę miasta. Chcąc sprzedawać na targu, trzeba było zapłacić budne. Więc o czym tu gadać? O podatku VAT i o PIT-ach? Śmiechu warte!

Cieężko znaleźć wspólny temat. Może uda się pogawędzić chociaż o kobietach. Na tym znają się wszyscy, niezależnie od epoki.

Wpadka! Duże szczęście, jeśli żaden obrońca czci niewieściej nie wyzwał nas na pojedynek. Aż do XVIII wieku za słowo „kobieta” wobec białogłowy można było zarobić w pysk. Znaczyło tyle co „ładacznica” i było wyrazem wielce obraźliwym. Takie znaczenie zanikło, dopiero gdy zapomniano słowo „kob”, od którego owo „kobieta” się wzięło. A kob oznaczał po prostu... chlew.

Chyba nie dalibyśmy sobie rady w konwersacji z naszym XV-wiecznym praszczurem, którego rucho (odzież) stanowiła ciasnochca (koszuła). Swój rochmaniony (oswojony) skot (bydło) prowadził na rzeciądzu (łańcuchu). A wrzemienny

(doczesny) żywot wiódł zbożnie, niezbędności (niegodziwości) nie znośił. Prawda, że był dość odcięty (uparty). To nam chyba po nim pozostało – spróbujmy pogadać sto lat później.

Na ciekawych nogach

Nie wiem, czy będzie prościej. Na zwykłe pytanie, co ciekawego działo się w XVI wieku, dowiemy się... że nowy koń niezły – szybko biega. Chyba jednak nie o taką odpowiedź chodziło. Jak doszło do nieporozumienia? Bardzo prosto. W owym czasie słowo „ciekaw” (utworzone od słowa „ciec”) znaczyło tyle co „prędko, szybko”. O tchórzu mówiło się na przykład, że nogi ma ciekawe.

A co byśmy odpowiedzieli, gdyby nasz praprzodek zapytał, czy byliśmy przytomni na przykład przy locie człowieka na Księżyc. Przytomni? – czyli czy byliśmy przy tom.

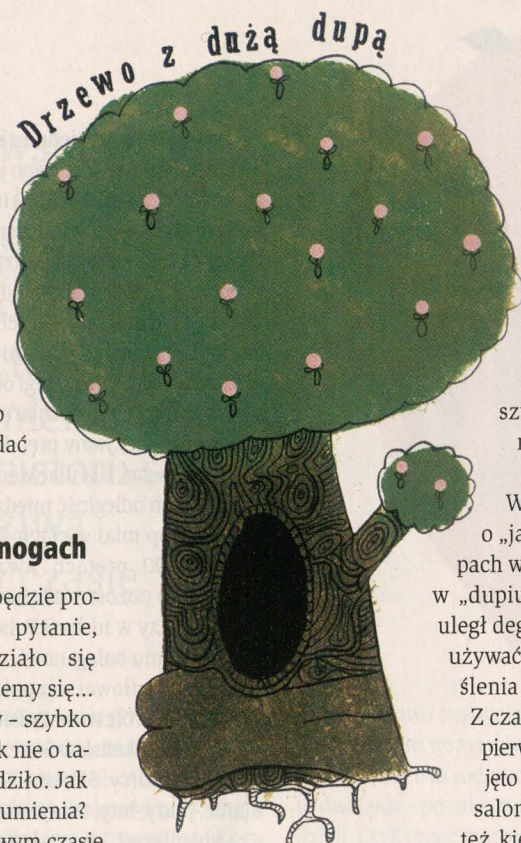
Ciężko w tej rozmowie zachować twarz. Zwłaszcza że nie to samo co dawniej znaczy dziś twarz. Wtedy wyraz ten oznaczał to, co stworzone – pochodził od słowa „tworzyć”.

Dup w drzewie

Dlaczego słowa zmieniają znaczenie? Dlaczego niektóre znikają?

Często dlatego, że w ludzkiej świadomości z czasem zacierał się związek z tym, co wyraz pierwotnie oznaczał. Podobną historię jak „ciekaw” i „twarz” mają wyrazy „świecki” i „drób”. Kto dziś wie, że „świecki” pochodzi od słowa „świat” i znaczył kiedyś tyle co „światowy”? „Drób” natomiast wywodzi się w prostej linii od przymiotnika „drobny” i oznaczał niegdyś wszystkie drobne stworzenia: kotki, rybki, pieski, kurczaki, później dopiero „wyspecjalizował się” do nazywania ptactwa domowego.

Wiele słów zmieniało swoje znaczenie, jeżeli określało coś wstydlivego lub obscenicznego. Zamiast nich stosowano eufemizmy. A wiadomo, że im rzadziej się czegoś używa, tym szybciej to niknie. Zapominano więc o pierwotnych słowach, a ich znaczenie przejmowały te używane w zastępstwie.



Tak swoje znaczenie przyjęło współczesne słowo oznaczające tylną część ciała. „Dupa” to niegdyś eufemizm. W staropolszczyźnie tym słowem nikt by się nie zgorzyszył. Było to całkowicie neutralne określenie jamy, nory lub dziupli. W XVI wieku mówiono o „jamach w ziemi albo dupach w drzewie”, chowano coś w „dupiu skalnym”. Wyraz ten uległ degradacji, gdy zaczęto go używać jako elegantszego określenia wiadomej części ciała. Z czasem zapomniano o jego pierwotnym znaczeniu i przejęto do drugiego, znacznie mniej salonowe. Eufemizmem był też kiedyś wyraz „pośladek” oznaczający pierwotnie „tył”.

„Kutas” to dla Mickiewicza po prostu frędzel czy ozdobny wisior z nici

Podobną historię ma słowo, przy którym – napotykać je jeszcze w „Panu Tadeuszu” w pierwotnym znaczeniu – uczniowie gimnazjum chichoczą wymownie. Chodzi o kutasiki, którymi obszywane były zasłony w sopolcowskim dworze. Cóż... słowo „kutas” to dla Mickiewicza po prostu frędzel czy ozdobny wisior z nici.

Kiepski gbur

Niektóre słowa pogarszały swoje znaczenie przez złe skojarzenia. Tak stało się na przykład ze słowem „gbur”. Do polszczyzny przyszło ono z języka niemieckiego wraz z niemieckimi osadnikami i oznaczało po prostu bogatego chłopca. Razem ze zmianą stosunku Polaków do Niemców, którzy wykupywali polskim chłopom ziemię, zaczęło nabierać zabarwienia ne-

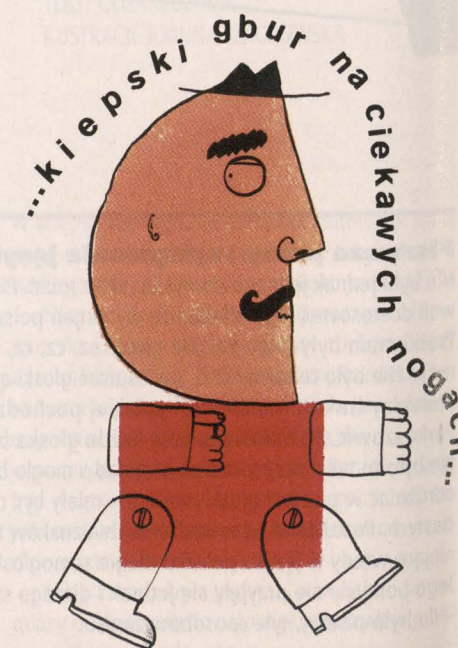
gatywnego. Podobnie złych skojarzeń nabrał wyraz „rokosz”. Pierwotnie oznaczał on zjazd, naradę. Po XVIII-wiecznych zjazdach szlachty buntującej się przeciw władzy króla zmienił zabarwienie emocjonalne i zaczął oznaczać tyle co bunt, spisek.

Są jednak słowa, które zyskały lepszą pozycję w języku. Stało się tak dlatego, że zapomniano, co pierwotnie znaczyły. Dziś mówiąc o kimś, że jest kiepski, nie wiemy, że w XV wieku za podobne określenie moglibyśmy zostać oskarżeni o rzucenie strasznej obelgi. Nikt już dzisiaj nie pamięta, że słowo „kiep” oznaczało żeńskie narządy płciowe i było bardzo wulgane. Nie używano go często, zastępując eufemizmami, stąd zapomniano z czasem jego pierwotnego znaczenia.

Istnieją także słowa, których historii nie zna nikt. Jak na przykład doszło do tego, że sałatkę z ogórków zaczęto nazywać mizerią? Nazwa ta pochodzi od łacińskiego słowa *misere*, które znaczy „biedny, marny”. Językoznawcy tropią ten wyraz do dziś.

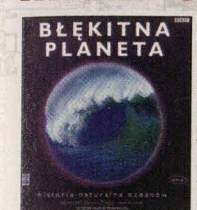
Słowa, którymi się posługujemy, mają nieraz za sobą długą i zawiłą historię. Nikt z nas nie wie jednak, co je jeszcze czeka. Niewykluczone, że za 300 lat dla uczniów szkół podstawowych przy wierszach Brzechwy trzeba będzie pisać objaśnienia trudniejszych wyrazów. My pewnie nie dogadalibyśmy się ze swymi praprawnukami. Dlaczego? Język zmienia się wraz z ludźmi. Jest lustrem czasów, które opisuje.

OLGA WOŹNIAK



Pod strzechy

NAUKA OBRAZKOWA



Bardzo ładne wydawnictwo. Swoiste połączenie albumu (przepiękne, duże zdjęcia) i encyklopedii. Informacje są tu hasłowe, zwięzłe, bez ambicji literackich, często podawane dużą czcionką. Raczej do przeglądania albo zaglądania niż do regularnego czytania. Ale czy to wada? Książki przyrodnicze, które czytałem jako dziecko, pełne były tekstu, bo ilustracje miały jakoś, delikatnie mówiąc, mizerną. Tylko czy sam tekst jest w stanie dziś przykuć uwagę młodego czytelnika, jeżeli nie dotyczy Harry'ego Pottera? Nawet moja uwaga często wolała inne lektury niż opasłe tomska o rybach czy ptakach.

A tu mamy przyjemne z pożytecznym. Dużo informacji o Ziemi, jej klimacie, a przede wszystkim o morzach i ich mieszkańcach. Oprawa jest tak smakowita, że zaczynam – nawet przeglądając książkę – podczytywać to i owo. I jakoś tak odruchowo sprawdziłem, czy maska i rurka do nurkowania są w dobrym stanie. Wakacje już blisko – znów zobaczę podwodny świat na własne oczy.

Jan Stradowski

Andrew Byatt, Alastair Fothergill, Martha Holmes „Błękitna planeta. Historia naturalna oceanów”, wydawnictwo Muza SA, Warszawa 2002

Wyniki techniki

CZASU NIE LICZA

Już wkrótce komputery – a właściwie ich posiadacze – nie będą mogły się chwalić swą szybkością mierzoną w megahercach czy gigahercach.

Każdy współczesny mikroprocesor zawiera miniatury zegarek, który synchronizuje prace obliczeniowe całego urządzenia. Problem w tym, że dziś obliczenia są tak szybkie, iż nowe dane docierają do procesora zbyt wolno. W takich warunkach nietrudno o błąd – a przecież błędzenie nie powinno być rzeczą komputerową.

Dlatego uczeni wracają do koncepcji tak zwanych komputerów asynchronicznych, które w ogóle nie mają zegara. Obliczenia są w nich synchronizowane „na życzenie” – trochę jak przy wymianie danych przez Internet. Zanim jedna część procesora przekaże dane drugiej, muszą się najpierw „dogadać” w swym cyfrowym języku. Dzięki temu komputery mają być jeszcze lepsze, mniejsze i tańsze... Tylko czy będą miały poczucie czasu?

(jaś)

TO I OWO NAUKOWO



Niebo gwiazdzone

A PLANETY SZALEJĄ

Taki spektakl na naszym niebie nie pojawi się już za naszego życia. Bogini miłości przytuli się do boga wojny, a nad Betlejem znów pojawi się dziwna „gwiazda”.

Na przełomie kwietnia i maja można zobaczyć gołym okiem, jak na zachodzie w jednej linii ustawiają się Merkury, Wenus, Mars, Saturn i Jowisz. Szczęśliwi posiadacze teleskopów mogą tej samej nocy wypatrzeć także dalej położone globy: Uran, Neptun i Pluton. Ziemię mamy pod stopami, a więc – cały Układ Słoneczny jak na tacy!

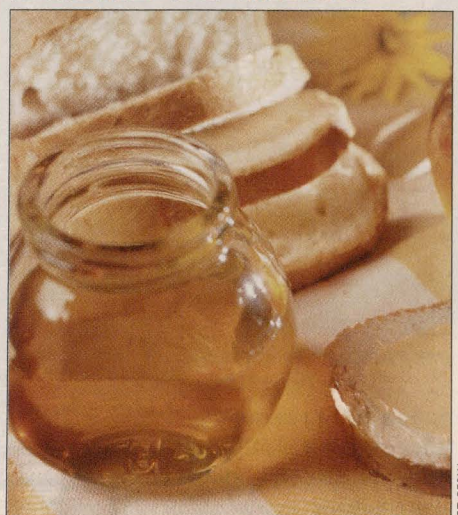
5 maja wydarzy się jednak coś, co jeszcze bardziej przemawia do wyobraźni. Mars, Saturn i Wenus utworzą na niebie idealny trójkąt

równoboczny, który będzie widoczny praktycznie na całej Ziemi. Także na Bliskim Wschodzie, gdzie znajdzie się... dokładnie nad miastem Betlejem. Podobne zjawisko, które miało miejsce w drugim roku przed naszą erą, przez niektórych badaczy uznawane jest za biblijną gwiazdę betlejemską.

Z kolei 10 maja na naszych oczach dojdzie do miłosnego zbliżenia. Mars i Wenus będą mijając się w tak niewielkiej odległości, że zamiast dwóch światełek na niebie zobaczymy jedno. Naukowcy – jak to oni – nie przewidują żadnych wyjątkowych zjawisk, które na Ziemi mogłoby wywołać tak nietypowe ustawienie planet. Ale nie ma obawy. Wszelkiej maści prorocy i wieszczbiarze końca świata na pewno nie przeąpią takiej okazji. (jaś)

Kto by pomyślał

DOBRE CO NIECO

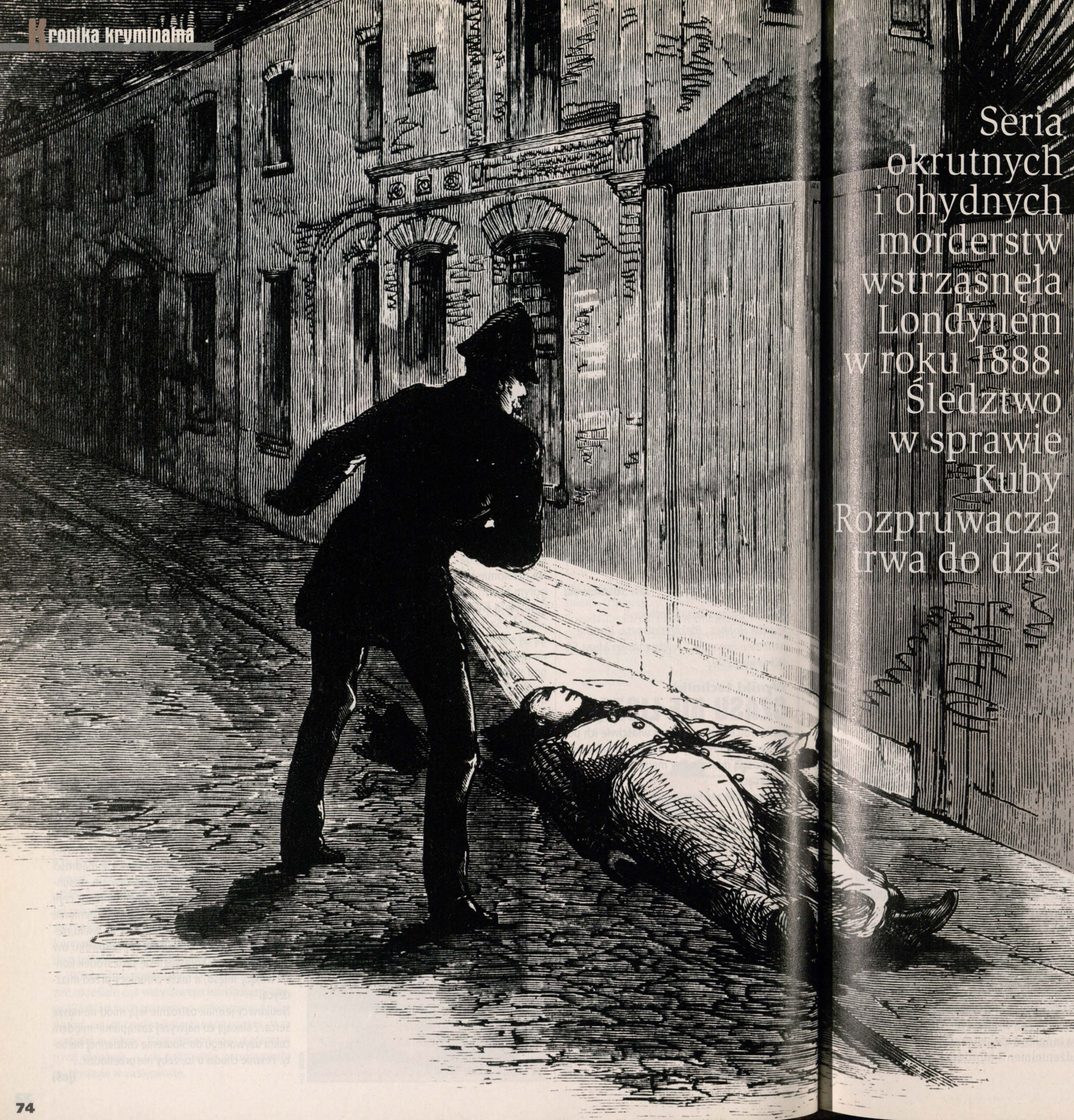


Kubuś Puchatek z pewnością miał dobry gust kulinarny. Miód jest nie tylko słodki, lecz także zdrowy!

Dla pszczelarzy oczywiście żadna to nowina. Jednak naukowcy nie ufają tradycji ludowej i sprawdzają w laboratoriach wszelkie mądrości narodów. I okazało się, że miód zawiera stosunkowo dużo tak zwanych przeciwutleniaczy, czyli związków chemicznych hamujących utlenianie – proces odpowiedzialny za psucie się wielu rzeczy w naszym świecie. W tym przypadku ów produkt pszczeni sprawdził się jako środek konserwujący mięso, a także chroniący przed miazdżycą.

Naukowcy jednak ostrożnie leją miód na nasze serca. Zalecają co najwyżej zastąpienie miodem cukru używanego do słodzenia codziennej herbaty. Pewnie chodzi o to, żeby nie przesadzić...

(jaś)



Seria okrutnych i ohydnych morderstw wstrząsnęła Londynem w roku 1888. Śledztwo w sprawie Kuby Rozpruwacza trwa do dziś

Zbrodnia wciąż doskonała

JERZY RZEWUSKI

Co może łączyć wnuka królowej Wiktorii Alberta Wiktora, księcia Clarence i Avondale, Indian z objazdowej trupy bohatera Dzikiego Zachodu Buffalo Billa, potwornie zdeformowanego Johna Merricka zwanego człowiekiem-słoniem, autora „Alicji w krainie czarów” Lewisa Carrolla, kupca bawełnianego z Liverpoolu Jamesa Maybricka, biednego żydowskiego emigranta z Polski Aarona Koźmińskiego, nadwornego lekarza rodziny królewskiej sir Williama Gulla, szarlatana z Ameryki dr. Francisa Tumblety’ego, a nawet fikcyjnego Fantomasa? Otóż oni wszyscy – a obok nich jeszcze co najmniej 50 mniej lub bardziej znanych ludzi – byli brani pod uwagę jako potencjalni sprawcy bestialskich zabójstw prostytutek dokonanych między 31 sierpnia a 9 listopada 1888 roku w londyńskich dzielnicach Whitechapel i Spitalfields, a jednego z nich w Aldgate, a więc już w samym City of London. Zbrodnie te wyróżniały się takim okrucieństwem i ohydą, że wstrząsnęły całą wiktoriańską Anglią i odbiły się szerokim echem na świecie. A z biegiem lat obrosły legendą i stały się niezbywalnym elementem londyńskiego folkloru.

Mimo pełnej poświęcenia pracy policji do tej pory nie udało się ustalić tożsamości złooczyńcy, który do historii przeszedł pod pseudonimem Kuby Rozpruwacza. Według trady-

cji ma on na swoim koncie pięć zabójstw, ale pod tym względem wśród ekspertów nie ma jednomyślności. Są tacy, którzy rozgrzeszają Rozpruwacza z chronologicznie trzeciego mordu; są tacy, którzy przypisują mu nawet do dziewięciu ofiar.

Oficjalnie Scotland Yard zamknął sprawę w roku 1892. W tymże roku, w grudniu, po 29 latach służby, na emeryturę przeszedł Frederick Abberline – inspektor pierwszej klasy kierujący dochodzeniem w terenie, czyli na East Endzie. Jednak w prawodawstwie brytyjskim tego rodzaju zbrodnie nigdy nie ulegają przedawnieniu, co w praktyce oznacza, że śledztwo trwa do dziś.

Polly. Prolog do koszmaru z Whitechapel

Nic specjalnie nie odbiegało od normy, kiedy o świcie w piątek 31 sierpnia 1888 roku w wąskiej uliczce Bucks Row w Whitechapel znaleziono zwłoki 43-letniej Mary Anne Nichols. Polly – tak bowiem brzmiała jej zawodowa ksywka – widziano po raz ostatni, gdy jak co noc wychodziła mocno wstawiona z pubu Frying Pan przy Brock Lane na poszukiwanie kolejnego klienta. W końcu porzucona przed 11 laty przez męża drukarza kobieta musiała jakoś wykarcić piątkę dzieci...

W takich dzielnicach jak Whitechapel podobnych jej „upadłych” kobiet były tysiące. W dobie bezrobocia i niskich zarobków walka o każdego pensa była zacięta, a dodatkowe zagrożenie stanowiły miejscowe oprychy domagające się haraczu za rzekomą ochronę. Polly nie byłaby więc ani pierwszą, ani ostatnią ich ofiarą. Tyle tylko, że to zabójstwo różniło się nieco od zwykłych na East Endzie porachunków wśród społecznego marginesu.

Ofiarami Kuby Rozpruwacza były kobiety „upadłe”, jakich tysiące zamieszkiwały Whitechapel

ło jej na sercu bezpieczeństwo „dżentelme-nów”, którzy, co było tajemnicą poliszynela, gustowali w nocnych wypadach do zakazanych dzielnic, gdzie za drobną opłatą mogli folgować do woli swym erotycznym fantazjom. A Whitechapel nie leżało przecież gdzieś na peryferiach. Z londyńskiego City – samego serca Imperium Brytyjskiego – czyli od majestatycznych gmachów Bank of England i giełdy, można tam dojść spacerkiem, kierując się na wschód

sprawę przeciw policji o odszkodowanie za narażenie go na utratę dobrego imienia, którą to sprawę wygrał.

Dark Annie. Królowa jest zaniepokojona

Ledwie minął tydzień, zabójca z Whitechapel uderzył ponownie. W mglisty, wilgotny poranek 8 września na podwórku jednego z domów przy Hanbury Street w Spitalfields znaleziono zwłoki Annie Chapman. Nieszczęsna Dark Annie, jak zwała ją ulica, była 47-letnią, wyniszczoną fizycznie kobietą cierpiącą – jak wykazało badanie zwłok – na chorobę mózgu i zaawansowaną gruźlicę. Owdo-wiała dwa lata wcześniej, miała na utrzymaniu córkę i syna inwalidę.

zaniepokoiły również królową Wiktorię, od dawna z wielkim smutkiem i troską obserwującą postępujący upadek obyczajów. Także w swoim najbliższym otoczeniu, a to głównie za sprawą najstarszego syna Bertie’ego (późniejszego króla Edwarda VII), hulaki i skandalisty na epicką skalę, oraz ukochanego wnuka Eddy’ego (księcia Alberta Wiktora), który poszedł w ślady ojca. Eddy był regularnym gościem przybytków rozpusty zarówno dla amatorów dziewcząt, jak i chłopców na osławionej Cleveland Street. A bywało tam wiele znakomitości tamtych czasów, między innymi Oscar Wilde, który później w zawołowany sposób uwiecznił to miejsce na kartach powieści „Portret Doriana Graya”. Największym zmartwieniem starzejącej się królowej było to, że coraz więcej wysiłku kosztowało tuszowanie

Co jednak charakterystyczne dla mentalności tamtej epoki, w publikacjach dominował raczej wątek, że podobnych bestialstw nie mógł się dopuścić prawdziwy Anglik. Jeżeli już, to najwyżej takie monstrum jak człowiek-słoń John Merrick. Ale najpewniej był to jakiś obco-krajowiec, może marynarz z cudzoziemskiego statku, a kto wie, czy nie żabojad Fantomas, postrach Paryża na gościnnych występach w Londynie (choć przecież był on tylko wytworem fantazji Pierre’a Souvestre’a i Marcela Allaina). Ignorancja i ksenofobia triumfujące w brukowej prasie budzą śmiech, ale do śmiechu wtedy na pewno nie było licznych praktykującym na East Endzie medykom, głównie żydowskiego, polskiego i rosyjskiego pochodzenia. Z ich usług biedota chętnie korzystała, ale traktowała ich z podejrzliwością.

stanę ich rozpruwać, aż mnie skuja. Wspaniałym dziełem była ta moja ostatnia robota. Nie dałem tej paniusi [Annie Chapman – przyp. J.R.] ani chwili, by zakwicziała. I niby jak więc mają mnie złapać? Kocham swoją robotę i mam ochotę znowu wziąć się do dzieła. Wkrótce usłyszycie o mnie i moich małych zabawnych gierkach. Następną rzeczą, jaką zrobię, to obe-tnę jakieś paniusi uszy i wyślę policjantom tak dla śmiechu... Zachowajcie dla siebie ten list aż do mojej następnej roboty i wtedy go rozgłoście wszystkim. Mój nóż jest śliczny i ostry. Ruszę do roboty, jak tylko nadarzy mi się okazja. Życzę powodzenia. Wasz szczerze oddany Kuba Rozpruwacz [Jack the Ripper].

Jeśli tego dnia ktoś miał zastrzeżenia co do stanu poczytalności autora listu, nazajutrz musiał go już traktować z całą powagą.



FOT. AKG BERLIN (3)

Uliczki londyńskiej dzielnicy Whitechapel, przełom XIX i XX wieku

Prasa nie poświęciła temu zdarzeniu większej uwagi. Ale dziennik „The Star” zauważył, iż „dotąd nigdy żadne morderstwo nie zostało popełnione z większą niż tu furia i brutalnością”. Rzeczywiście, to, co zobaczyli przechodnie i policjanci, mogło się kojarzyć z dziełem jakiegoś obłąkanego rzeźnika. Proste skojarzenie z tym fachem sprawiło, że tajemniczego mordercę nazywano początkowo Skórzanym Fartuchem.

Oględziny zwłok Polly w miejskiej kostnicy ujawniły więcej makabrycznych szczegółów zbrodni. Dla każdego świadka tej przykrej procedury było jasne, że czegoś podobnego mógł się dopuścić jedynie zbrojeniec. A więc ktoś niebezpieczny także dla innych, spokojnych ludzi. Mało prawdopodobne, by policja naraz zaczęła się troszczyć o mieszkańców East Endu. Należy raczej przypuszczać, że bardziej leża-

wzdłuż Cornhill, Leadenhall Street i Aldgate, w ciągu niespełna dwóch kwadransów.

Wyznaczony do śledztwa w Whitechapel inspektor Frederick Abberline szybko znalazł winnego – ku satysfakcji przełożonych ze Scotland Yardu i niechętnych wszelkim napływowym elementom *cockneyów*. Był nim John Pizer, krewki szewc żydowskiego pochodzenia, który idealnie pasował do wizerunku, jaki wyłaniał się z raportu z autopsji oraz zeznań świadków, którzy rzekomo widzieli uykającego zbrojnicę. Owszem, jako szewc Pizer posiadał i noże o wystarczająco długich ostrzach, by wypatroszyć ofiarę, i pewną wiedzę o anatomii, i skórzany fartuch. Dodatkowo obciążały go ostentacyjna niechęć do prostytutek oraz wyrok sprzed lat za pchnięcie nożem człowieka podczas bójki. Pizer miał jednak żelazne alibi. Natychmiast po opuszczeniu aresztu wniósł

W notatce sporządzonej po sekcji zwłok Mary Ann Nichols znalazła się sugestia, że rany zadała prawdopodobnie osoba leworęczna, „zręcznie i ze znajomością rzeczy”. Tym razem jednak – po dokładnych oględzinach ciała przez tchawicę oraz sposobu, w jaki z jamy brzusznej ofiary usunięto pewne organy, w tym macicę – wezwany do kostnicy dyplomowany chirurg zauważył, że zbrodni dokonano najprawdopodobniej za pomocą narzędzi używanych w jego zawodzie. Raport z owego *post mortem* kończył się konkluzją: „Osoba niewykwalifikowana nie mogłaby tego dokonać, lecz ktoś obeznany z prosektorium”.

Gdy ta informacja dotarła do prasy, sprawa Skózanego Fartucha eksplodowała na całym Londynie. Już choćby tylko dlatego, że mordercą mógł być człowiek wykształcony, a więc „dżentelmen”. Morderstwa w Whitechapel

wybryków obu następców tronu i coraz trudniejsze stawało się utrzymanie w ryzach zachwałę prasy.

Mimo wysiłków policji nie udało się jednak wykryć Mordercy z Whitechapel. Tak go teraz zgodnie nazywała prasa, która przy okazji prowadziła śledztwo na własny rachunek. Pismacy nie omieszkali przy okazji obsmarować kilku znanych postaci, między innymi powszechnie szanowanego byłego profesora matematyki z Oksfordu Charlesa Lutwidge’a Dodgsona, a to z uwagi na jego rzekomo podwójne życie – to drugie jako ekscentrycznego, obdarzonego chorobą imaginacją autora anarchistycznych książek dla dzieci pisanych pod pseudonimem Lewis Carroll. Znaleźli się nawet tacy, którzy w pewnych fragmentach „Alicji w krainie czarów” odkryli zaszyfrowane wyznanie winy autora.

Strach w Whitechapel panował ogromny, lecz przymus walki o przetrwanie był silniejszy. Kobiety co noc ruszały na zarobek, licząc na łut szczęścia, na pomoc wzmocnionych patroli policyjnych, powołanej *ad hoc* straży obywatelskiej, a nawet... swych „protektorów”. Ponieważ od 8 września mijały dni i tygodnie bez żadnych nadzwyczajnych wydarzeń, pojawiła się nieśmiała nadzieja, że może to już koniec horroru. Była to jednak nadzieja złudna.

Liz i Kate. Podwójny chrzest Kuby Rozpruwacza

29 września do biura Central News Agency dostarczono list następującej treści (po skrótach): „Drogi Szeffie. Co rusz słyszę, że policja mnie złapała, ale na razie nie uda jej się mnie załatwić... Jestem zawzięty na kurwy i nie prze-



RYC. CORBIS/REX

Kuba Rozpruwacz w czasie jednego z ataków

Tuż po pierwszej w nocy w sobotę 30 września na Duffield’s Yard przy Berner Street znaleziono zwłoki 45-letniej Elizabeth Stride – rostej Szwedki, która w roku 1866 przybyła do Londynu z Göteborga jako Elizabeth Gustafsdotter, wyszła za mąż za cieślę z Whitechapel Thomasa Strise’a, a po rozpadnięciu się tego małżeństwa w roku 1882 ruszyła na ulicę pod lekko zmienionym – na Stride – nazwiskiem. Long Liz dobrze znana była miejscowej policji i nieraz skazywana za wszczynanie pijackich burd. Zabójca tym razem jednak poprzestał na poderżnięciu gardła. Być może został spłoszony przez jakiegoś późniejszego przechodnia, być może przez policyjny patrol. Być może jednak – w co wierzą niektórzy dzisiejsi kryminalodzy – Liz zginęła raczej z ręki jakiegoś zwykłego opryszka, a nie Kuby Rozpruwacza. Ich zdaniem fakt, że to zabójstwo poszło akurat

na jego rachunek, wynika stąd, że akurat tej nocy uderzył po raz trzeci.

Trzy kwadranse po znalezieniu zwłok Liz przy Mitre Square w Aldgate, a więc już na terytorium rzekomo bezpiecznego City of London, odkryto potwornie okaleczone ciało drugiej prostytutki, 46-letniej Catherine Eddowes. Kate przyjechała do Londynu w roku 1880 z Wolverhampton po rozkładzie – wskutek pijaństwa – jej związku ze starszym od niej rentierem, któremu pozostawiła na wychowanie trójkę ich dzieci. Tym razem zabójca miał dość czasu, by doprowadzić dzieło do makabrycznego końca. Wyciągnięte z jamy brzusznej jelita owinięte były wokół lewego barku ofiary, a – jak zwrócił uwagę patolog – poza organami kobiecymi wycięta została jedna nerka. Niebawem miała się ona odnaleźć...

Gdy się rozwidniło, na Goulston Street, a więc w pewnym oddaleniu od obu miejsc zbrodni, zauważono dziwny napis kredą na murze: „The Juwes are the men that will not be blamed for nothing”, co z grubsza można przetłumaczyć jako „Żydowie są ludźmi, których nie wini się za nic”. Aby nie było wątpliwości, czyja ręka napisała te słowa, obok leżał strzęp zakrwawionego fartucha Kate.

Najbardziej zaskakująca była jednak histeryczna reakcja na ten napis głównego komisarza metropolitalnej policji sir Charlesa Warrena, który całą mocą swojego autorytetu kazał młodszemu stopniem oficerom usunąć go, zanim się rozwidni i zbiorą się gapie. A przy tym działał on bezprawnie, bowiem zbrodnię popełniono na terenie City of London, które nie podlegało kontroli Scotland Yardu, lecz miejscowej policji. Warren tłumaczył się, iż chciał w ten sposób – jak się wyraził – uniknąć „kłopotów religijnych”.

Jego decyzja – pewnie słuszna, biorąc pod uwagę panujące na East Endzie antysemickie nastroje – stała się jednak z czasem fundamentem, na którym wyrosła teoria spisku masonskiego. Według niej Warren jako mason dostrzegł w tym graffiti masonskie akcenty. Przede wszystkim niby błędną dla niewtajemniczonych pisownię słowa „Juwes”, a przecież nawiązującą do przeklętych po wsze czasy uczniów murarskich o imionach Jubela, Jubelo i Jubelum, którzy zamordowali Hirema Abiffa, budowniczego świątyni Salomona. To w powiązaniu ze znalezionym obok krwawym strzępem fartucha (też rekwizyt masonski) i samym wyborem miejsca zbrodni (oba człony nazwy Mitre Square odwołują się do rytualnych narzędzi masonskich: ukośnicy i węgielnicy) stanowiło dla Warrena wystarczająco czytelny sygnał, by przystąpić do dzieła zacierania śladów zbrodni popełnionych przez „braci”.

Oliwy do ognia zaczęły z czasem dolewać artykuły prasowe sugerujące, że sposób, w jaki okaleczano ofiary, jako żywo kojarzył się



Członkowie londyńskiej straży obywatelskiej powołanej po zbrodniach Kuby Rozpruwacza obserwują podejrzanego wyglądającego mężczyznę (rycina z epoki)

z egzekucjami zdrajców masonskich tajemnic. Tradycja przewidywała trzy kary – takie, jakie wymierzono trzem zabójcom Hirema Abiffa: Jubeli poderżnięto gardło i wyrwano język; Jubelowi otwarto lewą pierś, wyrwano serce, a wnętrzności owinięto wokół lewego barku; zaś ciało Jubeluma, tego najbardziej winnego, przecięto na pół, zaś wnętrzności spalono na

popiół. Coś tu się jednak nie zgadzało. A miało być, co też te cztery (na razie) proste, ciężko harujące na ulicy kobiety mogły mieć wspólnego z masonami?

Musiało minąć wiele lat, zanim teoria masonskiego spisku się zmaterializowała, by doprowadzić wprost do najbliższego otoczenia królowej Wiktorii, i zaczęła żyć własnym

życiem w dziesiątkach publikacji i filmów. Tymczasem policja musiała zajmować się bardziej przyziemnymi zagadkami. A tych każda chwila śledztwa dostarczała w obfitości.

Już kilka godzin po zamordowaniu Liz i Kate Central News Agency otrzymała kolejną korespondencję podpisaną przez Kubę Rozpruwacza. Była to kartka pocztowa z następującym

POLICE NOTICE.

TO THE OCCUPIER.

On the mornings of Friday, 31st August, Saturday 8th, and Sunday, 30th September, 1888, Women were murdered in or near Whitechapel, supposed by some one residing in the immediate neighbourhood. Should you know of any person to whom suspicion is attached, you are earnestly requested to communicate at once with the nearest Police Station.

Metropolitan Police Office
30th September, 1888.

Printed by M'Combe & Co. Limited, "The Arsenary," Southwark.

Obwieszczenie policyjne
z 30 września 1888 r.:

Do mieszkańców

W godzinach porannych w piątek 31 sierpnia, w sobotę 8 września i w niedzielę 30 września 1888 roku, w dzielnicy Whitechapel (być może w jej pobliżu) dokonano morderstw na kobietach. Przypuszcza się, że sprawcą jest ktoś mieszkający w tej okolicy. Każdego, komu znany byłby ktoś podejrzany, uprasza się o niezwłoczny kontakt z najbliższym posterunkiem policji

tekstem: „Nie żartowałem, drogi stary Sze funiu, kiedy dałem ci cynk, że jutro znowu usłyszysz o wyczynach Dzielnego Kubusia. Tym razem podwójna atrakcja. Numer jeden trochę kwiczał. Nie mogłem dokończyć gładko roboty. Nie miałem czasu na uszy dla policji. Dzięki za zachowanie dla siebie poprzedniego listu, zanim wróciłem do pracy. Kuba Rozpruwacz”.

Od tego dnia nikt już nie używał innego imienia w odniesieniu do mordercy z Whitechapel niż Kuba Rozpruwacz.

Z piekła, ze sztetlu w Polsce czy z Ameryki?

Nie minęło wiele dni, gdy do rąk George'a Luska, przewodniczącego straży obywatelskiej Whitechapel, trafiła makabryczna przesyłka. Kartonowe pudełko zawierało połowę nerki Catherine Eddowes i dziwaczną notatkę opatrzoną nagłówkiem: „Z piekła”. A dalej: „Panie Lusk. Wysyłam Panu pół Nyrki, co to ją wziąłem jednej kobiecie i zahowałem dla pana. drugi kawałek usmażyłem i zjadłem i bardzo smakowało. Mogę wysłać zakrwawiony nuż co ją wyciół jeśli zechce pan poczkać jeszcze chwile”. Podpisane: „Złap mnie jeśli potrafisz Panie Lusk”.

Nerka wydawała się autentyczna. Pochodziła od osoby po czterdziestce cierpiącej na chorobę Brighta (białkomocz z obrzękami). Catherine Eddowes w pełni odpowiadała temu opisowi.

Charakter pisma autora notatki różni się jednak dramatycznie od tego, którym napisano oba listy adresowane do Central News Agency. Nie trzeba też było eksperta, by zauważyć, że miało się tym razem do czynienia praktycznie z półanalfabetą, najprawdopodobniej upośledzonym umysłowo. Kimś takim, jak pewien nie całkiem normalny fryzjer z Whitechapel, żydowski emigrant z Polski – niejaki Aaron Kościński...

Na razie jednak uwagę policji przykuły dwa listy podpisane znakiem firmowym „Kuba Rozpruwacz”. Użyte w nich niektóre zwroty wskazywały, że ich autorem mógł być Amerykanin. I tym tropem poszło śledztwo. Z dobrym skutkiem. Zatrzymany został dr Francis Tumblety, który i dziś, ponad sto lat po zabójstwach w Whitechapel, uważany jest za jednego z czterech najbardziej prawdopodobnych kandydatów na Kubę Rozpruwacza. Osiągnięcie inspektora Abberline'a i jego kolegów było imponujące... zważywszy, że – jak się okazało po latach – oba te listy zostały napisane przez dziennikarza Central News Agency Toma Bullinga.

Tumblety był postawnym 55-letnim mężczyzną, człowiekiem zamożnym, który do swojego majątku doszedł, podając się za medyka. W Ameryce jego ziołowe mikstury ponoć wyprawiły na tamten świat kilka kobiet. Podejrzany był również o potajemne przeprowadzanie aborcji. Tumblety odwiedził Londyn



Historia Kuby Rozpruwacza w komiksie z „The Illustrated Police News” z 20 października 1888 roku

w roku 1888 celem zakupu pewnych preparatów anatomicznych. Już wkrótce, akurat w czasie gdy grasował Kuba Rozpruwacz, demonstrował podczas przyjęć swą kolekcję macic zakonserwowanych w słojach z formaliną. Nigdy też specjalnie nie ukrywał swej pogardy i nienawiści do prostytutek, z których usług jednak często korzystał. Szczególną przyjemność czerpał z poniżania ich w brutalny sposób. Aresztowany za nieobyczajne zachowanie, natychmiast stał się jednym z głównych podejrzanych.

Tym bardziej niezrozumiałe jest to, że po kilku przesłuchaniach Tumblety został zwolniony. Być może właśnie w tym momencie przypieczętowano los piątej ofiary – Mary Jane Kelly. Tumblety wyjechał do Ameryki dwa dni po jej zabójstwie, które – jak mówi tradycja – było ostatnim w ponurej karierze Kuby Rozpruwacza. Na obronę Tumblety’ego można jednak powiedzieć, że podobne zbrodnie po drugiej stronie Atlantyku ani przed, ani po roku 1888 nie zostały odnotowane. Sam zaś podejrzany przez następne 15 lat, aż do śmierci, prowadził się bez zarzutu.

Zastanawia fakt, że wszystkie akta dotyczące Tumblety’ego zniknęły z archiwum Scotland Yardu. Odnalazły się przypadkowo ponad sto lat później, w roku 1993, podczas likwidacji antykwariatu w Richmond.

Mary Jane. Krwawe ostatki

Piąte morderstwo przypisywane Kubie Rozpruwaczowi pod pewnymi względami odbiegało od wcześniejszych. Już choćby dlatego, że na ofiarę wybrana została młoda, atrakcyjna dziewczyna. 25-letnia Mary Jane Kelly rodem z Limerick w Irlandii pracowała w burdelu dla dżentelmenów na West Endzie. Jednak równie często widywano ją w knajpach i na ulicach Whitechapel, jako że wynajmowała pokój na ćwierć Mili Występku, jak zwano okolice Dorset Street. Ciało Black Mary, jak na nią wołano – a raczej to, co z tego ciała pozostało po krwawej jatce, jaka rozegrała się w Miller’s Court pod numerem 13. – zszokowani policjanci odkryli 9 listopada. To było pierwsze i ostatnie zabójstwo Kuby Rozpruwacza niepełnione na ulicy. Widać było gołym okiem, że tym razem bez pośpiechu celebrował on całe bestialstwo, jakie mógł wycisnąć z najmroczniejszych zakamarków swego chorego umysłu. Nawet najbardziej zahartowane „krwężniki” z East Endu, które na co dzień obcowały z wszelkimi wyobraźnymi przejawami ludzkiej nikczemności, co rusz wybiegały za róg, by zgnać się wpół i „zaczepnąć świeżego powietrza”. Zastanawiano się, co mogło rozjuszyć mordercę aż do tego stopnia, że doszczętnie wypatroszył i poćwiartował swoją ofiarę, a następnie wewnątrzności wrzucił do ognia. Odpowiedź nasuwała się jedna: Mary Jane była

w ciąży, a dla kogoś, kto zionął nienawiścią do prostytutek i odmawiał im ludzkich praw, była to zbrodnia nad zbrodniami.

Fakt, że po zabójstwie Black Mary Kuba Rozpruwacz rozplynął się jak we mgle, dzisiaj psychologia chętnie przypisuje wielkiemu wstrząsowi, jaki przeżył zbrodniarz. Wyjątkowa potworność tego mordu mogła sprawić, że jej sprawca przeraził się tego, co w sobie nagle odkrył. Psychopatologia sądowa zna takie przypadki, a z reguły kończą się one bądź ucieczką w chorobę psychiczną, bądź zamachem na swoje życie. Tym sposobem w kręgu podejrzeń znalazł się wspomniany Aaron Kościński typowany przez policję na autora notatki „Z piekła”. Tylko skąd ów biedny żydowski emigrant miałby znać na tyle ludzką anatomie, by po ciemku tak szybko i precyzyjnie oprować swe ofiary? I jakim sposobem miałby napisać notatkę, skoro – jak dowiedli jego obrońcy – był analfabeta, a jedynym językiem, jakim się posługiwał, był jidysz? Wywiad środowiskowy też nie potwierdził podejrzeń policji. Kościńskiego zgodnie uważano za nieszkodliwego wariata, który słyszał głosy i odżywał się wyłącznie odpadkami znalezionymi w rynsztoku. Tak czy inaczej, nieszczęsnemu fryzjerowi nigdy nie postawiono zarzutu dokonania pięciokrotnego zabójstwa, ale też nie pozostawiono go długo na wolności. W roku 1890 został uznany za obłąkanego i zamknięty w szpitalu psychiatrycznym, gdzie dokonał żywota w roku 1919.

Na drugim końcu drabiny społecznej mógłby się znaleźć Montague John Druiett, dżentelmen, który – zanim został wykładowcą w college’u – najpierw studiował medycynę, a później prawo. To tłumaczyłoby i znajomość anatomii przypisywaną Kubie Rozpruwaczowi, i skuteczność, z jaką umiał zacierać po sobie ślady. Do tego stopnia, że Scotland Yard mógł wciągnąć go na listę podejrzanych dopiero po zbadaniu okoliczności jego samobójczej śmierci. Rodzina Johna знаła jego mroczny sekret, „opętanie seksem”, i podobno nieraz zadawała sobie pytanie, czy aby nie jest on mordercą z Whitechapel. Druiett popełnił samobójstwo nieco ponad miesiąc po zabójstwie Mary Jane. Przy jego zwłokach wyciągniętych z Tamizy 31 grudnia znaleziono krótki, ale dający sporo do myślenia pożegnalny list: „Od piątku czułem, że staję się taki jak Matka [matka Druietta była chora umysłowo – przyp. J.R.] i najlepszą dla mnie rzeczą jest umrzeć”. Jak na ironię, grób Druietta znajduje się na cmentarzu w Wimbourne, w Dorset – tym samym, na którym w roku 1929 pochowany został inspektor Frederick Abberline.

Zdaniem dzisiejszych speców od kryminalistyki śledztwo prowadzone przez Abberline’a i innych oficerów policji przebiegało bez zarzutu. Osiągnięcia były znaczące, zważywszy, iż medycyna sądowa wówczas praktycznie nie

istniała, daktyloskopia miała być wprowadzona do Scotland Yardu dopiero w roku 1901, a gdyby ktoś wspominał o czymś takim jak analiza porównawcza DNA, pewnie uznano by go za niespełna rozumu. Rozgorączkowana opinia publiczna miała jednak inne zdanie. I w jakiś sposób refleksiem tej niskiej oceny pracy Scotland Yardu był sposób, w jaki sir Arthur Conan Doyle portretował inspektora Lestrade’a w swym cyklu powieści i opowiadań o Sherlocku Holmesie. Znak, że postęпами czynionymi przez Scotland Yard interesowały się także służby policyjne innych krajów – i to czasem w sposób co najmniej osobliwy – stanowił artykuł w rosyjskiej gazecie „Ochraha”, która była organem carskiej bezpieki. Publikacja ta miała wyrażnie na celu skompromitowanie Scotland Yardu. Jej autor przypisywał mordercy Rozpruwacza niejakemu Aleksandrowi Pedaczenie – notorycznemu kryminaliście i niebezpiecznemu szaleńcowi używającemu niezliczonych tożsamości. W obawie przed surową karą udało mu się zbiec z Rosji do Anglii, gdzie dalej mógł mordować w najlepsze, pracując jako felczer w Maternity Hospital. Wybuchł skandal, sir Charles Warren – ten sam, który kazał usunąć napis o Żydach – podał się do dymisji. Rzeczono Pedaczenie natomiast – prawdopodobnie będącego tą samą osobą co poszukiwany przez policję Michał Ostrog – pojмали po cichu w Londynie agenci ochrony i przeschmuglowali do Rosji, gdzie został osadzony w zakładzie dla umysłowo chorych za zabójstwo kobiety z Sankt Petersburga.

Innym podejrzany był amerykański lekarz Thomas Neil Cream – indywiduum nie mniej złowrogie niż sam Kuba Rozpruwacz. Ten poszukiwany przez policję wielu krajów seryjny morderca, przez jakiś czas mylony z dr. Francisem Tumbletem, w roku 1892 został ujęty w Londynie i skazany na karę śmierci za otrucie kilku prostytutek z Lambeth. Zanim pętla zacisnęła się na jego szyi, zdążył wydusić z siebie sensacyjne zeznanie: „Ja jestem Kubą Roz...”. Równie barwną postacią w galerii złooczyńców kojarzonych z zabójstwami w Whitechapel był polski emigrant Seweryn Kłosowski, który po przybyciu do Londynu zmienił nazwisko na George Chapman. Po aresztowaniu go przez Abberline’a okazało się, że ma na sumieniu otrucie trzech żon. Sposób, w jaki pozabawał je życia, uchronił go przed zarzutem, iż jest Kubą Rozpruwaczem, ale nie uratował od stryczka, na którym zawisł w roku 1903.

W służbie Jej Królewskiej Mości

W roku 1895 w „Chicago Herald” ukazał się artykuł poświęcony sprawie Kuby Rozpruwacza, który sugerował, że zabójcą z Whitechapel mógł być prominentny lekarz z West Endu związany z dworem królewskim. Aluzja do sir Williama Gulla, zmarłego przed pięciu laty

osobistego lekarza królowej Wiktorii, była oczywista. Frederick Abberline wiele lat po przejściu na emeryturę podobno wyznał dziennikarzowi „Evening News” Nigelowi Morlandowi, który odwiedził go w jego domu w Dorset, że Kubą Rozpruwaczem „nie był ani rzeźnik, ani Żyd, ani żaden marynarz z obcego statku i że szukać go trzeba nie na dnie londyńskiej socjety, lecz wysoko na górze”.

Trzeba było jednak pewnego niezwykłego wydarzenia, by wszystkie rozrzucone elementy spisku dworsko-masońskiego ułożyły się w koherentną i szalenie efektowną całość. Tym wydarzeniem było... przygotowanie przez telewizję BBC w roku 1973 spektaklu o Kubie Rozpruwaczu, który tak zgrabnie i przekonująco przemieszczał fakty z fikcją, że przez

stawał jeszcze problem zamknięcia ust ewentualnym świadkom owego kompromitującego mezaliansu – a więc paniom Nichols, Chapman, Stride, Eddowes i Kelly.

Kluczową postacią spinającą dwór królewski z zabójstwami w Whitechapel miałyby być ostatnia ofiara – Mary Jane Kelly, irlandzka dziewczyna zatrudniona jako opiekunka Annie Crook w okresie ciąży, a potem niania jej nowo narodzonej córki o imionach Alice Margaret. Po uprowadzeniu Annie Mary Jane oddała dziecko na wychowanie do zakonnic, wróciła na East End i – jak większość tamtejszych bezrobotnych kobiet – stała się prostytutką. Ponoć przy piwie nieraz odgrażała się przy swych przyjaciółkach, że ujawni całą skandal prasie. Tymi przyjaciółkami – a więc

ludzi. Ot, choćby królewskiego stangreta Johna Netleya lub malarza Waltera Sickerta, który podobno poznał Alberta Wiktora z Annie Crook. Wśród uczestników spisku wymienionych przez Knighta byłby jeszcze jeden z wysokich funkcjonariuszy Scotland Yardu sir Robert Anderson. Naturalnie – mason.

Po usunięciu ostatniego świadka, Mary Jane Kelly, zadbano również o kozła ofiarne, by cała sprawa została zamknięta raz na zawsze. Wybór padł na Montague Johna Druitta, którego zabito i wrzucono do Tamizy z listem pożegnalnym jednoznacznie wskazującym i na poczucie winy, i na samobójstwo.

Ta spiskowa teoria oparta jest głównie na sensacyjnych zeznaniach syna malarza Waltera Sickerta, Josepha, złożonych „detektywom” z BBC w roku 1973. Sickert junior przyznał, że jego ojciec do końca życia miał ogromne poczucie winy za zbrodnie w Whitechapel. Aby choć po części odkupić swoje grzechy, ożenił się z córką Annie Crook, Alice Margaret. Joseph byłby więc nie tylko potomkiem znanego artysty, lecz także synem córki księcia Clarence. Przeczą temu jednak ustalenia dokonane przez jednego z najbardziej poważnych ripperologów Donalda Rumbelowa, wyłożone przezeń w godnej polecenia książce „Jack the Ripper: A Complete Casebook”. Annie Crook z Cleveland Street rzeczywiście istniała, lecz do śmierci wędrowała od przytułku do przytułku. Jej córka, faktycznie o imionach Alice Margaret, przez większość czasu była przy niej aż do zamałpójścia w roku 1918. Na świadectwie ślubu jako ojciec widnieje jej... dziadek William Crook.

Joseph Sickert z czasem wyznał, że zmyślił całą tę historię. Stało się to po opublikowaniu książki Stephena Knighta, w której jego ojciec oskarżony został o współudział w morderstwach w Whitechapel. Przeciw teorii Knighta – zbudowanej przeciw tylko na rewelacjach syna malarza – przemawiają fakty i niemal wszystkie dotychczasowe ustalenia policji, a jednak to ona zrobiła zawrotną karierę i dziś stała się nieomal kanonem kultury masowej i podstawowym źródłem informacji dla scenarzystów filmowych. Dzieło Knighta czyta się wyśmienicie, ale jego miejsce tak naprawdę jest na półce z książkami i filmami o templariuszach i świętym Graalu, kosmitach z Roswell czy spiskach typu „Z archiwum X”.

Arszenik i kilka staroci

Z dzisiejszego punktu widzenia czwartym, najpoważniejszym, pretendentem do miana Kubie Rozpruwacza jest – obok Francisa Tumblety’ego, Aarona Koźmińskiego i sir Williama Gulla – kupiec bawełniany z Liverpoolu James Maybrick. Jego życie zdaje się być klinicznym przykładem podwójnej moralności

„dżentelmena” epoki wiktoriańskiej. Szanowany, zamożny mieszczanin, ożeniony z urodziwą kobietą o imieniu Florence, Maybrick był człowiekiem uzależnionym od arszeniku. W XIX wieku arszenik był w dość szerokim użyciu, dodawano go między innymi do toniku, pijano z ginem. Wierząco również, że jest silnym afrodyzjakiem, co dla 50-letniego mężczyzny, takiego choćby jak Maybrick, miało niebagatelne znaczenie. Powszechnie zażywały go prostytutki. Arszenik miał jednak i inne, bardziej mroczne, właściwości. Nadużywanie go prowadziło do zaburzeń psychicznych typu paranoidalnego, wywoływało halucynacje, powodowało okresowe zaniki pamięci.

Maybrick co jakiś czas wyrwał się do Londynu, by z dala od domu i znajomych zaspokoić swój głód arszeniku i wyuzdanego seksu. Kiedy w roku 1888 ruszał na swą kolejną eskapadę do stolicy, wkraczał właśnie w ostatnią fazę uzależnienia czy też raczej intoksykacji. Miał umrzeć rok później wskutek zatrucia, o którego spowodowanie oskarżono jego żonę. Jego prawdopodobny związek z morderstwami na East Endzie wyszedł na jaw sto lat później, gdy praprawnuczka służącej w domu Maybricków w jakichś starych rupieciech rodzinnych znalazła tajny pamiętnik sygnowany imieniem i nazwiskiem pana Jamesa, którego mottem było: *Time reveals all* (Czas odsłoni prawdę).

Pisany na jak najbardziej autentycznym papierze z epoki wiktoriańskiej, choć już co do atramentu zdania ekspertów są podzielone, ów pamiętnik jest ewidentnie dziełem człowieka cierpiącego na zaburzenia psychiczne. Co jednak najciekawsze, zawiera on *expressis verbis* przyznanie się do zamordowania prostytutki z East Endu. Tak zwany pamiętnik Maybricka znajduje się obecnie w posiadaniu byłego wydawcy Roberta Smitha, który zdeponował go w sejfie w Bank of London.

W tymże roku 1993 pojawił się jeszcze jeden ślad prowadzący do bawelnianego kupca. Emerytowany ochroniarz z Liverpoolu Albert Johnson kupił w antykwariacie na prezent dla wnuczki elegancki wiktoriański zegarek kieszonkowy – jedno z tych poręcznych cacek, jakie dawni dżentelmeni nosili przy mniej formalnych ubiorach. Jakie było zdziwienie Johnsona, gdy po dokładnych oględzinach na bytku odkrył na wewnętrznej kopercie, od strony werku, kilka napisów wydrapanych ostrym narzędziem. W górnej części były słowa „Jestem Rozpruwaczem”, w dolnej podpis „James Maybrick”, a w środku – inicjały pięciu zamordowanych w Whitechapel prostitutek. Specjaliści potwierdzili, że zadrapania są bardzo stare, ale nie ma sposobu, by z całą pewnością stwierdzić, czy powstały w latach 1888–1889.

Odtajnienie po ustawowym upływie stu lat i ujawnienie w latach 1992–1993 przez Scotland Yard dokumentacji ze śledztwa w sprawie

Kuby Rozpruwacza okazało się ogromnym rozczarowaniem. Większość oryginalnych akt zaginęła. Być może zostały one potajemnie zniszczone, choć historycy Scotland Yardu są raczej skłonni przypisać ich brak bardziej prozaicznym powodom: nonszalanckiemu, mówiąc delikatnie, traktowaniu podobnych dokumentów przez samych policjantów. Stare papierzyska często lądowały w koszu, bo trzeba było zrobić miejsce na nowe teczki, nie było żadnej ewidencji „wypożyczeń”, a w tym konkretnym przypadku akta mogły najzwyczajniej w świecie paść łupem tabunów wścibskich dziennikarzy i kolekcjonerów suvenirów. Natomiast całe archiwum policji City of London spłonęło podczas hitlerowskich nalotów.

W tym świetle pojawienie się Jamesa Maybricka i szybki jego awans do najściślejszego kręgu podejrzanych o dokonanie zbrodni w Whitechapel w roku 1888 były nie lada sensacją. Ale, jak to już stało się regułą, także i w tym przypadku dowody nie są na tyle niepodważalne (na przykład niezgodność charakterów pisma w pamiętniku i testamentie Maybricka), by uznać trwające nieprzerwanie od ponad stu lat śledztwo za zakończone.

Epilog

Zabójstwa w Whitechapel przypisywane Kubie Rozpruwaczowi były jednym z tych wstrząsających, tragicznych wydarzeń, jakie stają się jakby zwierciadłem odbijającym wszystkie sprzeczności, aberracje i szaleństwa epoki. Do takich zdarzeń można by zaliczyć na przykład katastrofę „Titanica”, zbrodnie bandy Charlesa Mansona, a ostatnio zamach terrorystyczny na World Trade Center. W takich momentach ostrzeżenia z przeszłości, dotąd ignorowane, nabierają naraz mocy spełniających się złowrogich przepowiedni, a w nadzieję na jasną przyszłość wkrada się poczucie bezradności i gorzki posmak niepewności. Nędzę, patologię i zwierzęcą walkę o byt w podłych dzielnicach Londynu i innych brytyjskich miast z rosnącym niepokojem opisywał Charles Dickens. Oburzającą tezę o dwójności ludzkiej natury, a zarazem metaforę podwójnej moralności społeczeństwa późnowiktoriańskiego Robert Louis Stevenson zawarł w uznanej za niemoralną książce „Doktor Jekyll i pan Hyde”. Ledwie dwa lata minęły od jej publikacji, a rzeczywistość przerosła literacką fikcję.

Nie wolno jednak zapominać także o pobudzającej do szerszej refleksji i działania roli takich wydarzeń. Po rozplynięciu się zabójcy z Whitechapel w londyńskiej mgie Londyn i cała Anglia wyraźnie się zmieniły. Nie można było w nieskończoność zamiatać brudów pod dywanik, choćby i najpiękniejszy, i udawać, że jest czysto. To fakt, że Kuba Rozpruwacz był pierwszym seryjnym mordercą, który dzięki mediom

stał się bohaterem masowej wyobraźni. Ale prasa rozpisująca się z lubością o jego wyczynach zwróciła też aż nadto dobitnie uwagę, że pijaństwo, prostytutka, przemoc, krwawe porachunki i zabójstwa stanowiły normę w slumsach, tragiczny efekt koszmarnych warunków życia, a nie jakąś kosmiczną anomalie czy wrodzoną skłonność ludzi niskiego stanu do zła. Gazetowe publikacje, często bardzo krytyczne, stały się więc niejako bodźcem do uruchomienia długofalowych rządowych programów społecznych, edukacyjnych, zdrowotnych i budowlanych, konsekwentnie zmierzających do podniesienia poziomu życia w dzielnicach robotniczych.

Jak bardzo Kuba Rozpruwacz wrósł w londyński folklor – i stał się nie mniejszą atrakcją dla amatorów makabry niż Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud i London



Dungeon – świadczy fakt, iż co wieczór o 19.30 spod stacji metra Tower Hill rusza szlakiem jego zbrodni wycieczka z przewodnikiem tak barwnie i plastycznie opowiadającym o krwawych wydarzeniach roku 1888, że zwłaszcza jesienną porą, gdy jest już po zmierzchu, słuchaczom aż ciarki przechodzą po plecach. Chętnych na te spacer z dreszczykiem nigdy nie brakuje, a i dzisiejsi mieszkańcy Whitechapel zdążyli przywyknąć do tego cyrku, choć daremnie by szukać wśród nich potomków *cockneyów* sprzed stu lat. Sama dzielnica mocno się zmieniła, tak naprawdę wiele miejsc już nie istnieje – na próżno by szukać na dzisiejszej mapie Londynu Bucks Row, Berner Street, Miller’s Court czy Dorset Street. Dziś o Whitechapel częściej mówi się jako o Bangla Town – z racji dominującej tu bez reszty społeczności rodem z Bangladeszu.

JERZY RZEWUSKI

W roku 1895 ukazał się artykuł poświęcony Kubie Rozpruwaczowi. Sugerował on, że zabójcą mógł być prominentny lekarz z West Endu

wielu uznany został za prawdziwe rozwiązanie zagadki zabójstw z Whitechapel. Tropem ustaleń telewizyjnych „detektywów” poszedł Stephen Knight, którego książka „Jack the Ripper: The Final Solution” (1978) – tym razem napisana już jak najbardziej serio – z powodzeniem może się stać wzorcowym przykładem sztuki kreowania teorii spiskowych.

Tak oto na Kubę Rozpruwacza awansowany został sir William Gull, ambitny syn wiośkowego właściciela promu, który ciężką pracą, uporem i talentem do zawierania przyjaźni z możnymi tego świata doszedł do najwyższych szczytów i majątku ocenianego według dzisiejszych szacunków na 15 milionów funtów szterlingów.

Celem owego spisku, w którym instrumentalną rolę odegrał dr Gull, miałyby być zatuszowanie kompromitującego ożenku księcia Alberta Wiktora z Annie Crook – sprzedawczynią w trafice przy Cleveland Street, ale co najgorsze – katoliczką. I to zatuszowanie w sposób ostateczny, tak aby nie ostało się nic, co w przyszłości mogłoby być pożywką dla uprzykrzonej prasy. Nic, co mogłoby się stać pretekstem do szantażu. Takiego właśnie rozwiązania – ostatecznego – miała zażądać sama królowa Wiktorja od ówczesnego premiera lorda Salisbury’ego, który to zadanie bez wahania powierzył zaufanemu dr. Gullowi. Według Knighta po rajdzie tajniaków na rodzinne gniazdko Eddy’ego w Whitechapel Annie została zamknięta w szpitalu dla obłąkanych i prawdopodobnie poddana lobotomii. Pozo-

niewygodnymi świadkami – byłyby Polly Nichols, Annie Chapman i Liz Stride.

Kate Eddowes zdaniem Knighta była ofiarą przypadkową, zabita przez pomyłkę, jako że często przedstawiała się swym klientom jako Mary Kelly. Ale i to zabójstwo nie poszło na marne. Staranna reżyseria tego zdarzenia – podrzucenie zwłok na Mitre Square, kawałek zakrwawionego fartucha i graffiti na Goulston Street – miała przypieczętować masońskie powiązania Kubie Rozpruwacza.

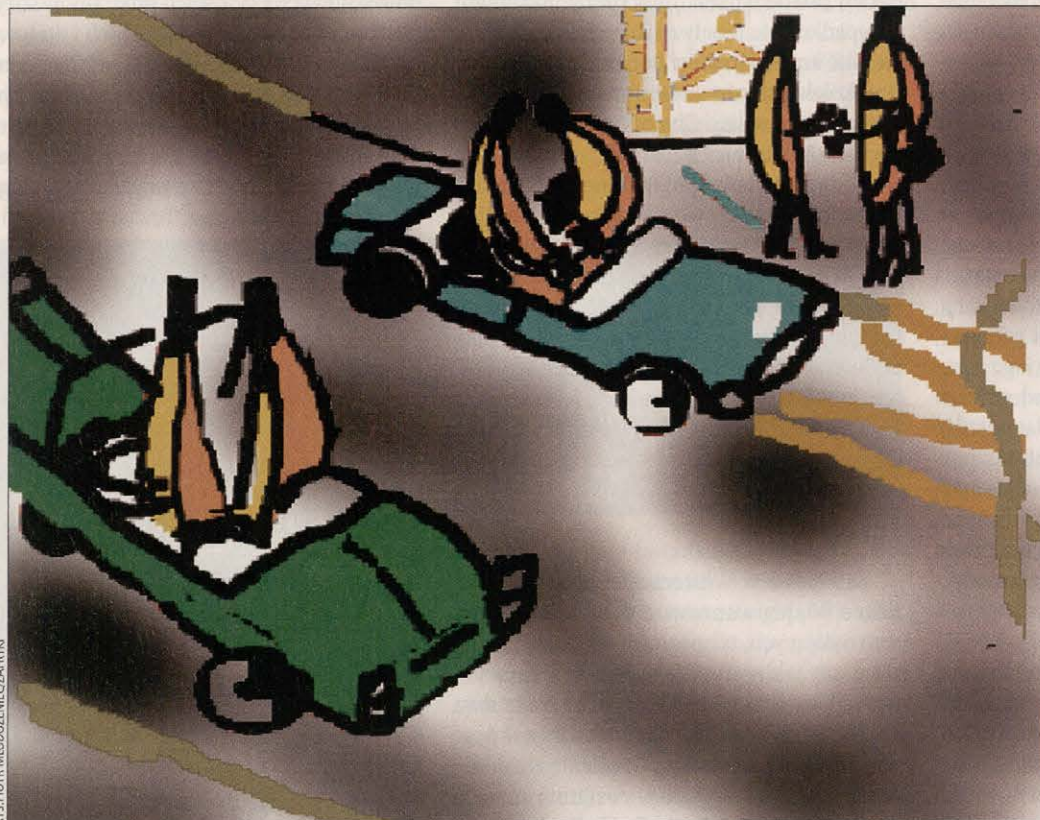
Zważywszy duże prawdopodobieństwo przynależności dr. Gulla do masonerii, tłumaczyłoby to również, dlaczego wszystkie ofiary potraktowane zostały z tak wyrafinowanym okrucieństwem. W tym świetle zbrodnie dokonane przez Kubę Rozpruwacza miałyby więc charakter rytualnej zemsty. Najsroźszej – co logiczne – w przypadku Mary Jane. Może też po trosze miało to być symboliczne wymierzenie kary wszystkim nierządnicom za zarażenie biednego Alberta Wiktora nieuleczalną, wstydliwą chorobą, która pospółu z kuracją rtęciową zdążyła już poczynić nieodwracalne spustoszenia w mózgu i przyczynić się do jego przedwczesnej śmierci w roku 1892. Oficjalnie – na zapalenie płuc.

Czy jednak sir William Gull, mężczyzna 71-letni, ledwie rok po przebytych zawale serca byłby zdolny do popełnienia wszystkich pięciu zbrodni? Zdaniem jednych tak zamożny i ustosunkowany dżentelmen, na dodatek działający z polecenia królowej Wiktorii, mógł bez trudu skorzystać z pomocy kilku pewnych

Kici Kici

Zestaw niezbędnych wyrażen
i zwrotów w różnych językach świata

- w Polsce: **BANANOWA/ZŁOTA MŁODZIEŻ**
- we Włoszech: **FIGLIO DI PAPA** (synek swojego tatusia)
- w Hiszpanii: **PLJOS** (polski czteroliterowy – choć na murach często spotyka się trzyliterową „błokersową” wersję – odpowiednik nie wyróżnia się zbytnią elegancją) – rzadko się używa tej wersji, częściej liczby pojedynczej: **PLJO** (rodzaj męski) lub **PLJA** (rodzaj żeński)
- w Japonii: **BOSOZOKU** (po polsku trudno to oddać jednym słowem, ale chodzi o młodzież szalejącą na motorach)
- na Węgrzech: **ARANY IFJUSÁG** (dosłownie: złota młodzież)



- w Turcji: **ZÜPPE TAKÝMY** (kompania snobów)
- w Portugalii i Brazylii: **MENI-NOBEM** (dzieciak rodziców, którzy są dobrze sytuowani) lub **MENINO BONITO** lub **AI JESUS** (dwa ostatnie – ulubione dziecko rodziców)
- w Niemczech: **DIE SCHICKI-MICKI-JUGEND** (nieprzetłumaczalne na język polski)
- we Francji: **LA JEUNESSE DORÉE** (złota/pozłacana młodzież)
- w Iranie: **BACZEHĀ-JE ĀB-PORTOQĀLI** (dzieciaki od soków pomarańczowych)

Chyba

Mówię „chyba”, kiedy nie wiem. Albo kiedy nie jestem pewny. Albo wiem niedokładnie. Ale – myślę sobie – jakoś tam wiem. I coś mogę powiedzieć. Chyba mogę. Mogę: „chyba”.

Mówię „chyba”, gdy nie mogę się zdecydować. Chyba bym się napił herbaty. Ale co to człowiek może wiedzieć? „Chyba tak”. „Pewnie tak”. To prawie to samo.

Ale „chyba” wzięło się chyba od chybania, chwiania, niepewności, a pewnie pewnie od pewności. Słowniki mówią, że takie „chyba” osłabia. Pewnie tak, bo jak mówię, że coś chyba jest, to mniej ono jest, niż gdybym powiedział, że jest. Ale z drugiej strony, kiedy zupełnie nie wiem, czy coś jest, a słyszę, że chyba jest, to chyba to jest więcej. Więcej niż nic. I więcej niż na przykład „może”.

Chyba żebym się mylił. Chyba że to „chyba”, które słyszę, oznacza grzeczną ostrożność w przeczeniu. Że ten, kto mówi „chyba”,



daje słowo

nie chce czy nie może powiedzieć „nie”, a nawet „może” nie może powiedzieć.

„Chyba” to był kiedyś też błąd, wada, a poza tym nietrafienie, nieudanie. Jak ktoś chybił, to była chyba. Ale tak dziś już nikt nie mówi, chyba żartem. Czyli „z wyjątkiem”, bo takie „chyba” właśnie wyjątki. No i chyba żeby chciał coś powiedzieć po staropolsku.

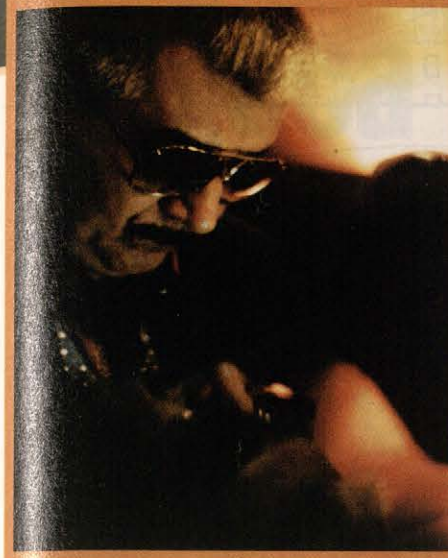
Słabe to „chyba” zatem, więcej niż nic, ale pewności mało. Zwłaszcza jak przeciągnę, przedłużę „y” i to, co jest po „chyba”. „Chyyyba taaak...”.

Ale całkiem inaczej jest wtedy, gdy dziarsko wołam: „no chyba!” Na przykład ktoś nie jest pewien i pyta mnie. A ja wiem! I mocno potwierdzam. I niech nikt nie śmie mieć wątpliwości. Tak właśnie jest.

Niechybnie.

Jerzy Bralczyk

Inne pytania



Powinno się mieć albo minimum wiedzy, albo wstydu

MARIA CZUBASZEK: Wiem, że lubisz koty.

A wiesz, czym mruczy kot?

WOJCIECH KAROLAK: Jeszcze raz.

Wiem, że lubisz koty.

– Bardzo.

A wiesz, czym mruczy kot?

– Nie bardzo.

To inaczej. Dlaczego kot mruczy, a pies nie?

– Widocznie nie ma powodów do mruczenia.

A gdyby miał?

– To by miauczał... Co ja gadam! Mruczałby, oczywiście.

Czym?

– Tym czym kot.

I wtedy można by powiedzieć, że kot mruczy tym czym pies?

– Dokładnie.

Wojciech Karolak, muzyk, w rozmowie z Marią Czubaszek

A nie mogłeś od razu tak powiedzieć?

– Że kot mruczy tym czym pies?

Na to wychodzi. Ale to bez sensu.

– Jakie pytanie, taka odpowiedź.

To inne pytanie. Co było pierwsze?

– Kot. Dlaczego tak patrzysz? Pierwsze koty. Za płoty.

Królestwo za konia, a oko za oko? OK, pożartowaliśmy sobie, a teraz poważnie. Co było pierwsze? Jajko czy kura?

– Jajko. To jasne.

Możesz jaśniej?

– 300 milionów lat temu były jajka, z których rodziły się gady. Ptaki pojawiły się później. A kury jeszcze później.

A wracając do jajka... Co ma więcej białka? Żółtko czy białko?

– Oczywiście żółtko.

Skąd to wszystko wiesz?

– Nie wiem. Strzelałem.

Możesz grać w teleturniejach.

– Każdy może. Ale nie każdy powinien. Powinno się mieć albo minimum wiedzy, albo wstydu.

Zawsze można strzelić!

– Kulą w płot. Głupio potem...

Jak zawsze przesadzasz. Już Sokrates powiedział: „Wiem, że nic nie wiem”.

– Dlatego nie brał udziału w teleturniejach. I pomyśleć, że kiedyś tacy ludzie bywali filozofami. Wstyd.

Lepiej zmieńmy temat. Jak chciałbyś wyglądać?

– Jak jajko... Przepraszam. Jak Nicolas Cage.

20 lat później?

– Raczej 20 kilo mniej.

Niż on?

– Niż ja. Ja, 20 kilo temu. Ale przy wzroście 185 centymetrów najlepiej byłoby ważyć... jakieś 60 kilo.

W ubraniu?

– No, nie. To już byłaby przesada. Choć... rzeczywiście. Mogłoby być w ubraniu. Właściwie człowiek powinien być zawsze w ubraniu. Zwierzęta są piękne, a człowiek... taki sobie. Powinien być wieszakiem, na którym dobrze wiszą piękne ubrania. Na przykład marynarka Cage’a z „Dzikości serca”.

Rozumiem. Ale ponieważ nie masz takiej marynarki, to chciałbyś ważyć 60 kilo bez ubrania?

– Z dwójga złego wolę 60 kilo bez ubrania niż 93 w ubraniu. Chyba że miałbym strasznie ciężkie ubranie... Amerykanie mówią, że nie można być za chudym. I za bogatym. Ale z odchudzaniem trzeba uważać. Już Gałczyński pisał, że „przez niejedzenie do głupoty, przez głupotę do szlagu”.

Czyli jesteś OK?

– Fakt, że za chudy nie jestem. Raczej wprost przeciwnie.

Za bogaty chyba też nie?

– Jeszcze bardziej wprost przeciwnie.

Więc i szlag Cię nie trafia?

– Trochę mnie trafia.

Mimo że nie jesteś chudy?

– Właśnie dlatego.

No to jak to jest? Nic z tego nie rozumiem.

– No właśnie! Prawda? Niby to logiczne, ale dosyć pogmatwane.

A wolałbyś być chudy czy bogaty?

– Wolałbym być bogaty i chudy. I żeby mnie nic nie trafiało.

Tak to by każdy wolał! A gdybyś miał wybierać?

– Ale dlaczego?

Bo każdy ma prawo wyboru. Na tym polega między innymi demokracja. A wciąż niczego lepszego nie wymyślono.

– Szkoda. Widocznie się nie przykładano. Straszne niedbalstwo... A może czasu nie starczyło? Ja się nie śpieszę. Poczekam. Może mi się uda p r z e c z e k a ć.



WILHELM SASNAL

Pereca instrukcja obsługi

JAN GONDOWICZ

Ile rocznie wychodzi w Polsce zdatnych do czytania powieści? Sześć? Może nieco więcej. Powiedzmy: 16.

We Francji sześć tysięcy. Georges Perec (1936–1982) wybił się w tym tłumie i utrzymuje prymat od 34 lat. Jego wydane właśnie po polsku „Życie instrukcja obsługi” to najświetniejsza powojenna powieść francuska

„Aby potężną stworzyć książkę, wybierzcie temat potężny. Nigdy nikt nie napisze wielkiego i wiekopomnego dzieła o pchle, choć wielu próbowało” – powiada w „Moby Dicku” Melville, zresztą jeden z literackich idoli Pereca (obok Kafki, Calvino i Verne’a). Zamiast wieloryba Perec wybrał jednak dom.

Przez całe XIX stulecie rysowano w intencjach komicznych przekroje domów, na których piętrach dzieją się różne sprawy. Pomysł sięga XVIII-wiecznej powieści Lesage’a „Diabeł kulały”, gdzie Mefistofeles podnosi dachy, by bohater mógł podpatrzeć prawdziwe życie. Sam Perec mówił, że urzekł go rysunek amerykańskiego satyryka Saula Steinberga z roku 1947 (obok).

Sceną „Życia instrukcji obsługi” („La Vie mode d’emploi”, 1978) jest 10-piętrowa (wliczając podziemia) kamienica w centrum Paryża. W celu ukazania losów setki lokatorów, jacy w ciągu niemal stulecia 1885–1975 przevinęli się przez 30 mieszkań, Perec odtworzył dzieje Francji i krajów ościennych od roku 1833. Oczywiście, to niewiele w porównaniu z 15 611 mieszkańcami 2400 mil kwadratowych Faulknerowskiego hrabstwa Yoknapatawpha w latach 1820–1940. Ale Faulkner poświęcił na to całe życie...

Różnica polega też na tym, że spojrzenie Pereca sięga nie wierz, ale w głąb. Czas powieści staje tuż przed ósmą wieczór 23 czerwca 1975 roku. Umiera główny bohater, którego dziwny projekt wymagał udziału kilku innych lokatorów, a zajmował większość pozostałych. Epilog podaje oschle, że 15 sierpnia zmarł ostatni mieszkaniec, który pojmował sens tego przedsięwzięcia. Trochę tak, jakby Joyce zabił Dedalusa i Blooma na ostatniej stronie „Uliksa”. Od tego wydarzenia czytelnik cofa się w czasie. Sam musi jednak odkryć związki zdarzeń, gdyż oprowadzany jest po budynku ruchem konia szachowego i do żadnego z pomieszczeń nie trafia dwukrotnie.

Wśród 107 fascynujących, przewrotnych historii, jakie pozna przy tej okazji, jest historia kryminalna, gangsterska, sensacyjna, gotycka, podróżnicza, lotrzykowska, szpiegowska, Kałkowska, snobistyczna, biurowa, a wreszcie piękna, gorzki romans. Na czoło wybija się jednak historia układacza puzzli.

Krótko po pierwszej wojnie światowej najbogatszy z lokatorów, angielski miliarder Bartlebooth, jako sposób na życie, w którym bez cienia wysiłku mógł mieć wszystko, wymyślił sobie układanie puzzli. W tym celu najpierw przez 10 lat pobierał u sąsiada z kamienicy Valène’a lekcje malowania akwarelą. Następnie puścił się w 20-letnią podróż dookoła świata, w trakcie której wykonał 500 akwarelowych widoczków w tyluż portach. Co dwa tygodnie kolejne malowidło ładowało na stole innego sąsiada, Wincklera, genialnego rzemieślnika, który specjalną piłą ciął je na liczącą 720 części układankę. Zakończywszy podróż, miliarder jął układać obrazki, dając sobie na każdy dwa tygodnie. Następnie wysyłał ułożone widoczki, tam gdzie powstały, w celu uroczystego zniszczenia.

Bartlebooth, główna postać powieści, ma nazwisko znaczące. Kryje się w nim bohater cyklu modernistycznych poematów Valéry’ego Larbauda miliarder Barnabooth, który przemierzał świat luksusowym pociągiem w celu kolekcjonowania wrażeń. Ale kryje się i bohater noweli Melville’a, kancelista Bartleby, który uznał, że nic w życiu nie ma sensu. A wreszcie kryje się – już nie w nazwisku – ekscentryczny pisarz-miliarder Raymond Roussel (1877–1933) wędrujący po świecie w luksusowych kabinach transatlantyków, wagonach Orient Expressu i wykwintnej przyczepie samochodowej, nigdy z nich

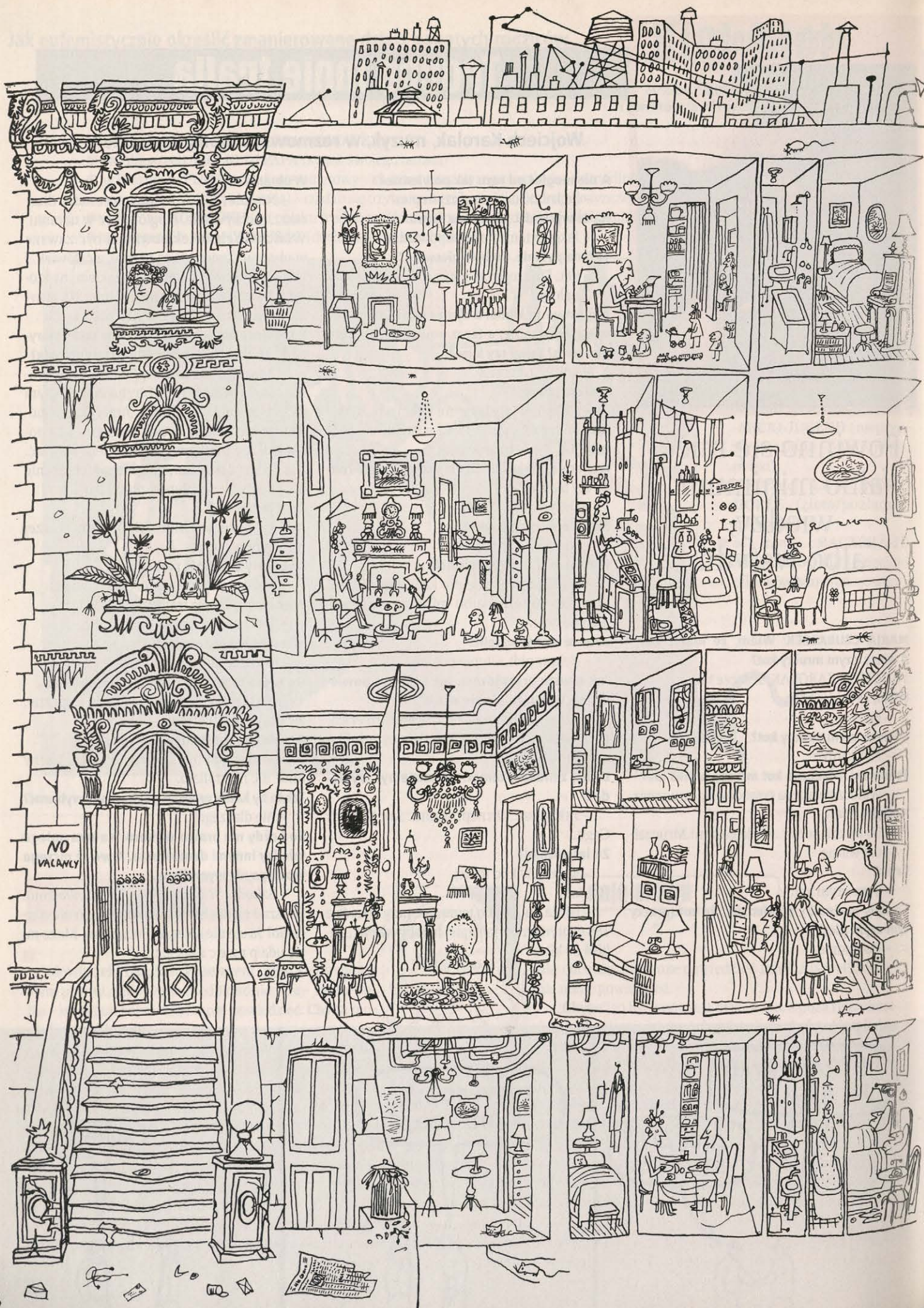
nie wychodząc. W tych ciągłych podróżach układał niebawem zawikłane książki pisane według własnej, maniacko mozolnej receptury.

Rzemieślnik Winckler, który całe życie spędził w cieniu obłądnego planu Bartlebootha, uknuł jednak zemstę. Układanki są coraz trudniejsze. Miliarder umiera, trzymając w ręku ostatni – 439. – element puzzla, którego już nie sposób ułożyć. Podstęp ten przeczuwał stary malarz Valène, który całe życie próbował zrealizować plan rywalizujący z planem miliardera: namalować kamienicę ze wszystkimi jej mieszkańcami. Na odnalezionym po jego śmierci płótnie widnieje jednak tylko przekrój budynku – kratki, których nie wypełniło nic. Tak historia o daremności planowania sobie życia i historia o niemożności uchwycenia go przejrzały się w sobie.

Lekcja rzeczy

Pierwszym wielkim badaczem rzeczy był Balzac. Na początku „Jaszczyra”, który właśnie stał się modny, bo napisała o nim pani profesor Janion, Balzac wyklada swoją teorię przedmiotów. Jak badacz skamielin Cuvier z jednej kości odtworzył leniwce olbrzymie zamieszkujące niegdyś Montmartre, tak – powiada – byle przedmiot – cylinder, laska, fotel – pozwala odtworzyć pełny obraz właściciela. Ten sposób myślenia podjął wkrótce Sherlock Holmes. W studio waniu rzeczy używanych jest bowiem coś z atmosfery śledztwa. Balzakowi jednak ta sztuka śledcza służyła raczej do odśladania krok po kroku niezwykłości jego bohaterów. Nie inaczej postępuje Perec.

Wielka kamienica pełna jest rzeczy, które wyznaczają ramy życia i obrazują biografie mieszkańców. Meble, dekoracja wnętrz, pamiątkowe bibeloty, książki, żywność i sprzęty kuchenne,



łazienkowe, przybory do sprzątania – każda z tych rzeczy obejrzana z bliska opowiada o sobie i jej właścicielu. Rzeczą wreszcie jest i sama kamienica – mały świat, który podtrzymuje życie, ale i więzi wszystko i wszystkich. Na powieść składają się więc niezliczone opisy – pasjonujące, bo dokonywane po trosze jak przez dziurkę od klucza. Podpatrzeni przy codziennych zajęciach lokatorzy są frapujący jak każdy, kto myśli, że nikt go nie widzi. Opisy pustych pomieszczeń trzymają w napięciu jak powieść kryminalna. Jednym ze źródeł kryminału jest przecież zagadka zamkniętego pokoju.

Świat rzeczy stanowił zawsze żywioł pisarski Pereca. Drwił z nich, fascynował się nimi i badał reakcje ludzi uzależnionych. Jego książki to kronika czasów nadprodukcji rzeczy i wszechobecnej reklamy. Wobec zalewu rzeczy możliwe są trzy postawy: wyrzucić wszystko i kupić wszystko nowe, wyrzucić wszystko i nie kupować niczego lub poddać się tyranii rzeczy starych i nowych. Perec wypróbował kolejno te rozwiązania. We wczesnej powieści „Rzeczy” („Les Choses”, 1965, wyd. polskie 1967) opisał młode małżeństwo marzące tylko o tym, by się otoczyć rzeczami. Chęć posiadania rzeczy modnych, życia „jak wszyscy” sprawia, że są żałośni – właściwie nie z własnej winy. W powieści „Un homme qui dort” („Człowiek, który śpi”, 1967) sportretował młodzieńca (wzorowanego na sobie), który wycofuje się w głąb siebie i rezygnuje ze wszystkiego poza biernym trwaniem w pustym pokoju. Ten styl życia graniczy z samobójstwem. Wreszcie „Życie instrukcja obsługi” to świat ludzi widzianych jak rzeczy, z lodowatym obiektywizmem katalogu.

Bardzo to szczególny katalog. Z opisywanego budynku Perec uczynił stupolową szachownicę zwiedzaną mniej więcej od środka. W każdym pomieszczeniu, czyli rozdziale, postanowił ulokować (a często ukryć) pewne rekwizyty, które wcześniej spisał na 42 listach po 10 pozycji. Każdy rozdział zawiera więc między innymi wzmiankę o jednej z póź zadanych jakiejś postaci, opis ustalonej czynności, cytaty z wybranych autorów, liczbę, uwagę o ścianach i podłodze, o konkretnej epoce, zwierzęciu, stroju, kolorze, sławnym obrazie, grze, gatunku kwiatów, o jednej z rzeczy do pary, a także o czymś, czego brak, oraz zadane z góry kłamstwo. Przy czym im bardziej nie wprost o nich mowa, tym lepiej. Gwarancję, że ich zestaw nigdy się nie powtórzy, dawał rachunek matematyczny tak skomplikowany, że odpowiedni wzór zdołano opracować dopiero w roku 1967. Są i inne utrudnienia, niejawne, pracownice tropione przez wielbicieli pisarza.

Uszy Midasa

Po co to wszystko? Rzecz w tym, że nie można opowiadać po prostu: opowiada się zawsze „jakoś”. To odkrycie mające już 200 lat wciąż nie mieści się w głowie zwykłego czytelnika. Łatwiej

wierzy się fizykom, gdy twierdzą, że przestrzeń się zakrzywia, a elektron może być w dwóch miejscach naraz. Albowiem – jak mówią fizycy, gdy nie chcą używać wzorów – tak właśnie jest i już. Podobnie w literaturze, z tym że sposoby opowiadania zużywają się z czasem i trzeba stwarzać nowe. Pisarz ambitny musi więc najpierw wymyślić sobie reguły, a potem się ich trzymać. Czytanie ze znajomością wewnętrznych reguł pisarza takiego jak Joyce, Butor, Nabokov czy Calvino, z patrzeniem autorowi na palce, to zabawa wtajemniczonych. Ich nagrodą jest nie tylko uczestnictwo w grze, lecz także zaufanie, bo takim wypróbowanym czytelnikom pisarz ryzykuje czasem się odsłonić. Zdradzić jakby więcej, niż unieść może literatura. Niż sam by się przed sobą przyznał.

Tak oto pisarstwo, które wygląda na zabawę, przestaje być zabawą. Staje się sposobem na wypowiedzenie czegoś, czego inaczej powiedzieć się nie da. Jakiejś najgłębszej wewnętrznej udręki. Czemu tak łatwo dostrzegamy udrękę na przykład Rembrandta czy Beethovena? Literatura, licząc sobie bez mała trzy tysiące lat, wciąż szuka dróg, by stać się równie wymowna jak muzyka czy malarstwo.

By coś takiego mogło dojść do skutku, trzeba się zamotać w system równie skomplikowany co harmonia z kontrapunktem. Pierwszy pojął to wspomniany Raymond Roussel, a w pół wieku po nim inny Raymond, Queneau, założył towarzystwo literackie zwane Warsztatem Literatury Potencjalnej (OuLiPo, 1960) badające efekty rozmaitych utrudnień w budowaniu fabuły. Te „przymusy” mają być przy tym niedostrzegalne w lekturze. Roussel wymyślił sobie metodę przekształcania słów będących załączkami kolejnych zdań; Queneau z przyjaciółmi woleli matematykę i programowy żart. W sierpniu 1961 roku czytelnicy „Przekroju” (nr 853) niemal jednocześnie z Francuzami podziwiać mogli „Cent mille milliards de poèmes” Queneau – trzy ze zbioru 10 sonetów pociętych na jednowierszowe paski,

z których czytelnik ułożyć mógł własne utwory. Prostym pomysłem ujawniał astronomiczną otchłań 1014 możliwych kombinacji, czyli tytułowych stu tysięcy miliardów sonetów. Przy czym każdy śmieszny!

Perec, członek OuLiPo od roku 1967, wniósł do tych igraszek nie tylko inwencję, lecz także powagę. W dwa lata później wydał powieść „Zniknięcie” napisaną bez użycia litery „e”. Jest w niej ton parodii, bo tylko parodia jest



Perec w roku 1978, po otrzymaniu nagrody Prix Medicis za „Życie instrukcja obsługi”

literaturą czystą. Ale jest i coś bardzo serio, co brak najczęstszej francuskiej samogłoski (nie dostrzeżony zresztą przez wielu pierwszych czytelników) starannie maskuje. Wysiłek opowiadania z takim rygiem sprawia, że pisarz jakby na nowo widzi swój świat. Niewidzialne męki zarażają język Pereca zimną, lecz przejmującą magią.

O tym, co przemilczane w „La Disparition” („Zniknięcie”, 1967), Perec zdecydował się mówić wprost dopiero w połowie lat 70. Ten najbardziej skryty od czasów Joyce’a wielki pisarz rozluźnił pancerz, którym krył dotychczasowe

tematy tabu: żydostwo i sieroctwo. Wyznał, jak boli go fakt, że umknął od mowy i kultury rodaków. Po francusku „e” wymawia się tak samo jak eux – oni.

Życie w braku

Największą w dziejach powieść o domu napisał bezdomny. W każdym razie duchowo. U jej źródła leży odkrycie autora, że jest kimś znikąd, przykładem wykorzenienia absolutnego. Wiadomo, co oznacza taka świadomość w społeczeństwie bardzo tradycjonalistycznym i tak hierarchicznym jak francuskie. A kiedy po latach jak najstarszego niemyślenia o tych sprawach odważył się spojrzeć w twarz prawdzie o swym pochodzeniu – a co to za uczucie, pojąć może tylko ktoś żyjący w społeczeństwie tak ksenofobicznym i antysemitycznym jak francuskie lub polskie – odkrył, że zabrano mu i żydostwo. Z własnej historii rodzinnej pozostało mu pięć fotografii matki i jedno zdjęcie ojca we francuskim mundurze szeregowca.

I cztery wspomnienia. W pierwszym raczkuje w kręgu rodziny po podłodze, na której wala się gazety – być może w jidysz – i nagle na jakimś skrawku pisze pierwszą w swym życiu literę, nieistniejącą, podobną do siódemki, co wzbudza zachwyt obecnych. W drugim wspomnieniu siedzi na nocniczku, gdy wchodzi – zapewne wracając z pracy – ojciec i podaje mu coś zimnego, metalowego, może klucz, który dziecko wkłada do buzi. I to już są wszystkie wspomnienia z dzieciństwa. Trzecie – chusteczka matki na peronie, gdy pociąg pełen dzieci, które Czerwony Krzyż postanowił ukryć w ochronkach strefy nieokupowanej, odjeżdżał z paryskiego dworca – zaczyna etap dorosłości. Ostatnie wspomnienie pochodzi z czasu po maturze, gdy stoi w strasnym błocie na przykoczonym cmentarzu nad grobem ojca i widzi na nagrobku nazwisko Perec – bardzo rzadkie we Francji – po raz pierwszy nieoznaczające jego samego.

Te żałosne, ubogie wspomnienia pochodzą z najdziwniejszej autobiografii, jaką można sobie wyobrazić – „W ou le souvenir d'enfance” („W albo wspomnienie z dzieciństwa”, 1975). Próby dotarcia do dna własnej pamięci przeplatają się tam z próbą odtworzenia dzieciennego jeszcze pomysłu na powieść: opisu kraju, gdzie wszyscy zajmują się tylko sportem. Kołatanie do własnej pamięci kończy się fiaskiem. W jakim języku mówiono w domu? Po żydowsku, polsku, francusku? Nie wiadomo. Jak długo można się zastanawiać nad kształtem owijaczy na zdjęciu ojca, skoro chciałoby się wiedzieć coś całkiem innego: jakim był człowiekiem? Jak można dociec, co myślała sobie matka w ostatnim roku życia – gdy już nie mieli kontaktu – chodząc po Paryżu z żółtą gwiazdą na pasku? I w miarę odkrywania muru odcinającego

przeszłość dziecięca powieść zmienia się w przewodnik po mrocznej antyutopii, jakiejś nowej, nieludzkiej Sparcie, w której dopatrzeć się można ponurych reminiscencji z sierocińca.

Autor „Zniknięcia” miał wśród przodków z bocznej linii klasyka literatury jidysz – Icchoka Lejb Pereca z Zamościa. Był on jego stryjecznym dziadkiem. Ale rodzice pisarza, podobnie jak świetna, 80-letnia już poetka amerykańska Denise Levertov, pochodzili z nic dziś o nich niewiedzącego Lubartowa. Wyjechali na początku lat 20. i ścignęli za sobą rodziny. Georges, rocznik 1936, przyszedł na świat już w Paryżu. Matka miała sklepik spożywczy, ojciec próbował sił w fachu jubilerskim, lecz w końcu został robotnikiem. Wkrótce wybuchła wojna: ojciec zginął tuż po kapitulacji na skutek przypadkowego postrzału, matkę, wówczas robotnicę w fabryce budzików, aresztowano. Na rok przed jej śmiercią Georges znalazł się w przytułku. Po wojnie adoptowała go ciotka ze strony matki. Prawie dziewięć lat studiował socjologię. Całe lata pracował jako bibliotekarz w ośrodku badania opinii publicznej. Pisywał od roku 1955, dorabiał układaniem znakomitych krzyżówek dla tygodnika „Le Point”. Krótkie przebiegi wspomnień z barwnego powojennego 10-lecia – wspólne dla całej generacji – zawarł w pisany równocześnie z „W” cyklu notatek „Je me souviens” („Pamiętam”, 1978). To reminiscencje fałszywej idylli, która rozwinęła się, gdy zrozumiał, że być Żydem „znaczy zawdzięczać życie wyłącznie przypadkowi i wygnaniu”.

Gra w obecność

Oto więc pisarz, którego spotkała przygoda Niewidzialnego Człowieka z opowieści Wellsa. Może widzieć wszystko, sam będąc niewidzialny, ale przed ludźmi występować musi z głową owiniętą bandażem, w rękawiczkach i ciemnych okularach. Bo gdyby je zdjął, przestałby dla nich istnieć. Budziłby już tylko lęk i odrazę. Dla kogoś takiego pisanie to gra w chowanego i podlega podobnym dylematom. „W albo wspomnienie dzieciństwa” mówi o tym wprost: „Raz jeszcze dopadły mnie pułapki pisania. Raz jeszcze poczułem się jak dziecko, które gra w chowanego i które samo nie wie, czego bardziej się boi, a czego bardziej pragnie: dalej się chować czy zostać odkrytym”. Zatem: widzieć wszystko, a samemu zniknąć. W rozdziale 51. „Życia instrukcja obsługi” będącym poetyckim streszczeniem powieści autor sportretował się jako Valène, wyznaczając sobie miejsce w samym rogu obrazu, gdzie drobna postać malarza maluje maleńką sylwetkę malarza malującego mikroskopijną figurkę malarza...

Przebranie wydaje się przebraniem tylko patrzącym z zewnątrz. Od wewnątrz, żyjąc w nim, można je ośwoić. W XX wieku stało się to udziałem milionów ludzi. Przebranie Pereca – gry słów, szyfry, sztuczki narracji, zabiegi przywo-

dzące na myśl malarstwo ludzające wzrok, wyrażająca i granicząca z mistyfikacją erudycja, wreszcie przesady – staje się, ośwojone, prywatną mitologią.

Weźmy na przykład liczbę 11. Tyle słów liczy dziwny tytuł krótkiej powieści „Quel petit vélo à guidon chromé au fond de la cour” („Jakiż to mały rower o chromowanej kierownicy stoi w głębi podwórza”, 1966). Dom z „Życia instrukcji obsługi” stoi przy ulicy Simon-Crubellier 11. Zbiór „Alphabets” („Alfabet”, 1976) składa się z 11 11-wersowych wierszy po 11 liter każdy. Zagadkę wyjaśnia inny krótki wiersz dedykowany OuLiPo. Jego treść wyłożona po polsku daje się przedstawić mniej więcej tak: „Pragnę obszaru, podbitego dwudziestoma pięcioma strzałami z ołowiu aż po kres zwięzłej linii, aż po bliski skraj mej lichej kartki. Żądam tylko ryzyka tego zmyślenia mglistą prozą, resztki dobrze już wytartego uroku, co rzuci temu obszarowi wyzwanie aż po kres zwięzłej linii”. Więcej ujawnia, nawet bez znajomości języka, oryginał:

*Champ défait jusqu'à la ligne brève,
J'ai désiré vingt-cinq flèches de plomb
Jusqu'au front borné de ma page chétive.
Je ne demande qu'au hasard cette fable en prose vague,
Vestige du charme déjà bien flou qui
Défit ce champ jusqu'à la ligne brève.*

Strzały z ołowiu to, rzecz jasna, czcionki, a więc alfabet. Perec użył uproszczonego alfabetu francuskiego bez K, W, Y i Z. Stąd te „zwięzłe linie”. Zwięzłe są też dlatego, że brak w nich liter ważnych. W pierwszym wersie świeci nieobecnością „o”, w drugim „u”, w trzecim „l”... To, czego nie ma, układa się w nazwę „OuLiPo”. Perec składa więc „hołd negatywny”! Ale nie byłby sobą, gdyby nie wprowadził jakiejś anomalii, która wszystko odwróci. Widać ją gołym okiem: wers czwarty jest nieproporcjonalnie długi. Liczy 11 słów i 43 litery.

Te właśnie liczby widniały w dokumencie wystawionym przez władze obozu przejściowego dla Żydów w Drancy. Zawiadamiał on, że Cyrila Perec wysłana z transportem zmarła (jak dziś się przypuszcza, zapewne w Oświęcimiu) 11 lutego 1943 roku. Szyfrując datę śmierci matki, pisarz wyznawał – nie wprost – czemu bliższe mu jest OuLiPo. Bo to jedyne miejsce, gdzie dopuszcza się formę istnienia, jaką jest brak.

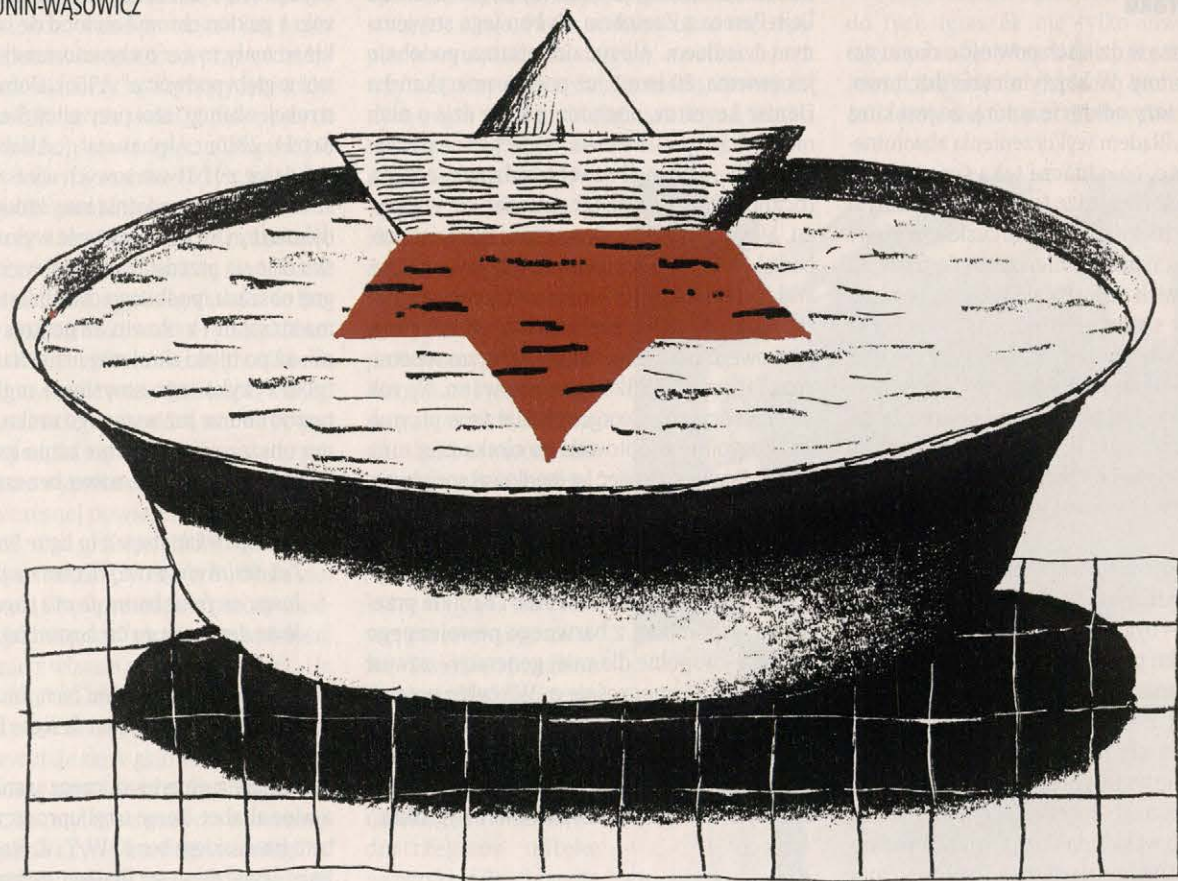
JAN GONDOWICZ



„Życie instrukcja obsługi” w przekładzie Wawrzyńca Brzozowskiego wydała w marcu 2002 Fundacja Literatura Światowa. Najważniejszą u nas prezentacją dzieła Pereca pozostaje poświęcony mu numer „Literatury na Świecie” (11/12 z 1995), gdzie znaleźć można fragmenty większości przywoływanych w tekście utworów.

Judeo-Polonia wiecznie żywa

PAWEŁ DUNIN-WASOWICZ



RYS ANDERTELEIS

Żydzi stali się takim samym elementem polskiej literatury fantastycznej jak kosmici i smoki

Warszawa stolicą świata. Z centrum miasta wyrasta w roku 2000 jedyna na Ziemi rura kończąca się na Księżycu. Jeżdżą nią pociągi z turystami, z Księżycza przywozi się też przedłużającą życie księżycową ziemię. Tylko Niemcy nie mają prawa tam podróżować, a ponadstuletniego Adolfa Hitlera muszą chronić przed wyzionieniem ducha innymi sposobami. Najpotężniejszym człowiekiem na Ziemi jest wielki wynalazca Szymon Cymber, który w równoległej prowadzonej narracji z roku 1939 jako 15-letni chłopiec wdaje się w dyskusję z Witkaczem odbierającym garnitur od jego ojca – żydowskiego krawca z ulicy Żelaznej.

Przeczytawszy (streszczoną powyżej) pierwszą część noweli Zdzisława Domolewskiego „Garnitury trumienne” w marcowym numerze „Nowej Fantastyki” ujrzałem oczami wyobraźni Judeo-Polonie w glorii światowej potęgi.

Wizja to była cudownie utopijna, całkiem odmienna od tej z opowiadania Barnima Regalicy „Listopad”, po którego publikacji w tym samym piśmie równo cztery lata temu autora oskarżono w prasie o szerzenie nienawiści rasowej.

Żyd w powieściach, których akcja rozgrywa się we współczesnej Polsce, występuje równie często jak w tutejszym społeczeństwie, czyli prawie wcale (chyba że to jakieś tabu?). Za to w fantastyce politycznej stał się elementem niezbędnym niczym smok w *fantasy*.

Rozbiór jak Bridget Jones

Jeśli w najnowszej powieści kobiecej obowiązkowym schematem są obecnie problemy samotnej 30-latki ze związkofobami, to w fantastyce od paru lat za odpowiednik Bridget Jones robi wizja kolejnego rozbioru Polski.

Rozbiór może być skromnie klasyczny, jak w powieści Eugeniusza Dębskiego „Aksamitny anchluss” (2001), gdzie ziemie III RP zostają po prostu podzielone pomiędzy Rosję i Niemcy. A może rozbiór poprzez podział na euro-regiony w „Buncie” Regalicy (1999), do której to książki wszedł „Listopad”? Ale o wiele bardziej efektowny będzie rozbiór wirtualny (widoczny wyraźnie tylko w cyberprzestrzeni) przy zachowaniu pozorów niepodległości, jak u Rafała A. Ziemkiewicza w „Pieprzonym losie katarzyniarza” (1995). Żydzi są tu wszechobecni.

Najdalej posuwa się autor „Buntu”. Jedyne szanse na wybicie się mają tam absolwenci żydowskich szkół fundacji Laudera. Przechwytyują one wybitniejsze intelektu, aby je na żydostwo przekabacić. Zapisuje się do niej Adam Jabłoński, który – przybierając nazwisko Apfelbaum – pragnie zostać nowym Wallenrodem, niestety ginie jako Żyd-wróg podczas narodowego powstania, jakie wybucha przeciw okrutnym ciemieżcom.

Bohater powieści Ziemkiewiczza, niejaki Robert, nawiązuje kontakt z cybermasonem, który chce go wciągnąć do tajemnego spisku rządzącego światem. Cybermason – tak się

przypadkowo składa – jest z pochodzenia Żydem, a z wyboru kosmopolitą i chce zabić Roberta – polskiego patriotę. Robertowi udaje się jednak wybrnąć z tej opresji, odwracając śmiertelny algorytm, który zabija wroga.

I nawet u dystansującego się nieco od żydowskich spisków Dębskiego pretekstem do rozbioru jest masakra, jaką Polacy urządzili izraelskim pielgrzymom w Oświęcimiu.

Polska imperialna

Zdumiewające, że gdy w utworach *political fiction* biedna Polska gnębiona jest strasznie przez przyszłych okupantów, to najnowsze rodzime historie alternatywne negujące II wojnę światową zdominowane są przez sny o potęgach naszej ojczyzny. Nie ma w nich obsesji żydowskiego spisku.

Takie wydawały mi się „Garnitury trumienne” Demolewskiego, od których rozpocząłem tę wyliczankę, tak jest też w powieści Macieja Lepianki „I w następnym dniu” (1997): Hitler zginął w zamachu w roku 1934, Rzesza rozpadła się na landy, zaś Polska stała się potęgą europejską. Warszawski playboy Michał Bohucki w latach 90. szuka w archiwach pocztowych listu wysłanego przez zabójcę Hitlera do Józefa Piłsudskiego. Rywalizuje z filmowcami żydowskiego pochodzenia z Góry Kalwarii (siedziba cadyka jako polskie Hollywood!), którzy także wykryli ciekawy temat. Jeśli w przypadku Ziemkiewicza nie mogłem się oprzeć porównaniom z „Dziedzictwem” Kazimierza Wybranowskiego (pseudonim literacki Romana Dmowskiego), to Lepianka – bardziej piłsudczy niż endeck – kojarzył mi się raczej z zawiadzionym proasymilatorem Bolesławem Prusem. Bohucki zamartwia się bowiem, czemu Żydzi trzymają ze sobą, zamiast wtopić się do końca w polski naród. Być może nie pamięta o pogromach, jakie miały miejsce w tej alternatywnej rzeczywistości w latach 50., kiedy to do władzy dorwał się chwilowo ze swoją „Falangą” Bolesław Piasecki i kiedy to ojciec Bohuckiego wykazał się piękną postawą, występując w obronie Żydów, co Michałowi przypomina sympatyczny stary rabin.

Tylko, kiedy po miesiącu doczekałem się dokończenia „Garniturów trumiennych” w kwietniowym numerze „Nowej Fantastyki”, że zgrozą spostrzegłem, że wcale nie są one utworem *stricte* fantastycznym. To, co początkowo wydaje się tam opisem przyszłości, wcale nim nie jest. Polska potężna dzięki geniuszowi Cymbera okazuje się jedynie naiwną powieścią spisywaną w kajecie przez 15-letniego Szymka. Który – czego autor nie pisze wprost, ale czytelnik łatwo się tego domyśli – trzy-cztery lata później zostanie najpewniej zagazowany w Treblince albo Bełżcu. ■



Sándor **Márai**
Wyznania patrycjusza

CZYTELN

Sándor Márai
„Wyznania patrycjusza”,
przeł. Teresa Worowska,
Czytelnik, Warszawa 2002



„Ja jestem kamień.
Wspomnienia
o Władysławie Broniewskim”,
zebrała i opracowała
Mariola Pryzwan,
Domena, Warszawa 2002



Amos Oz „To samo morze”,
przeł. Tomasz Korzeniowski,
Muza, Warszawa 2002

Czysta przyjemność: można otworzyć w dowolnym miejscu i czytać dla samej urody stylu. Wydana z 70-letnim prawie poślizgiem powieść Márai to właściwie jego sfabularyzowane wspomnienia obejmujące austro-węgierskie dzieciństwo, I wojnę światową, początki małżeństwa, studia i podróże po Europie. Aż trudno uwierzyć, że ta dojrzała, zdystansowana proza wyszła spod pióra trzydziestoparolatka, który kłęsi życiowe (w tym gorycz dożywotniej emigracji politycznej) miał dopiero przed sobą. Zdążył już jednak przesiąknąć tytówą dla Węgrów melancholią, bo „Wyznania patrycjusza” są elegią dla świata sprzed buntu mas, świata dobrych manier i arystokracji ducha. Widzimy, jak upadek konserwatywnych wartości spłata się z upadkiem samego narratora w nędzę, neurastenię i picie z nudów. Na szczęście Márai nie zanudza ani trochę: z humorem opisuje koligacje rodzinne, wyśmienicie portretuje ludzi i ciekawie pisze o samym sobie, a to dopiero sztuka – wie przecież, że koronkową autoanalizę niewiele dzieli od babraniny dusznej i ani razu nie przekracza tej granicy. Ów powściągliwy narcyzm w połączeniu z przenikliwością i lekką ręką do społecznych fresków stawia węgierskiego modernistę obok Manna i Prousta. Jeśli istnieje coś takiego jak duch Europy, to owo coś tchnie z każdej strony „Wyznań patrycjusza”. (JJ)

Czytając wydany 24 lata temu zbiór wspomnień o Broniewskim „To ja – dąb!”, obcowałoby niemal wyłącznie z hagiografami poety-komunisty. Obracając strony nowego zbioru „Ja jestem kamień”, ma się wrażenie, że jest to książka o kimś zupełnie innym. Weszły do niej relacje (w większości publikowane już wcześniej, jak na przykład ta Marka Hłaski z „Pięknych dwudziestolecich”), które nie mogły się w PRL-u ukazać ze względów zarówno politycznych, jak i rodzinnych – dopóki żyła trzecia żona poety Wanda, ukazywana tu najczęściej jako osoba o paskudnym charakterze. Widzimy Broniewskiego ciągle rozdarte: piszącego antysowieckie wierszyki w lwowskim więzieniu, a potem hołdownicze „Słowo o Stalinie”. Ale znającego miarę, bo odmawiającego Bierutowi napisania nowego hymnu i... spotykającego się w Paryżu przy każdej okazji z Jerzym Giedroyciem. Postać tragiczną w wymiarze osobistym: pogrążonego w alkoholowej depresji po śmierci córki, wysłanego siłą przez partyjne władze do zamkniętego ośrodka. Kawalera Virtuti Militari, na którego pogrzeb przychodzili ludzie nie dlatego, że pisał o Magnitogorsku, lecz dlatego, że był kolegą-legunem, kapitanem „Orlikiem”, a swój order zdobył, gromiąc bolszewików w roku 1920. Bardzo ciekawe, przydałaby się jednak większa staranność edytorska. (PDW)

Gdybym miał tysiąc biurka, a każde miałyby tysiąc szufladek, poległbym przy próbach klasyfikacji tej książki. Wspaniałe dzieło Amosa Oza to zasadniczo proza poetycka, ale zdumiewająca pod każdym względem. Z gatunkowego totalizatora można wylosować równie dobrze powieść liryczną, poemat, tomik wierszy, cortazarowski „model do składania”, krwisty obrazek obyczajowy, sagę, powieść drogi, zbiór pieśni, czy wrzescie epeopeję. I kiedy już jakoś sobie nazwiemy tę pasjonującą wieloznaczną opowieść o panu Alberze Danonie, „człowieku delikatnym, doradcy podatkowym”, jego zmarłej żonie Nadii, Dicie, Riku, Gigi ben Galu i innych, szybko się okaże, że dawno nie przeczytaliśmy tak wiele nowego o silnych kobietach, słabych mężczyznach, śmierci, seksie, miłości i religii (bez wzywania imienia Pana Boga nadaremnie). Uczestnicząc w tej specyficznej, czytelniczej eskapadzie, nie wejździemy dwa razy do „tego samego morza”. Dla izraelskiej literatury ta książka może się stać szacowną klasyką, odpowiednikiem „Przemienię z wiatrem”, nowohebrajskim „Panem Tadeuszem”. Skromność i mądrość dzieła Amosa Oza zniewala. **(PC)**

Płynność płci

Nie wystarczy już być kobietą lub mężczyzną, homo- lub heteroseksualistą – żeby zrobić karierę, trzeba być pomiędzy

Na amerykańskich uczelniach, wszędy i wzdłuż kraju, Modna Akademicka Oligarchia (skrót: MAO) nie spoczywa na laurach i nie ustaje w staraniach wyzwolenia ludzkości ze spowalniających postęp zabobonów. Do pęczniącego zbioru myśli przewodnich MAO (typu: vegetarianizm, lesbianizm, totalitaryzm itd.) doszło kolejne hasło: płynność płci. Otóż płynna płeć jest obecnie przedmiotem pożądania, atutem, który należy posiadać, by zwiększyć swoje szanse pracy na (prawie każdym) wydziale humanistycznym amerykańskiego uniwersytetu.

Co to znaczy? Zdaje się chodzić o, że tak powiem, unikanie naddeterminacji płciowej. Innymi słowy, nie należy myśleć w kategoriach sztywnych różnic między homoseksualistą a heteroseksualistą ani między kobietą i mężczyzną. Należy myśleć – i być – pomiędzy.

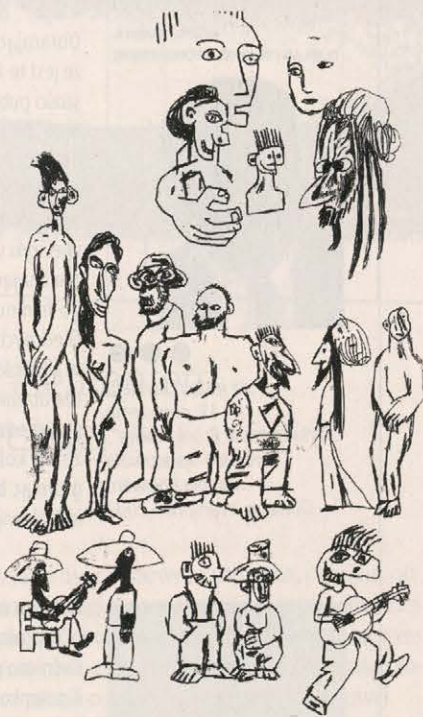
Pojęcie płynnej płci jest pojęciem raczej... płynnym, ale świetnie się zgadza z ogólnym duchem myśli MAO, według którego wszystko właściwie jest (i powinno być) „pomiędzy”. Pomiędzy leży też oczywiście prawda (której zresztą według MAO nie ma, a jeśli już w jakimś stopniu jest, to na ogół leży ona pomiędzy).

Obawiam się, że Władysław Bartoszewski – który pięknie i jak najślusniej mawia, że prawda nie leży pomiędzy, tylko tam właśnie, gdzie leży – nie przetrwałby długo na amerykańskim uniwersytecie. (Na którym, jak wyznał mi pewien profesor angielskiego w kalifornijskim college'u, najlepiej teraz być „transseksualnym, multikulturalnym »maoistą«”). Nikt, komu jeszcze jakieś nędzne szczątki zdrowego rozsądku pozostały, nie przetrwałby tam długo. I zresztą nie chciałby. Zatrudnienie się tam jest bowiem coraz bardziej podobne do wstąpienia do PZPR, nauczanie zaś – jeśli się nie posiada należytej płynności płci i wszelkich innych cech, poglądów i zachowań – udręką.

W ideologii MAO pojęcie płynności ma swoje miejsce od dawna. Mamy już przecież poza płynnością między prawdą a fałszem płynność (w praktyce, jeśli nie w teorii) między ofiarą a prześladowcą, między tekstem a jego interpretacją, między „faktem” (co do którego też nie jest pewne, czy w ogóle istnieje) a pragnieniem, myślą i uczuciem, między nauką a językiem, między światem zewnętrznym a wyobrażeniem, między dobrem a złem itd.

W ciągu ostatnich pięciu lat coraz bardziej rzuca się też w oczy płynność dyscyplin akade-

mickich. Samo wyrażenie „dyscyplina akademicka” budzi oburzenie i grozi: jak można tak bezwzględnie ograniczać, narzucać, zawężać, określać, wykluczać? Czyż dziedzina poststrukturalistycznych studiów nad rolą ślepych karzełków w muzyce rap nie jest tak samo godna uznania, jak fizyka lub historia filozofii? Na jakiej podstawie mielibyśmy odmawiać statusu dyscypliny dziedzinie postkolonialnych studiów nad literaturą czarnych lesbijek w Afganistanie, a przyznawać go literaturze francuskiej?! Tak czy inaczej, wszystkie dyscypliny powinny być płynne. Dlatego też wydziały zwane niegdyś interdyscypli-



rys. STANISŁAW MIODOŻENIEC

narnymi stały się nagle „transdyscyplinarne”. Jakoś płynniej to brzmi i zdaje się zawierać sugestię, że nie tyle mieszamy dyscypliny, ile przechodzimy niepostrzeżenie z jednej do drugiej i z powrotem, zacierając granice każdej. Ale biała temu, kto ośmieli się zapytać, z czego do czego się tam przechodzi.

Transdyscyplinarność sama stała się dziedziną niewymagającą dalszego określania: na kalifornijskim uniwersytecie, na którym miałam ostatnio okazję to wszystko obserwować, rychło ma powstać katedra studiów transdyscyplinarnych. Nikt nie ma pojęcia, co ma wyklądać oso-

ba, która katedrę tę (wielce prestiżową i równie wysoko płatną) obejmie. Odbijają się na ten temat gorączkowe zebrania i debaty. Sugestia wysunięta przez pewnego obserwatora tych debat, by przepływać, na przykład, z filozofii do inżynierii chemicznej, żeby było ciekawiej, została przyjęta z wyraźnym chłodem. Nie chodzi bowiem o połączenie dwóch dziedzin, lecz o pozbycie się pojęcia dziedziny akademickiej i zastąpienie go całkiem beztreściowym pojęciem płynności, w imię którego wolno wszystko (oprócz tego, co należytej płynności nie posiada).

Zjawisko to nie ogranicza się do Ameryki. Obserwowałam ostatnio jego przejawy we francuskiej telewizji. Odbijał się tam finał ogólnokrajowego konkursu dla dzieci z ostatnich klas szkoły podstawowej, 12- i 13-letnich. W imię postępu i równości „dziedzin” każdemu wolno było wybrać swój temat i wybór ten nie był niczym ograniczony. Tak więc nie wygrali, rzecz jasna, ci, którzy pasjonowali się renesansem, historią Europy, archeologią, starożytną Grecją, mitologią, astronomią, biologią, Mozartem itp. Wygrała dziewczynka, która pasjonowała się... „Gwiezdnymi wojnami”. Także w imię równości dziedzin pytania w wybranych przez dzieci dziedzinach dotyczyły na ogół nieistotnych szczegółów: dziewczynka pasjonująca się „Gwiezdnymi wojnami”, gdzie każdy szczegół jest wart tyle samo co każdy inny, naturalnie z łatwością odpowiedziała na wszystkie zadane jej pytania, podczas gdy astronomowie i znawcy renesansu, którzy naprawdę coś umieli, zmagali się, oszołomieni, z serią bezsensownych i upokarzających pytań typu „gdzie się urodził Gutenberg” lub ile miał kół pojazd, który gdzieś tam wylądował. Było to przygnębiające widowisko. Nie z winy dzieci – dzieci wyszły z tej żałosnej farsy z honorem. Wina była po stronie organizatorów.

Wydaje się jasne, że celem tego haniebnego cyrku mogło być jedynie przygotowanie dzieci do wygrywania telewizyjnych *show*; wpajanie im przekonania, że jedyną wartością jest kultura masowa i że wszystko – każda wiedza, każda dziedzina, każdy wysiłek – jest wart tyle samo co wszystko inne. Nie sposób myśleć o tym bez ironii, bowiem we Francji z jednej strony szaleje antyamerykanizm, a z drugiej wchłania się i rozpowszechnia najbardziej szkodliwą ideologię MAO.

AGNIESZKA KOŁAKOWSKA

Tuwa śpiewa na całe gardło

Dlaczego warto przeczytać poniższy artykuł? Oto kilka powodów: *chöömej*, *kargyaa*, *sygyt*, *Huun-Huur-Tu*, *Shu-De*, *Yat-Kha*



Huun-Huur-Tu w pełnym składzie, pierwszy od prawej Kaigał-ul Chowalyk – lider

Dzisiaj mamy w planie trzy lekcje: geografii, historii i muzykę. Zanim jednak zaczniemy, mała gimnastyka.

Otwieramy usta, zaczynamy emitować samogłoskę „a”, „e”, „o” lub „ö”. Napinamy nieco mięśnie gardła, aby dźwięk był wymuszony. Brzuch raczej luźny. Jama ustna maksymalnie otwarta, usta proszę stopniowo zacieśniać. Gdy wargi ledwie pozostawiają już miejsce dla uchodzącego powietrza, zaczynamy poruszać nimi w różne strony, podobnie przełykiem. Język niech raczej spoczywa pomiędzy zębami. Wnętrze jamy ustnej staje się pudłem rezonansowym, w którym powstają dodatkowe dźwięki harmoniczne, czyli współbrzmienie z naszym „ö”. To znaczy – powinni powstać. Kilkumiesięczne ćwiczenia powinny nas doprowadzić do mistrzowskiego opanowania sztuki śpiewu *chöömej*.

Teraz potrzebna nam będzie mapa Azji Środkowej. Oto północna granica Mongolii. Bliżej zachodniego krańca, po stronie Federacji Rosyjskiej, pojawia się kraj kształtu niesymetrycznej kości. To Republika Tuwa, kraj stepów i gór. Wędrowni pasterze tego regionu niewiele mają do roboty podczas wypasania owiec, dlatego umilają sobie czas śpiewaniem. Szczególnie wrażenie robi pasterski śpiew Tuwinów na halach. Echo czyni zeń prawdziwy cud natury. Tuwini podobnie jak niektóre inne pasterskie ludy południowsyberyjskie wykształcili specy-

ficzną technikę śpiewania opartego na rezonansie harmonicznym wewnątrz jamy ustnej i czaszki. Altajczycy, Mongołowie, Baszkirzy, Chakasi – wszyscy praktykują coś w rodzaju *chöömej*, czyli śpiewu z gardła. Jednak Tuwini doprowadzili tę sztukę do mistrzostwa.

Przerwa

Znowu małe ćwiczenie. Rozpoczynamy jeszcze raz *chöömej*, usta są na pół przymknięte. Koniec języka niech dotknie podniebienia tuż za górnymi zębami (jakbyśmy wymawiali spółgłoskę „l”). Boki języka przesuwamy ku zębom trzonowym. Teraz wystarczy ledwie szparka między językiem a podniebieniem, a pojawi się – w każdym razie z czasem – niezwykle, piszczący ton przypominający nieco dźwięk wydawany podczas pocierania kieliszka do koniaku mokrym palcem. Jeżeli zdołamy uzyskać efekt, że obok zwykłego tonu pojawi się ów czarodziejski flet, znaczy to, że opanowaliśmy *sygyt*. W świecie muzyki zachodniej *sygyt* pojawił się pierwszy bodaj raz w piosence „Karmacoma” brytyjskiego zespołu Massive Attack.

Tuwińska inwazja

W Tuwie *chöömej* (nazwa nie tylko konkretnego rodzaju śpiewu, lecz także całego stylu)

uprząwia niemal każdy mężczyzna. Do niedawna kobietom nie wolno go było praktykować z co najmniej dwóch powodów: po pierwsze, wierzono, że może zaszkodzić ciąży, po drugie, twarz podczas śpiewu jest tak napięta, że bardzo traci na estetyce. Jednak dziś sztuka ta nieobca jest także kobietom. Najsympatyczniejszą artystką używającą podczas swych występów śpiewu z gardła jest Saincho Namczyłak zwana przez niektórych syberyjską Sinéad O'Connor.

Pierwszymi zachodnimi odkrywcami środkowoazjatyckiego śpiewu harmonicznego byli kompozytorzy awangardowi, między innymi Karlheinz Stockhausen i David Hykes. Jednak tuwińscy artyści zaśpiewali u nas własnym głosem dopiero gdzieś w początkach lat 90. W 1991 roku kilku muzyków z Tuwy przyjechało na festiwal muzyki ludowej do Kolonii. Niemal natychmiast zorganizowano syberyjskim artystom sesję nagraniową w rozgłośni Westdeutscher Rundfunk. Tak narodziła się wielka zachodnia moda na Tuwinów.

Dруга przerwa

Spóbowujemy teraz opanować *kargyaa*. Słowo to po tuwińsku oznacza „chropowaty głos”. Przypomnijmy sobie, co robimy po długim milczeniu, gdy chcemy przemówić, na przykład rano po przebudzeniu: odchrząkujemy. Otóż *kargyaa* to śpiew oparty na chrapliwym, niskim brzmieniu naszego głosu. Innym dobrym punktem odniesienia jest głos Toma Waitsa. Tony harmoniczne pojawiają się głównie w płucach. Najistotniejszym elementem tej techniki jest rozluźnione gardło. Pamiętajmy: jeżeli zachce się nam kasać, przerywamy ćwiczenie.

Kto jest kto

Odwołując się do polskiej grupy Huun-Huur-Tu to zdecydowanie gwiazdy śpiewu z gardła. Byli gośćmi Kronos Quartet na płycie „Night Prayers” z roku 1994. Ich lider Kaigał-ul Chowalyk jest uznanym międzynarodowym autorytetem w dziedzinie środkowoazjatyckiej sztuki śpiewawczej. Innym sławnym wykonawcą z Tuwy jest zespół Shu-De odkryty dla świata zachodniego przez wytwórnię Real World należącą do Petera Gabriela. Najmniej „etniczny” jest z kolei Yat-Kha, zespół słynny szczególnie z płyty „Yenisei Punk”, której tytuł mówi właściwie sam za siebie (co to Jenisej – widać na mapie). Ci oprócz tradycyjnych instrumentów syberyjskich – jak *geśle byzaanczi*, *chomus* (drumla), *lutnia toszpular* czy metalowy flet *limbi* – używają też gitar elektrycznych i perkusji.

A teraz jeszcze raz: otwieramy usta, zaczynamy emitować samogłoski „a”, „e”, „o” lub „ö”...

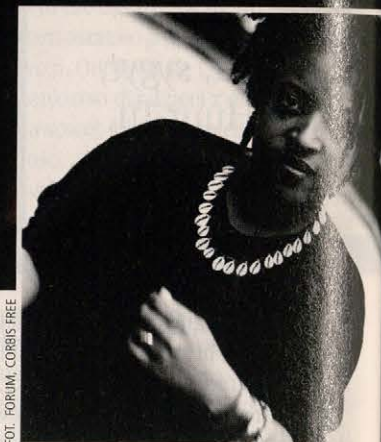
FILIP ŁOBODZIŃSKI

Zespół Huun-Huur-Tu wystąpi 28 kwietnia w Krakowie, 29 – w Warszawie, 30 – w Poznaniu.



CASSANDRA WILSON

ulubiona córka bluesa



FOT. FORUM, CORBIS FREE

Fascynowała się Milesem Davisem, folkie, bluesem i awangardą. Dziś ma własny, niepowtarzalny styl

CASSANDRA WILSON „BELLY OF THE SUN”



Nowy album Cassandry to jej najpoważniejsza wycieczka w rejon folkowo-bluesowe. Nagrania dokonano w biurze wynajętym na stacji kolejowej w słynnym bluesowym mieście Clarksdale, a w sesji wzięli udział lokalni muzycy. W efekcie powstał album oddający swoim nastrojem bagienno, duszny klimat Missisipi. Bo „Belly of the Sun” to właśnie przede wszystkim klimat. Nie ma tu miejsca na szalone improwizacje. Muzyka powoli wylewa się z głośników i niemal hipnotyzuje słuchacza. Wilson po raz kolejny udowodniła, że nie ma sobie równych nie tylko w budowaniu nastroju, lecz także w interpretacji cudzych utworów. Jej wersja Dylana „Shelter from the Storm” po prostu kładzie na łopatkę. (RZ)

Blue Note/EMI

Muzyczna kariera Cassandry Wilson pokazuje, jak niewiele dzieli dźwiękową awangardę od szacownej tradycji. W latach 80. Cassandra związała się z nowojorską sceną M-Base, najoryginalniejszą bodaj sceną jazzową tamtych czasów. W latach 90. zboczyła z drogi awangardy, by zaskoczyć wszystkich niezwyklejmi jazzowymi aranżacjami tradycyjnych pieśni folkowych i bluesowych. W jednym z wywiadów przyznała: „Najpierw trzeba się nauczyć muzyki, poznać jej historię, dopiero wtedy można się rozwijać, stawiać kolejne kroki. Poza tym jazz to tylko ulubiona córka bluesa”. Dzięki żmudnej pracy zyskała niepodważalną pozycję w świecie jazzu. Pozycję, która pozwala jej odrzucać wszelkie kompromisy. Taka postać z czasem spotyka się z niezrozumieniem zarówno muzyków jazzo-

wych, jak organizatorów koncertów i wydawców płyt. Ale Cassandra jest nieugięta i na wszelkie zarzuty odpowiada prosto: „Słucham tego, co mi się podoba, i gram tak, jak chcę”.

Swingująca producentka

Urodziła się 4 grudnia 1955 roku w Jackson, w stanie Missisipi. Jej ojciec grał bluesa na gitarze i kochał muzykę. W wieku pięciu lat miała Cassandra także się zakochała. Wybrankiem jej serca został Miles Davis. Wpadła po uszy, gdy tylko usłyszała pierwsze taktę z albumu „Sketches of Spain”. Tata z radością zaakceptował obiekt jej uczuć. Kiedy w roku 1989 Cassandra wystąpiła jako *support* przed koncertem Davisa na chicagowskim JVC Jazz Festiwal, ojciec specjalnie przyjechał z Jackson, by zrobić zdjęcie plakatu z nazwiska-

mi bohaterów wieczoru: „Cassandra Wilson. Miles Davis”. Ale to nie od jazzu zaczęła się jej kariera.

Mając 19 lat ruszyła w trasę z zespołem bluesowo-folkowym. „Myślałam wtedy, że Joni Mitchell jest jedyną osobą, która naprawdę liczy się w muzyce” – wspomina Cassandra. Potem przyszły studia na stanowym uniwersytecie w Jackson. Śpiewając w miejscowym chórze The Black Arts Music Society, powróciła do jazzu i na nowo odkryła potęgę tkwiących w nim emocji. Jednak światek jazzowy musiał jeszcze na Cassandrę poczekać, gdyż odkryła w sobie kolejny talent: w 1981 roku postanowiła zostać producentką telewizyjną. „Miałam całkiem dobre stopnie z komunikowania masowego” – opowiadała po latach. Telewizyjnej kariery ostatecznie nie zrobiła, ale w Nowym Orleanie, gdzie pracowała, spotkała cenionego

saksofonistę altowego Earla Turbintona. Stał się on jej mentorem i przewodnikiem po jazzowym świecie.

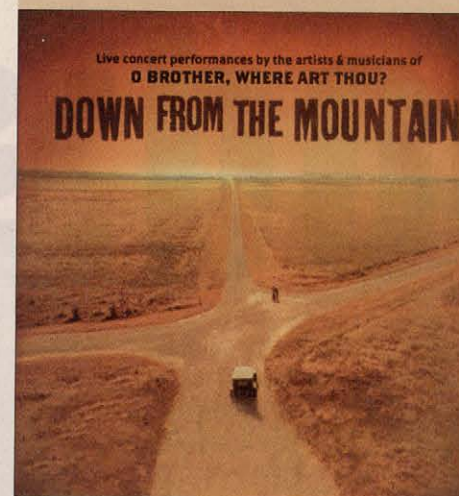
Na podbój Nowego Jorku

W roku 1982, po rocznym pobycie w Nowym Orleanie, Cassandra wyjechała do Nowego Jorku. Związała się z właśnie się rodzącym ruchem M-Base gromadzącym tak wybitnych saksofonistów jazzowych, jak Steve Coleman, Greg Osby czy Gary Thomas. M-Base to skrót od nazwy Macro Basic Array of Structured Extemporization, co przetłumaczyć można jako Makro podstawowy Wachlarz Strukturalnych Improwizacji. Celem sceny M-Base było otwarcie jazzu na inne rodzaje muzyki, by na bazie tradycyjnych sposobów ekspresji stworzyć nową jakość.

Cassandra zaczęła od gościnnego udziału w sesjach nagraniowych Colemana i jego formacji The Five Elements i M-Base Collective. Jej przydymiony, mocny głos szybko zyskał aprobatę krytyków i w roku 1985 przyszła pora na pierwszy solowy album – „Point of View”. Zawsze pierwszy, jak i następny album („Days Aweigh”, 1987) były mieszaniną psychodelii, swingu i fuku. Podbiły one wprawdzie serca krytyków i znawców, ale nie zysały przychylności co bardziej konserwatywnych słuchaczy. Tych Cassandra zdobyła dopiero wydany w roku 1988 albumem „Blue Skies”. Nagrany z muzykami, którym bliżej było do jazzowej tradycji, przez sławny tygodnik muzyczny „Billboard” został uznany za jazzowy album roku.

Odsuwając się coraz dalej od jazzowych eksperymentów, Cassandra stworzyła własny, rozpoznawalny styl oparty na folku, bluesie, popie i jazzie. Jej dwa najbardziej znane albumy „Blue Light Til’ Down” (1993) i „New Moon Daughter” (1995) zdobyły: pierwszy – nominację, drugi – nagrodę Grammy, a wśród amerykańskich – i polskich! – studentów zyskały status płyt kultowych. A legendarne jazzowe pismo „Down Beat” uznało Wilson za następczynię Elli Fitzgerald! Dziewczyna z Jackson odnalazła drogę, która być może zapewni jej muzyczną nieśmiertelność.

ROBERT ZIEBIŃSKI

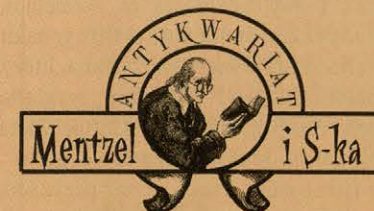


•••••

folkowej, nagrać album, przy słuchaniu którego cofalibyśmy się do przełomu lat 20. i 30. ubiegłego wieku. Tradycyjne pieśni ludowe przeplotą się tutaj z autorskimi Gillian Welch i Davida Rawlingsa, jednak całość brzmi, jakby była zarejestrowana podczas sesji radiowej w Południowej Karolinie w okolicach roku 1929. Płyta „Down from the Mountain” okazała się wielkim sukcesem. W tym roku otrzymała nagrodę Grammy za najlepszy album folkowy i za najlepszą produkcję – dla T. Bone Burnetta – udowadniając tym samym, że muzyka szczerą, płynącą prosto z serca potrafi podbić miliony słuchaczy. W Polsce amerykańska muzyka folk niesłusznie jest kojarzona z kowbojskim country i szeroko pojętą tandetą. I być może warto sięgnąć po te nagrania, by się przekonać, że folk to nie tylko pogwizdywanie facetów w kapeluszach.

„Down from...” to ostatni album, na którym zagrał wybitny skrzypek John Hartford. Zmarł niebawem po nagraniu płyty. Miał 63 lata. (RZ)

Lost Highway/Universal



„Kilka słów o mężkim owłosieniu u kobiet, oraz niektórych innych anomaliach owłosienia i rozwoju ogólnego” podał dr med. Fr. L. Neugebauer, odbitka z „Gazety Lekarskiej”, druk K. Kowalewskiego, Warszawa 1897, 70 s.

Ozdobione tuzinami oszalamiających ilustracji dziełko doktora Neugebauera przypomniało mi od razu, kiedy tylko wypatrzyłem je w antykwarjacie, mityczną Księgę Bruno Schulza i spisana tam historię Anny Csillag urodzonej w Karłowicach na Morawach. Pamiętacie? „Z głowy tej damy spływał ogromny kożuch włosów, staczał się ciężko z pleców i włókł się końcami grubych splotów po ziemi. Był to jakiś nieprawdopodobny wybrzyk natury, płaszcz fałdzysty i obfity...”. Anna Csillag z dopustu bożego dotknięta słabym porostem, dostąpiwszy łaski oświecenia, sporządziła lek cudowny, który jej głowie przywrócił uro-

dzajność. „Zaczęła porastać we włosy i nie dość na tym, jej mąż, bracia, kuzynowie także z dnia na dzień opóźniali się tegim, czarnym futrem zarostu”. Doktor Neugebauer, wytrawny trichonosolog, przedstawia z powagą liczne podobne przypadki, opisując rozproszone po świecie bractwo apostołów włochatości w sposób nie tak znów – o dziwo – daleki od literackiego kunsztu Schulza. Przeczytajcie chociażby historię miss Julii Pastrany, obdarzonej nadzwyczajnym owłosieniem „kobiety rozumnej, którą pojął za żonę chciwy impresario, gdy zaś zmarła podczas porodu, wydawszy na świat niemowlę równie włochate, żałobą okryty wdowiec nie rzekł się korzyści, albowiem kazał oba trupy zmumifikować (naród prosty mówi: wypchać) i z trupami dalej objeżdżał świat, a ciekawość publiczności, przysparzająca niemało pieniędzy przedsiębiorcy, nie zmniejszała się ani na jotę. Co się stało z mumiami? Czy dopięły spoczynku w zakurczonym kąciaku jakiegoś muzeum, czy też ciągle jeszcze obwożone są po jarmarkach, aby oczekiwać zmartwychwstania w kuferkach zardzewiałych”. I pomyśleć, że dzisiejsza publiczność godzinami patrzy i słucha, jak w łazience Wielkiego Brata najzwyczajniejsza pod słońcem dziewczyna zwierza się swej koleżance: „Kurde, chyba coś mi się na ryju zrobiło”.

ZBMENTZEL@WP.PL

Zawód: szpieg

Dzieje grzechu według CIA

Mam słabą pamięć, więc mogło mi coś umknąć, ale odnoszę wrażenie, że „Zawód: szpieg” to jeden z najciekawszych filmów z wątkiem szpiegowskim od czasów „Trzech dni Kondora” i „Maratończyka”. Nie jest może tak dobry, ale nie narzekajmy – w dobie zinfantyлизованego kina początku XXI wieku to oferta, której nie wolno przegapić.

Wietnam, rok 1975. Agent CIA Nathan Muir (Robert Redford) musi znaleźć snajpera, który mógłby zastrzelić wietnamskiego generała. Spotyka Toma Bishopa (Brad Pitt), młodego chłopaka, który zgłosił się do armii na ochotnika, wcześniej nauczony strzelać w drużynie skautów. Tom wykonuje zadanie, pokazując, że ma wszystko, co powinno cechować doskonałego szpiega: odwagę, inteligencję, lojalność, zdolność do poświęcenia i – co nie bez znaczenia w przypadku ludzi z licencją na zabijanie – ogromną pasję życia...

Chiny, rok 1991. W niezwykle brawurowy sposób Tom Bishop usiłuje odbić kogoś z więzienia. Zostaje złapany. Chińczycy postanawiają go rozstrzelać. Wyrok ma zostać wykonany w ciągu 24 godzin.

Waszyngton. Ostatni dzień pracy odchodzącego na emeryturę Nathana Muira okaże się z pewnością najdłuższym dniem w jego karierze. Muir ma niecałą dobę na uratowanie Bishopa, a naprzeciw siebie nie tylko potęgę komunistycznego imperium, lecz także szefów z CIA, którzy – nie chcąc wywoływać skandalu przed zbliżającymi się rokowaniami gospodarczymi z Chinami – postanawiają Bishopa poświęcić. Co przychodzi im tym łatwiej, że chińska operacja tego narwanego agenta okazuje się samowolką. Kogo jednak chciał uratować Bishop? I dlaczego Muir w ostatnim dniu pracy poświęcił wszystko, by go uratować?

Kiedy 10 lat temu widziałem Brada Pitta w filmie „Rzeka życia” Redforda, nie mo-

głem się oprzeć wrażeniu, że reżyser postanowił zatrudnić swojego nieślubnego syna – tak wielkie było podobieństwo Pitta do Redforda z czasów młodości. Podobne gesty, spojrzenie, uśmiech, wdzięki... Kiedy teraz grają obok siebie, fizyczne podobieństwo nie wydaje się już na pierwszy rzut oka tak silne: 37-letni Pitt ma ciągle wygląd chłopca, a twarz 65-letniego Redforda pokryta jest dziś zmarszczkami niczym oblicze starej, indyjskiej *squaw*. Ma jednak Redford coś, co zdumiewa i co go do Pitta upodabnia: burzę nieskażonych siwizną blond włosów, która – górując nad pokrytą bruzdami twarzą – nadaje jej niezwykle charakter. Zupełnie jakby wiosna nie przyjmowała do wiadomości, że kończy się październik. Ten typ tak jednak ma. Pamiętam, jak kiedyś skarżył się Daniel Olbrychski: „Chciałbym już siwieć. Mężczyzna, który ma prawie 60 lat i złote loki, wygląda na idiotę. A ja przecież się nie farbuję! Złote loki nie pasują do mojej dojrzałości i gustu”. Może i nie pasują, trzeba jednak przyznać, że ów pierwiastek wiecznej młodości sprawia, iż kiedy Redford i Olbrychski pojawiają się na ekranie, rozsadzają go witalnością. Idę o zakład, że z Pittem będzie tak samo.

Wspominam o relacji „ojciec i syn”, bo w filmie „Zawód: szpieg” bohaterowie grani przez Redforda i Pitta są nią, choć nie w wymiarze biologicznym, silnie związani. Muir jest ojcem Bishopa jako szpiega. Może nawet więcej – to niemal bóg, który wybiera, nie pozostawiając wybranemu możliwości dokonania własnego, innego, wyboru.

Muir stworzył Bishopa na swój obraz i podobieństwo. Otworzył przed nim – proszę to traktować metaforycznie – wrota szpiegowskiego ogrodu, oferując wszystko, co ów piekielny raj posiada, z wyjątkiem owoców z drzewa poznania dobra i zła. Bo ten przywi-



Aryszpieg Robert Redford i jego ulubiony uczeń Brad Pitt

lej (możliwość decydowania, co moralne, a co nie) Muir – jak każdy zapobiegliwy bóg – pozostawił sobie. Wiąż między stwórcą a stworzeniem rozwijała się w najlepsze (dla stwórcy, rzecz jasna!), dopóki w Bishopie nie obudziła się etyczna refleksja. Ośmielił się sam rozstrzygać, co prawe, a co nie, w konsekwencji czego – zupełnie jak w Księdze Rodzaju – otworzyły mu się oczy i poznał, że jest nagi. Poczł się oszukany, więc się zbuntował. A Muir – jak każdy zatroskany bóg – postanowił natychmiast ratować go przed nim samym. I wybrał – jak każdy bóg rozczarowany – sposób wyjątkowo okrutny.

Piszę to wszystko „na okrętę”, bo za żadne skarby nie chciałbym zdradzić intrygi tego świetnie skonstruowanego scenariusza, a jednocześnie pragnę zwrócić Państwa uwagę na to, co w moim mniemaniu w tej historii najważniejsze. Że żaden demiurg, bóg czy mistrz nie może mieć pewności, iż ulepił stworzenie, które będzie mu posłuszne. Że nawet klon, identyczny genetycznie, będzie dokonywał wyborów moralnie niezależnych od swojej pierwotnej matrycy. Że niezbywalnym prawem stworzenia

jest wsłuchiwanie się we własne sumienie i – gdy nie da się inaczej – prawo do grzechu nieposłuszeństwa. Aż wreszcie – że obowiązkiem stwórcy jest nieustanne analizowanie swoich czynów i mimo przekonania o własnej racjonalności ciągłe ich naprawianie. Muir to w porę zrozumiał. Bogowie wszelkiej maści powinni brać z niego przykład.

Film Tony'ego Scotta (twórcy między innymi „Top Gun” z Cruise'em, „Ostatniego skauta” z Willisem, „Fana” z De Niro i „Wroga publicznego” z Hackmanem i Smithem) to rozrywka najwyższej próby. Niesamowite tempo, umiejętnie dozowane napięcie, rozmach (akcja dzieje się na przestrzeni 15 lat w Ameryce, Chinach, Wietnamie, Berlinie i Libanie) i dynamiczne, sugestywne zdjęcia Dana Mindela – wszystko powoduje, że jeśli pójdą Państwo do kina, nie będzie to 125 minut wydartych życiu na darmo. W czasach, kiedy okrada nas się z czasu bez cienia wstydu, to propozycja warta rozważenia.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

„Zawód: szpieg”, reż. Tony Scott, USA 2001, Warner

MONSUNOWE WESELE

Niepozabawione krytycyzmu i ironii spojrzenie na współczesną hinduską rodzinę. Pretekstem do nakreślenia rodzinnego portretu są przygotowania do ślubu córki bogatego biznesmena z Delhi – Aditi. Na uroczystość zjeżdżają się krewni rozrzucony po całym świecie. Ich życie to przedziwny konglomerat nowoczesności w zachodnim stylu i tradycji. Przy czym cała bogata tradycja jest dla nich tylko ornamentem; pozbawioną życia formą. Prawdziwy konserwatyzm objawia się zaś choćby w przestrzeganiu odwiecznych kastowych podziałów. Dlatego między innymi męża dla Aditi wybrała rodzina. Nie ma więc niebezpieczeństwa, że do „klanu” wdrze się ktoś niegodny. Sama rodzina jednak wcale nie jest taka czysta... Aditi romansuje z prezenterem telewizyjnym, a jeden z kuzynów ma słabość do młodych dziewczyn. I tu film Nair zamienia się w dramat niemal w stylu „Festen” Vinterberga. Uroczystość weselna pozwala zespolic i odnowić więzi, które mają jednak szczególną wartość. I tak rytuał, który miał być tylko piękną formą, ukazuje swoją magiczną moc – niby monsunowy deszcz oczyszcza i odradza, znosi podziały. Bo radosne, wyzwalające witalną energię zaślubiny okazują się świętem jednoczącym wszystkich, światem w pełnym – sakralnym – tego słowa znaczeniu. (MASA)

Reż. Mira Nair, Indie 2001, Gutek



K-PAX

„K-PAX” Iana Softleya nie jest zwyczajnym filmem s.f. Jego akcja rozgrywa się na Ziemi, we współczesnych realiach, a ornamentyka charakterystyczna dla s.f. zdaje się jednym z elementów dekoracji. Oto Kevin Spacey trafia do szpitala psychiatrycznego pod opiekę doktora Jeffa Bridgesa. Twierdzi, że pochodzi z innej planety – to jakby w tym miejscu normalne. Nienormalne jest to, że jego wiedza o Wszechświecie – podstawowa, jak twierdzi – obejmuje najnowsze osiągnięcia astrofizyki. I jeszcze to, że jest niezwykle przekonujący – do tego stopnia, że lekarz gotów jest mu uwierzyć... Po co kręci się takie filmy? Dla aktorskiego popisu: Spacey mógłby zastąpić Nicholsona w „Locie nad kukulczym gniazdem”. Z chęci dołożenia wszystkich dowodów psychoanalizy. A może z poczucia samotności w kosmosie – i nadziei, że E.T. nie dorósł, lecz pozostał wrażliwym dzieckiem życzliwym wszystkim dobrym ludziom. (KJZ)

Reż. Ian Softley, USA 2001, Vision



PLOTKA

Odkrywamy na nowo film francuski jako inteligentną i dowcipną komedię na aktualne tematy. Daniel Auteuil wspaniale gra biurowego szaraka, który w ryzykownych sytuacjach odzyskuje pewność siebie, wyzwala się z kompleksu wobec ekszony i zamienia w bohatera w oczach syna nastolatka: mieć ojca-geja to dopiero coś, można go nawet poczęstować skretem! Zaś dla firmy produkującej prezerwatywy narażenie się rynkowi „kochających inaczej” byłoby ekonomicznym samobójstwem. Z nieszkodliwego absurdu zabawnych *qui pro quo* wyłania się ostra i chłodna ironia. Mózgiem intrygi jest pewien emerytowany psycholog, którego niegdyś wyrzucono z pracy właśnie za homoseksualizm. Czas się zmieniają, ale mechanizmy życia w firmie są dokładnie takie same. A plotka – wiadomo – pozostaje najbardziej skutecznym narzędziem grzebania się w tajemnicach prywatnego życia i ustalania firmowej hierarchii. Ten morał nie jest, na szczęście, wyrażony wprost. To jednak film francuski. (AK)



Reż. Francis Veber, Francja 2000, Tantra-Canal Plus

ANDRZEJ STASIUK

Tak jest ze zdarzeniami

ZDJĘCIA ANDRZEJ KRAMARZ / STO PROCENT

No więc przestrzeń to tylko wieczna terażniejszość. Mrozy znad Ukrainy i Rosji suną nad Rumunię. Bukareszteńska znajoma mówi do słuchawki: – *Very, very cold*. Próbuję sobie wyobrazić nagą i lodowatą Deltę i siny lód zarastający kanały, ale przychodzi mi to z trudem, ponieważ wcześniej muszę pokonać w myślach całą przestrzeń, która mnie dzieli od Sfantu Gheorghe i Suliny: Saris, Zemplen, Szabolcs-Szatmar, Maramures, Transylwania, Baraganul, Dobrudża... Muszę sobie wyobrazić, jak mróz wchodzi w te wszystkie miejsca, które pamiętam z wiosny i lata. Muszę otrząsnąć się z tamtych upałów jak pies z wody, bo nie potrafię uwierzyć, że między Samovą a Niculitel jest teraz zimno, że świny nie tarzają się w pyle ubitych na beton glinianych podwórek za trzcinowymi płotami i śnieg leży na strzechach lepierek stojących wzdłuż krętej szosy, z której widać już Ukrainę i białe statki płynące dunajską odnogą Chilia. Z trudem wyobrażam sobie, że z podłogi autobusu nie podnosi się gorący kurz, a topolowy zagajnik obok promowej przeprawy do Gałacza stoi nagi, bezlistny i pusty, bez tych facetów pijących wódkę – piętnaście tysięcy lei za flaszkę – kupioną w rozgrzanym jak piec blaszanym sklepiku. To prawie niemożliwe, że teraz w Bratianu jest zupełnie inaczej, że pijaczkowie najprawdopodobniej gdzieś przepadli, że zniknęły też psy przy przeprawie, stada nastroszonych szczeciniastych kundli wyglądających jak młodszy bracia tych lumpów – jedni i drudzy tak samo smutni i wysuszeni słońcem.

Tak, nie mam wyobraźni i dlatego powinienem się pakować, upychać po kieszeniach drobiazgi, paszport, jakieś pieniądze, powinienem wybierać się w drogę, żeby sprawdzić, jak jest naprawdę. Zawsze gdy zmienia się pora roku albo pogoda, powinienem związać niepotrzebne rzeczy i wyruszać we wszystkie te miejsca, gdzie już byłem, żeby przekonać się, czy jeszcze istnieją.

Co dzieje się z tym promem do Gałacza ruszającym z niskiego brzegu, gdzie na wyrudziały od upału łąkach snuły się chude i lśniące konie? Na pokładzie wśród paru wymytych aut płynęła szara

dacia *pick-up* z wielkim, cuchnącym jak wszyscy diabli wieprzem na pace. Musieli zrobić kawał drogi, bo bydlę było ufajdane po sam grzbiet. Wciągałem z rozkoszą ten smród i ocierałem się udem o tylny błotnik czarnego merca, w którym siedział wygolony facet w lustrzankach i blondyna ze złotem w uszach, i patrzyłem na drugi brzeg Dunaju, na wielkie, rdzewiejące dźwigi portu. To była moja Rumunia – to chwilowe braterstwo mercedesa, złota, świńskiego smrodu i tragicznego industrialu, którego opuszczenie dorównywało jedynie jego ogromowi. Po pięciu minutach drogi wieprza, limuzyny i moje rozeszły się na zawsze.

To właśnie nie daje mi spać, to pragnienie, by w końcu się dowiedzieć, jaki jest los tych wszystkich obrazów, które przesłaty przez moje źrenice i zostały w umyśle, co dzieje się z nimi, gdy mnie już tam nie ma, czy zabrałem je na zawsze, unieruchomiłem we własnej głowie, i będą już ze mną do końca, odporne na zmiany pór roku i pogody.

Co stanie się z tymi dwoma facetami ubranymi w ciemne spodnie, białe koszule, krawaty i buty lśniące tak, jakby czyścili je przed minutą. Wydostali mnie ze środka Tecuci, z tego płaskiego i zakurzonego miasta, i wywieźli parę kilometrów na wylotówkę, a na koniec wypisali flamastrem na płachcie papieru „Bacău”, żeby miał czym wymachiwać przed nosem kierowców. W mołdawskim dusznym zmierzchu wyglądali jak aniołowie. Nie prosiłem ich o pomoc. Po prostu zjawili się, bo byłem zmęczony i zagubiony. I nie byli to aniołowie prawosławni. Potem przeczytałem, co było napisane po drugiej stronie prowizorycznego transparentu, który mi wręczyli. Między innymi znalazłem tam zdanie: „*Creeaza o buna imagine publica Bisericii Adventiste*”. Aniołowie byli adwentystyczni i dobrze mnie rozumieli, ponieważ w Tecuci byli zagubieni tak samo jak ja.

Teraz wszystko wydaje się takie proste. Zdarzenia dotyczą się, przechodzą wskroś siebie uwolnione od logiki następstwa, przykrywają przestrzeń i czas równą, półprzeprzystą warstwą. Pamięć



odtworza je w tył, w przód albo równolegle i nic im od tego nie ubywa. To jest jedyny sposób na to, by sens nie podciął nam nóg i nie wytrącił z ręki tego, co chcemy schwytać. Gdzie skończyła się Mołdawia, gdzie zaczął Siedmiogród? Zapewne gdzieś na drodze numer 12C, gdzie koło miejscowości Tasca zaczęła się ta wolna przemiana. Zabrało mnie stuletnie audi. W środku wszystko zwiślało, odłaziło, odpadało, kable z deski rozdzielczej, tapicerka z sufitu, od podłogi ciągnął wiatr i kurz. Kolesz za kierownicą siedział w krótkich gaciach i podkoszulce. Na szyi miał złoty łańcuch, na nogach żółte klapki. Był opalony na ciemny brąz i tylko spod ciężkiej bransoletki zegarka przeświecało coś bielszego. Na wolnych obrotach silnik zaczynał przerywać, więc ani na chwilę nie zdejmował nogi z gazu i wcale nie zwalniał tam, gdzie powinien. Mieliliśmy przejechać przez najgłębszy wąwóz w Europie. Próbowaliśmy rozmawiać. Był z Satu Mare i nie lubił Węgrów. Żeby pokazać, jak bardzo ich nie znosi, wyprzedzał tym swoim zabytkiem wymyte passaty i cordoby na węgierskich numerach. Droga nie nadawała się do tego kompletnie, ponieważ składała się głównie z zakrętów. Wyprzedzał pod górę, z głową wystawioną za okno, żeby sięgnąć wzrokiem o metr czy dwa dalej. Bałem się, ale miałem ze sobą piersiówkę rumuńskiej brandy. Za Bicaz-Chei zrobiło się prawie ciemno. Ściany wąwozu miały po osiemset metrów i jechaliśmy jak w gigantycznej jaskini. Chciałem podziwiać ten cud natury, ale jednocześnie za nic nie chciałem przegapić momentu, w którym się rozbijemy. Facet mamrotał przekleństwa i tłukł w kierownicę, gdy brakowało mu mocy, na kilkudziesięciu metrach prostej musiał oglądać srebrny tyłek seata z budapeszteńską rejestracją. Na przełęczy stały stragany z rękodzielnym towarem dla turystów. Zaczęliśmy zjeżdżać. Za którymś zakrętem na asfalcie stało stado koni. Niektóre miały dzwonki. Odbiliśmy w lewo, wprost pod nadjeżdżający autobus. I jemu, i nam udało się zatrzymać w poprzek szosy. To było, zdaje się, całkiem normalne, bo facet przeżegnał się tylko trzy razy i dalej ruszyliśmy w tym samym tempie. Teraz powtarzał ten gest przed każdym wyprzedzaniem. Wysiadłem na głównej ulicy w Gheorheni. Do auta podeszło dwóch podobnych do niego, tylko mniej opalonych. Widziałem, jak podaje im grube paczki banknotów po dziesięć tysięcy lei, które przez całą drogę turlały się po tylnym siedzeniu.

I to wszystko. Dalszy ciąg mógłby się dziać wieczorem, gdzieś, powiedzmy, na Słowacji. Powiedzmy w przydrożnej knajpie między Šarišem a Zemplinem, gdzie dwaj kierowcy ciężarówek jedli swoje placki ziemniaczane z duszoną wątróbką i cebulą. Popijali herbatę i patrzyli na kapiący kran ze Złotym Bązantem. Z małej sali obok baru wychodziła co jakiś czas ciemnowłosa dziewczyna. Zamawiała cztery borowiczki i zniknęła z kieliszkami za drewnianym przepierzeniem, zza którego wypływał papierosowy dym i męskie śmiechy. Za każdym razem, gdy zjawiała się po nową kolejkę, długo szeptała z barmanką, jakby chciała opóźnić chwilę powrotu. Dopiero podniesione głosy zza lichej ściany sprawiały, że przerywała nerwową, szybką rozmowę. Nie potrafiłem zgadnąć, czy któryś z kieliszków na tacy należał do niej, czy też gościła tych rozgęganych i niewidzialnych mężczyzn w jakimś sobie tylko znanym celu. Może po to, by nakłonić ich do zbrodni, a może do spełnienia dobrego uczynku. W każdym razie płaciła za wszystkie kolejki, wyciągając z ciasnej kieszeni dzinsów zwitki czerwonych setek. To wszystko działo się jednak gdzie indziej i w innym czasie niż ten, który próbuję sobie teraz wyobrazić. To było prawdopodobnie między Nemcovą a Predajną, na trasie do Banskej, i była wtedy zima.

Tak, ze zdarzeniami, gdy już przemina, nie ma żadnego kłopotu pod warunkiem, że nie próbujemy być mądrzejsi od nich, pod warunkiem, że nie próbujemy za ich pomocą załatwiać jakichś własnych, podejranych spraw. Jeśli damy im spokój, zamieniają się



w cudowny roztwór, w czarodziejską tinkturę, która rozpuszcza i czas, i miejsce, trawi kalendarze i atlasy, przemienia w słodką nicłość współrzędne uczynków. Jaki sens ma zgadywanka? Na co komu chronologia – siostra śmierci?

W Kiszvārda o północy dudniły basowe głośnie i chłopcy startowali z piskiem opon, by zatrzymać się dziesięć metrów dalej. Wśród gorącej pogranicznej nocy ich nagie czaszki błyszczały jak mleczone żarówki. Szukaliśmy noclegu, ale to miasto cierpiało na bezsenność. Bliskość granicy spędzała sen z powiek. Na przedmieściu ciągnęły się szpalery festyniarskich willi.

Zbudowano je w tydzień albo w miesiąc. Upiorna pistacja ścigała się ze wściekłym różem i jadowitą żółcią. Centrum było stare, skryte wśród drzew, pełne cieństych otchłani, w których przepadały parterowe uliczki. Jednak ten owadzio ruchliwy i zarazem rozleniwiony tłum przy *Krucsay Marton utca* przywoził na myśl najazd, zabawę zdobywców, jakąś poronioną konkwistę. Młodzi przypominali stado zwierząt, które znalazło się w mieście i nie potrafiło zrobić z niego użytku. Przemieszczali się to tu, to tam, spotykali, obwąchiwali, oddalali i znów zbliżali do siebie połączeni niewidzialnymi nićmi interesów, lęku i pożądania. Krążyli w świetle

jak ćmy. To była neuroza pogranicza, szybkiego zwycięstwa i nagłej klęski. Dwadzieścia kilometrów dalej leżało Zahony, jedyna droga z Węgier na Ukrainę, więc tutaj wszystko nabrzmiewało, puchło, pęczniało i nabierało sił. W hotelu Bastya wielka tleniona baba z dawnych czasów nie chciała ani dolarów, ani marek, chciała tylko forinty, których nie mieliśmy.

Hotel na przedmieściu miał w nazwie Paryż, a może „paradis”. Wyglądał jak dekoracja do powiatowego *remake’u* „Kaloguli”. Gipsowe fontanny, posagi, plusze i draperie. Na parkingu połyskiwały czarne, wypasione zady beemic i merców. Typ, w którego oczach pustka była

pomieszana z czujnością, powiedział, że nie ma dla nas miejsc. Wyjął jednak z kieszeni forinty i sprzedał po umiarkowanie uczciwym kursie. Zapytaliśmy go, kto się tutaj bawi. Czy tylko Węgrzy, czy również Ukraińcy? Popatrzył na nas jak na dzieci. „*Ukrainians? They not European people*”. Pojechaliśmy w stronę Vasarosnameny, by nagle znaleźć się w ciemności i ciszy. Mijając Ilk i Anarcs słyszeliśmy oddechy śpiących za drewnianymi żaluzjami w oknach niskich domów i czuć było nocną wilgoć podnoszącą się z ogrodów. W miasteczku długo stukaliśmy do drzwi hotelu, zanim otworzył nam zaspany portier w kapciach. W holu na ścianach wisały trofea: skóra zebry, wypchane łby antylop i egzotyczne poroża. W półmroku bocznego korytarza mignęło coś cętkowanego, może lampart. Prócz kobiety, która właśnie zapalała światła w kuchni, i tego portiera, nie było w całym hotelu żywej duszy.

Czasami wstaję nad ranem, żeby popatrzeć, jak rzędzie ciemność i powoli ukazują się rzeczy, drzewa i reszta pejzażu. W dole słysząc rzekę i koguty we wsi. Światło świtu jest zimne i niebieskie. Wypełnia powoli świat i tak samo dzieje się we wszystkich miejscach, w których byłem. Ciemność blednie w gminie Sękowa, w mieście Sulina na skraju dunajskiej Delt i wszędzie, gdziekolwiek czas składa się z dnia i nocy. Piję kawę i wyobrażam sobie brzask gdzie indziej.

Na przykład dwadzieścia pięć lat temu w żółto-niebieskim pociągu do Żyrardowa. Ruszał ze Wschodniego, przejeżdżał Śródmieście, za oknami rozwijały się złote i srebrne wstążki światła. W przedziałach robiło się coraz ciasniej. Mężczyźni mieli na sobie znoszone marynarki. Większość z nich wysiadała w Ursusie i szła w stronę lodowatego blasku fabryki: dziesiątki, setki ciemnych postaci, ledwo widocznych w mroku, i dopiero za bramą ogarniała ich rtęciowa światłość, jakby wchodzili do gigantycznego kościoła. Następni wsiadali gdzieś w Milanówku, w Grodzisku, ale wśród nich zjawiało się coraz więcej kobiet. Czarny tytoń, plastikowy, kwaśny zapach aktówek z kanapkami mieszały się z wonią tanich perfum i mydła. Noc odrywała się od ziemi i w rosnącej szczelinie dnia widać było chałupinki dróżników na baczność prezentujących pomarańczowe chorągiewki. Widać było krowy stojące po brzuchy we mgle i ostatnie, zapomniane światła w domach.

Tak, można przemierzać własny kraj jak obcy ląd. Teraz, po tych wszystkich latach, widzę to bardzo wyraźnie. *Terra incognita* między Radomiem a Sandomierzem. Niebo, drzewa, ziemia – wszystko mogło znajdować się gdziekolwiek indziej. Poruszałem się w przestrzeni, która nie miała żadnej historii, żadnych dziejów, żadnych wartych wspomnienia dokonań. Byłem pierwszym człowiekiem u stóp Gór Pieprzowych i wszystko zaczynało się od mojej obecności. Czas zaczynał płynąć, a rzeczy i krajobrazy zaczynały się starzeć dopiero w chwili, gdy dotykałem ich wzrokiem. Za Tarnobrzegiem w otchłani siarkowej odkrywki stały gigantyczne koparki. Guzik mnie obchodziło, skąd się wzięły. Mogły spaść z nieba, by wgryźć się w ziemię, przebić ją, przekopać na drugą stronę, na antypody, z których przez olbrzymi szyb spłynie bezmiar wód i zatopi wszystko, a z tamtej strony zostanie pustynia. Smród piekieł unosił się nad okolicą, nad monstrualną jamą, której martwota kazała myśleć o mogile, wysypisku ciał. Nic się tam nie poruszało. Dwadzieścia pięć lat temu mogła być niedziela.

No więc cały ten strumień zdarzeń to nie jest żaden kraj ani nawet żadne miejsce. Bardzo możliwe, że człowiek odczuwa swoje istnienie dopiero wtedy, gdy czuje na skórze dotyk bezimiennej przestrzeni, która łączy nas z najdalszym czasem, ze wszystkimi umarłymi, z prehistorią. Wystawia się dłoń przez uchylone okno i między palcami prześlizguje się najstarsze, przepływa wieczna teraźniejszość.

ANDRZEJ STASIUK



Zdjęcie z Pojemille de Sub Munte, okręg Maramuresz, Rumunia

Miłość ma dwie córki:
dobroć i cierpliwość.
niemieckie

Rasizm nie polega na przesądzie,
lecz na dwóch.
Hugo Steinhaus

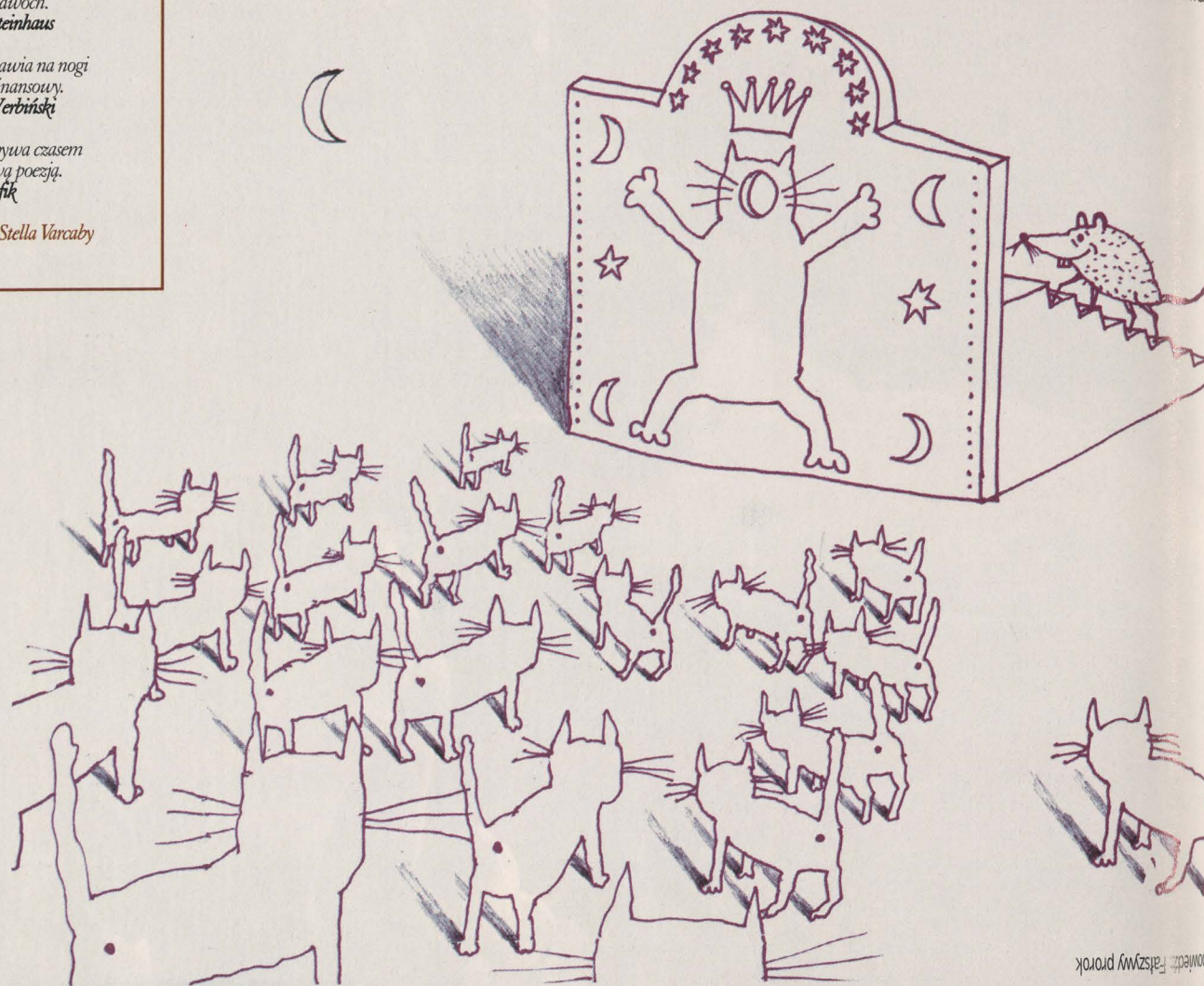
Najszybciej stawia na nogi
zastrzyk finansowy.
Jakub Werbiński

Szczekanie bywa czasem
prawdziwą poezją.
Fajtk

Mysli zebrała Stella Varcaby

Obraz wyrażen

Podaj hasło, które zilustr
Mariusz Wilczy



chwale, ale...

W imieniu RP

Czy ogląda Pani w telewizji transmisję z obrad Sejmu?

– Oczywiście.

Po co?

– Mam taki problem: w zasadzie oglądam wyłącznie niektóre programy informacyjne i filmy dokumentalne. Co w sposób tragiczny odbija się na moim stanie wiedzy: połowy krzyżówek nie mogę rozwiązać, bo nie wiem, o co Dionizy wyklóca się z Janowską. A przecież z Aliną przyjaźnię się od 53 lat i wiem, że nie jest swarliwa.

Żeby więc umożliwić sobie dalsze uprawianie mojego hobby, muszę coś w telewizji oglądać.

Czy w krzyżówkach pytają, jak ma na imię marszałek sejmu?

– Pytają. I dzięki krzyżówkom mogę na takie pytania odpowiadać. Marszałek sejmu ma na imię tak jak rzymski cesarz, który na drugie miał Aureliusz, a jego konny pomnik stoi na Kapitolu.

Marszałek senatu nosi imię najbardziej wyśnionego bohatera Trylogii Sienkiewicza. Imię na jej najmniej wyśnionego bohatera pamiętam nawet bez krzyżówek, bo pierwsze dali mu po moim wnuku, a drugie po moim mężu. Ale nawet gdybym kiedyś zapomniała, jak się nazywali, to ten niewyśniony pierwszy imię miał jak słynny z operacji plastycznych amerykański piosenkarz, a drugi jak święty, który walczył ze smokiem.

A na grubszy, z bielmem na oku?

– Pan Zagłoba miał na imię Imć.

Ale miało być o polityce. Prezydent?

– Obecny, trzeci, prezydent III Rzeczypospolitej, ma imię jak rosyjski poeta, przyjaciel Mickiewicza, któremu dla odmiany dano imię synka naszej rodzinnej przyjaciółki Ewy, która – i tu jest utrudnienie – w krzyżówkach występuje jako żona, a nie matka Adama.



Poprzedni prezydent?

– W krzyżówce byłoby: „nie Czech i nie Rus”.

A jeszcze wcześniejszy?

– Pierwszy prezydent III RP ma imię jak święty, którego żywot streszczają drzwi w południowym portalu katedry gnieźnieńskiej, albo jak słynny

malarz scen batalistycznych i koni (1857–1942), syn Juliusza (1824–1899), autora ilustracji do poematu, w którego tytule figuruje imię pierwszego premiera III Rzeczypospolitej.

No to jeszcze obecny premier?

– Jak poprzedni prezydent zdrobniale.

Jak widzisz, krzyżówki pomagają w rozumieniu polityki i odwrotnie. Muszę oglądać te obrady, bo jak za kilka lat trafię na pytanie o imię księdza, tytułowego bohatera dramatu Słowackiego (a ten miał imię jak przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji), to skojarzę księdza dzięki marszałkowi sejmu.

Tylko że już wtedy może być zupełnie inny marszałek. Ale, Pani...

– Żeńska forma imienia polskiego króla uwiecznionego pod Pskowem przez autora „Bitwy pod Grunwaldem”.

...Pani Stefania, ja chciałam się tylko dowiedzieć, czy interesują Panią oratorskie popisy posłów, ich wystąpienia, interpelacje, zapytania i repliki, argumenty i kontrargumenty?

– Nie pasjonowałaby mnie krzyżówka z gotowymi odpowiedziami. Przecież z góry wiem, co kto powie.

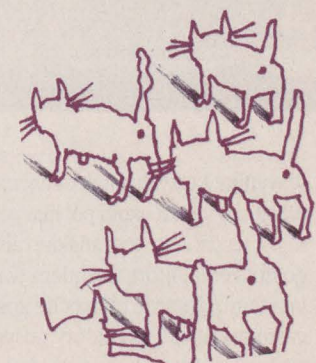
Stefania Grodzieńska

Rozmawiała BEATA KĘCZKOWSKA („GW”)

HECA

– Miał zapal, ale się zasapał.
– Tu by lec, a tu tubylec już leży.
– Kto nie chce, nie musi i nikt go nie zmusi.
– Od świętej Agatki wzrastają podatki.
– Ja go cyk, a on w krzyk, to ja myk!
– Kto nie zwija, ten nawija.
– Goszczę, czym chata bogata: jest kawa, jest herbata.
– Jak leci? – Jak mała woda pod dużą górę.

HECA



SENNICZEK ŚCIŚLE JAWNY

Gabinet otwierać
– jeszcze w tym tygodniu ktoś zawoła do ciebie „następny, proszę”.

Gagarina spotkać
– podczas imprezy towarzyskiej na orbitę wejdiesz pierwszy i tylko dzięki temu twoja obecność zostanie zapamiętana.

Gejszą być
– spotkasz mężczyznę, z którym przegadasz całą noc.

Gruszki na wierzbie widzieć
– by umocnić swoją ufność w wyborcze obietnice pre-

mera, udasz się do arboretum w Kórniku obejrzeć tamtejszą gruszę wierzbo-listną (*Pyrus salicifolius*, drzewo ozdobne o malutkich i niejadalnych owocach).

Grzeszyć
– może nie całkiem tak jak we śnie, ale na pewno się sprawdzi.

Gwarą gaworzyć
– myśląc perspektywnie o karierze politycznej, pójdziesz agitować przyszłych wyborców w wiejskim żłobku.

Baraneusz Dobrodziejcz

PIATKA KLEPKA

Nowa moda w reklamie. Tablice miejskie (tak zwane *billboardy*) coraz częściej zachęcają zgrabnymi hasłami do odwiedzania obcych krajów. Najprawdopodobniej niedługo pojawią się następujące:

Watykan – Poznaj Królestwo Niebieskie w wersji kieszonkowej.

Andora – Kraj, jakiego mało.

Belgia – Kinderbal pachnący piwnicą.

Holandia – Zostań obywatelem! Eutanazja gratis.

Kolumbia – Kupuj nasze produkty. Wygraj podróż do nieba.

Chiny – Pokochasz na nowo swoją cywilizację.

Izrael – Ziemia święta. Idealne miejsce na piekło.

Finlandia – To wódka.

Szwajcaria – Banki przyjmują także złote... zęby.

RPA – Teraz czarno na białym.

Rosja – Przepraszamy, państwo nieczynne.

Włochy – Interes rodzinny.

Ulster – Zobacz wyjątkowe eksplozje religijności!

Indie – Najwięcej przypadków całkowitego odchudzenia.

Argentyna – Pieniądze leżą na ulicy.

Kuba – Kawał z brodą.

Niemcy – Przekrocz granice dobrego smaku.

Japonia – Koniec problemów z osobowością.

Dla obcokrajowców przyjeżdżających do naszego kraju obstawiamy:

Polska – To nie nasza wina.

TOMASZ PIĄTEK

teraz szczęście

O windzie

Wsiadłam do windy. Wieżowiec, a firma gdzieś tam, na piętrach. Kilku panów zaaferowanych i zainteresowanych wyłącznie szybkim dotarciem w pobliże biurek, na narady i spotkania, do pracy. Coś pod nosem powtarzają. A tu dzieci! Jak się dostały do windy w biurowcu? Nie wiadomo. Ale wiadomo po co. Bardzo szybko, zanim ktokolwiek się zorientował, naciśnięty co drugi guzik. A tych co drugich nie było wcale mało.

W ten sposób nagle ekspresowa winda stała się fantastycznym statkiem marzeń. Co chwilę otwierała się bezszelestnie, ukazując egzotyczne porty, o których nikt dotąd nie wiedział. Odstłaniały się widoki sztucznych południowych zarośli albo zdziwione twarze hostess, które windy przecież nie przywoływały. Na jednym z pięter zobaczyliśmy nawet wątry wodospad ze sztucznym aligatorkiem. Na innym świecąca, wypukłą mapę obu półkul Ziemi.

Okazało się, że mnóstwo projektantów namęczyło się, by stworzyć widoki, jakich przeważnie nikt z ludzi spieszących się do pracy w ogóle nie dostrzegał. Żaden z dorosłych w windzie nigdy ich jeszcze nie widział. Ani nie zamierzał ich nigdy zobaczyć. Za to jedynym zmartwie-

niem dzieci było, że winda nie mogła ruszyć po korytarzach tych biur. Przypuszczalnie tam, w głębi, nie ma żadnych świecących map ani fontann. Ale to nie ma znaczenia, skoro najważniejsze jest samo podróżowanie, samo przeżycie.

Panowie spieszący do pracy byli coraz bardziej podenerwowani. Nawet ja, wcale na godzinę nieumówiona, spojrzałam odruchowo na zegarek. Tu życie, czyli praca, ucieka, a dzieci jeżdżą sobie dla przyjemności i są szczęśliwe. Wcale nie wiedzieliśmy, że pewna, niemała, grupa – czyli dzieci – śledzi spod oka rosnące jak grzyby po deszczu wieżowce, przeczuwając w nich wielkie możliwości zabawy i ciekawych przeżyć. Komu by przyszło do głowy traktować wieżowce jak nieznane krainy do podróżowania?

A mogło się wydawać, że zaginęła już starożytna myśl: *Navigare necesse est, vivere non est necesse* – żeglowanie jest koniecznością, życie – nie.

Małgorzata Baranowska

Extra virgin

Zastosowań oliwy są tysiące.
W tym felietonie opisujemy około 32 z nich

„Gdzie oliwka nie chce rosnąć, tam kończy się świat śródziemnomorski”. To stwierdzenie Georges’a Duhamela ironicznie odzwierciedla rysunek Andrzeja Mleczki, na którym zziębnięty i zmizerowany obywatel północnego kraju powtarza: „Należę do obszaru kultury śródziemnomorskiej”. Lecz choć oliwki u nas nie wyrosną, możemy cieszyć się dobrodziejstwami oliwy. Ideałem – czyli celem, do którego należy dążyć, nigdy jednak go nie osiągając – byłoby całkowite wyparcie masła przez oliwę. Bo choć w menu niejednej znakomitej restauracji europejskiej znaleźć można adnotację, że w żadnym z podawanych tam dań nie występuje masło, tylko oliwa bądź olej, to jednak do pewnych potraw i sosów masło jest konieczne, i to w dużych ilościach.

Pamiętamy gałązkę oliwną, z którą gołębica wraca na arkę Noego. Lecz symbol pokoju stał się również symbolem dobrobytu. Już król Dawid uważał swoje gaje oliwne za skarb. W cesarstwie rzymskim zwalniano ze służby wojskowej mężczyzn, którzy zasadzili na swoich włościach odpowiednią liczbę drzew oliwnych. Eksport oliwy przez długi czas stanowił ważne źródło dochodów nieuprzemysłowionych krajów basenu Morza Śródziemnego. Producenci i eksporterzy mają się coraz lepiej dzięki modzie na dobrą oliwę, jaka zapanowała 20 lat temu na północy.

Nie tak dawno wziąłem udział w degustacji włoskich oliw i usłyszałem od nowojorskiego snoba, że jedyna oliwa, jakiej w ogóle warto używać, wytłaczana jest na niewielkiej plantacji w okolicach Rzymu i kosztuje sto dolarów za litr. Oczywiście to bzdura: wspaniałych oliw jest prawie tyle samo, co świetnych win, i choć

niektóre z nich są bardzo drogie, to nietrudno znaleźć oliwę dobrą, ceną nieprzewyższającą przeciętne wino. Lecz, stosując takie porównanie, pamiętajmy, że butelkę wina wypijemy w jeden wieczór. Zaś butelka oliwy? Zależy to od diety i rodzaju oliwy. Zwyczajnej oliwy do smażenia, ukręcania majonezu i innych operacji,



RYŚ. MARIUSZ WILCZYŃSKI

w wyniku których smak oliwy nie jest eksponowany, zużywam około pół litra na miesiąc. Natomiast wspaniałej tokańskiej oliwy z pierwszego tłoczenia, którą dostałem w prezencie dwa lata temu, jeszcze mi trochę zostało. Namaszczam nią w lecie pomidory posypane świeżymi ziołami, dodaję do zup, makaronów i sosów, których smak od niej przede wszystkim zależy.

Kupując oliwę należy pamiętać, że ta z pierwszego tłoczenia, zwana *extra virgin*, nie znosi wysokiej temperatury. Do smażenia stosuje się oliwę z kolejnych tłoczeń, jaśniejszą i mniej aromatyczną. Pośród ogólnie dostępnych oliw z pierwszego tłoczenia najlepsze pochodzą z Włoch, choć hiszpańskie także bywają wyśmienite. W sklepie spożywczym znajdziemy tylko oliwy mieszane, to znaczy pochodzące od różnych wytwórców. Oliwa pochodząca z jednej tylko posesji jest w północnych krajach rarytasem – warto więc rozejrzeć się za nią, będąc we Włoszech lub Hiszpanii.

W sprzedaży są też oliwy aromatyzowane, lepiej jednak sprecparować taką samemu. Wystarczy zalać oliwą z pierwszego tłoczenia surowy bądź upieczony czosnek, zioła, cytryny lub ostre papryczki. Po kilku godzinach oliwa nabierze aromatu, który z czasem będzie się nasilał. Po tygodniu należy ją odezdzić i gotowe – z tym, że oliwy czosnkowej się nie odezdza i trzeba ją zużyć w przeciągu kilkunastu dni. Na przykład, smarując nią upieczony na ruszcie chleb bądź zwyczajne grzanki, polewając nią sałatę rzymską przybraną sardelami i posypaną skrawkami parmezanu lub robiąc pastę z sardeli, bazylii, orzechów i soku z cytryny, którą można rozsmarować na cieście do pizzy i zapiec. Oliwą aromatyzowaną rozmarynem polewamy pieczone jagnię lub befszyk, tymiankową – ugotowane ziemniaki zagniecione z mlekiem i parmezanem. Oliwa limonowa – zalewa się pokrojoną w paseczki skórkę limony – to pyszny dodatek do blinów z wędzonym łososiem. Uwydatni ona smak ryby o wiele lepiej, niż tradycyjnie towarzysząca temu danu śmietana. Zaś spaghetti polane oliwą, w której przez chwilę na małym ogniu podsmażyliśmy drobno posiekany czosnek i garstkę bazylii lub natki pietruszki,

wszystko razem zaś posypane parmezanem, to jedno z najprostszych i najpyszniejszych dań na świecie. Oczywiście, do każdego z nich należy pić wino, ponieważ, jak oznajmił wielki uczony francuski, „winorośl i oliwka to synonimy cywilizacji”. Żyto i smalec też, tylko inne.

TADEUSZ PIÓRO

Projektanci pokazują nam różne cudne rzeczy, ale nie odpowiadają na pytanie, co z tym robić. Czy są to pomysły tylko do oglądania? A my czujemy, że nudny, że mundurek. I wkładamy go do szafy z uczuciem niewolnika, ale co robić. Jako projektant chciałabym, żebyście chodziły w tych różnych przezroczystych sukienkach z falbanami, w tych cygańskich bluzkach, długich ogonach z jednej strony i tak dalej. Jako dziennikarka wiem, że istnieje życie poza pokazami, poza wybiegami, poza sesjami zdjęciowymi, które jak się kończą, to modelki zmywają makijaż, odpinają części fryzur i zakładają swoje dżinsy i tiszerty. Ale przecież chcemy być modne, modni, chcemy wyglądać niezmiennie, ale nie mamy odwagi. Nawet jeśli porywa nas przedwiosenny i coś odjazdowego mierzymy w sklepie, to czasem reszta rozsądku przywołuje nas do porządku albo w stanie ekstazy stajemy się właścicielką czegoś, co możemy sobie poprzemierzać w domu.

Patrzcie, zaczynam wchodzić w totalne rozdźwięki – jako projektant mówię: odwagi, nie bądźcie tak ostrożni, moda i tak się zmieni, nie możliwe stanie się możliwe, na co czekać, dla czego wlec się w ogonie, trzeba dodać do życia trochę pieprzu, trochę fantazji, a jako dziennikarka mówię: ostrożnie, nie wygłupiajcie się, nie ubierajcie się tak, po co robić z siebie małpę. Jest coś takiego w dobrym stylu ubierania się, że mniej jest lepiej. Nie przesadzać, nie za dużo, nie kilka pomysłów naraz, nie choć. A z drugiej strony trzeba iść za modą, nie modne ubranie postarza, obsuwa nas, jakoś to. A przede wszystkim jest czapka niewidka. Nie chodzi o to, żeby włożyć na siebie ostatnie pomysły najbardziej zwariowanych projektantów – przecież byłoby nam wszystkim nieco weselej, ale trochę być z „teraz”. Nie kupować kostiumu, który był szczytem szpanu na bazarze 10 czy 50 lat temu, ale coś, co bardziej przypomina obecną rzeczywistość.

Twórcy mody zatopieni w zjawiskowym teatrze, jaki nam stwarzają, prześcigają się w niezwykłych pomysłach, które męczą i zacieśniają nas w mediach. Wychodzimy potem na ulicę w każdym europejskim mieście, nie tylko w Zarach, i nic z tego nie przenika. Stoimy na przystanku i wydaje się, jak się jest projektantem, że chyba trzeba zmienić zawód.

Zdjęcia: Uwaga, uwaga – zupełnie nowy rękaw – rękaw z „główką”. Wszyty dość wysoko, czyli ramię jest raczej wąskie. A „główka” to zakładki lub marszczenie. Charakterystyczne dla mody początku XX wieku, było kilka razy modne. Najczęściej teraz w zakietach i bluzkach. Na razie dla lubiących nowości. Gwarantuję, że będzie też modne w następnym sezonie.

Refleksje wiosenne



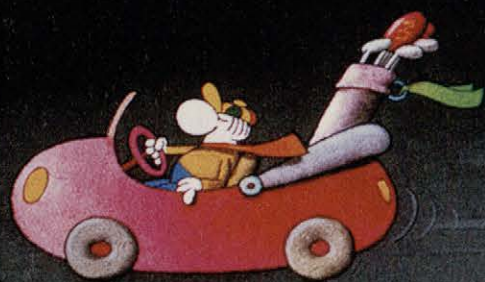
Kolekcja „Who's Next?”



Kolekcja Sonia Rykiel

HOFF

Kolekcja Cacharel



Guillermo MORDILLO

Za 1000 złotych można (pojechać) • kolejną transsyberyjską z Moskwy do Pekinu przez Zabajkalsk, cena biletu II klasy; podróż trwa siedem dni • wszystkimi liniami metra oraz autobusów w Londynie przez miesiąc; cena obejmuje wszystkie strefy, włączając pierwszą, najdroższą • wszystkimi liniami autobusów oraz metrem w Warszawie przez rok, kupując cztery razy bilet 90-dniowy sieciowy; cena biletu normalnego • dwa razy autokarem z Krakowa do Londynu i z powrotem; jedna podróż trwa około dwóch dni • autobusem linii Greyhound trasą Atlantyk-Pacyfik-Atlantyk (z Nowego Jorku do San Francisco i z powrotem) • taksówką za miastem około 250 kilometrów; możliwy rabat około 20 proc. • pociągiem podmiejskim przez jeden kwartał na odcinku od 91 do 100 kilometrów według taryfy pełnopłatnej • przez miesiąc jeździć po Europie w dowolnie wybranej strefie z biletem Inter Rail; cena dotyczy tylko pociągów zwykłych i drugiej klasy, bez pociągów ekspresów

Śliska sprawa



- Ile? Słucham?
- Sto złotych, ale możemy się jeszcze dogadać.
- Chyba się przesłyszałem.
- A ile by pan proponował?
- 50.
- Pięć dych? Idźże pan - za tyle to mi się w ogóle nie kalkuluje.
- No, to 70.
- Pan nie jest chyba poważny. Patrz pan, jaki tu jest ruch. Mało tu klientów? Jak nie pan, to ktoś inny. Chodź, Stefan, tu nie ma co...
- Dobra - 75. Ale to już moje ostatnie słowo.
- Eee, coś czuję, że my tu się nie dogadamy. Pan chyba nie rozumie, spójrz no pan - to fachowa robota. A to kosztuje.
- Miesiąc temu dałem 45 złotych za identyczną rzecz. W Poznaniu. A i tak nieźle przepłaciłem.
- Ale tu Warszawa. Wie pan, inne ceny. Zresztą, niedługo idą święta. Wydatki.
- Przepraszam, jakie święta?
- Święto Pracy i Święto Konstytucji.
- Pracy? Konstytucji?
- No, wie pan, trzeba się jakoś ubrać...
- No, to ile to będzie? 65?
- Widzę, że pan się łatwo nie podaje. Ale tyle opuścić nie mogę. Sam na tym tracę. Jeszcze jak byś pan był jakąś młodą blondyneczką, to ewentualnie coś tam... Ale widzi pan, za takie pieniądze... Czyli co, mam rozumieć, że woli pan jednak mandat, tak?
- Tak.
- Dobra - wszystko sobie spiszę... Oddaję prawo jazdy. Jest pan wolny. Proszę jechać ostrożnie. Ślisko dzisiaj.
- Tak, śliska sprawa, panie sierżancie, śliska sprawa.

Christiaan van Lierop

GAWORZENIE O CHOPINIE

Nie mogę się oprzeć chęci złożenia szczerych gratulacji bywalcom Salonu Wyrzeźwień z „P” numer 15/2964. Gratuluję im świetnego samopoczucia, błyskotliwego dowcipu, a przede wszystkim beztroskiego tupetu, który pozwolił im obrzucać błotem coś, czego nie widzieli. To nieco szokująca innowacja w krytyce artystycznej i mam nadzieję, że poza „P” się nie przyjmie, bo oznaczałaby przecież upadek norm etycznych i brak poczucia odpowiedzialności za słowo.

Myślę o wesołym - acz niepozabawionym zjadliwości - gaworzeniu na temat filmu o Chopinie. W kuchni lub w toalecie takie gaworzenie mogłoby zapewne bawić, ale w salonie jest trochę nie na miejscu.

Bo oto na przykład pani Kornatowska, jakoby fachowiec od spraw filmu, z dumą wyznaje, że „Chopina...” nie widziała, lecz jednocześnie autorytatywnie stwierdza, iż nie wierzy „aby ten zespół twórczy mógł mieć cokolwiek do powiedzenia o Chopinie, coby ją zainteresowało”, nie wierzy, aby „pani Stenka mogła zagrać kogoś takiego jak George Sand”, wierzy natomiast, że „wystarczyłoby wziąć kogokolwiek, komu się przyklei nos, a już będzie Chopin...”. Very funny! (Bardzo dowcipnie - tłumaczę na wypadek, gdyby pani Kornatowska tak znała się na językach jak na filmie).

Pan Chłopecki z kolei, choć z rozbijającą szczerością pisze, że też filmu nie oglądał, to wie na pewno, że ten „Chopin...”, to „socrealizm na dziś w nowej wersji dla tłumu. Tak samo kiczowaty, tak samo sztuczny”. Biedny człowiek! Nie zdaje sobie pewnie sprawy, że ferowanie w ciemno takich wyroków to nawet nie

bezcelność, lecz po prostu nieuczciwość dyskredytująca go w oczach czytelników.

Na koniec dwa słowa o inicjatorze tych pogwarek, panu Tadeuszu Nyczku. Wyznam, że spotkała mnie przykreść obojętności na zeszłorocznym festiwalu w Międzyzdrojach opracowanego przez pana Nyczka widowiska „Gaj Akademosa”. Będę szczery: tak żałośnie nudnej i wulgarnej szmiry nie zdarzyło mi się jeszcze oglądać - ani przedtem, ani potem. I nie sądzę, abym był w tej ocenie odosobniony, bo choć rzecz - na szczęście! - była krótka, to zażenowani widzowie tłumnie opuszczali salę, nie mogąc znieść widoku skądinąd świetnych aktorów męczących się w zaserwowanym im przez pana Nyczka bełkocie.

Otóż, może jestem przewrażliwiony, ale sądzę, że po wypoceniu czegoś takiego każdy, kto ma choć cień poczucia wstydu, nie chciałby ośmieszać się kpinami z osób bardziej od siebie utalentowanych. Przykro, że pan Nyczek takiego poczucia nie posiada, zastępując je radosnym, choć nieuzasadnionym, samouwiebieniem.

LUCJAN KYDRYŃSKI

Jak rozumiem, p. Lucjan Kydryński nie ma do mnie pretensji o opinię na temat filmu „Chopin...”, ponieważ (na swoje nieszczęście) go widziałem. Ci z kolegów, którzy nie widzieli, odmówili oglądania pod wpływem tak przełożonej kampanii reklamowej filmu, po której można było sobie wyrobić całkiem jasne zdanie na temat dzieła pp. Antczaków.

Co zaś do „Gaju Akademosa”: rzeczywiście byłem autorem scenariusza tego widowiska. Na swoje usprawiedliwienie mam to tylko,

że złożyły się nań teksty Platona, Owidiusza, Alkifrona i Montaigne'a.

Czasem przed strzałem warto sprawdzić, gdzie cel, gdzie płot.

À propos: starożytni i renesansowi poeci i filozofowie bywali mniej grzeczni, niż się zdaje dzisiejszym arbitrom dobrego smaku.

TADEUSZ NYCZEK

WIĘCEJ DAVIESA

Rozmowa z Normanem Daviesem była naprawdę interesująca. To fascynujący i godny podziwu za swoją mądrość człowiek.

Czy jest możliwe, abyście zaprosili go do częstszego pojawiania się na łamach „P”? Z pewnością uatrakcyjniłoby to jeszcze bardziej Wasze (i tak świetne) pismo.

Oprócz tego bardzo podobał mi się fragment słownika białoruskiego. Był po prostu błyskotliwy. Myślę, że i u nas można by zainicjować podobną akcję - zmobilizujcie nas!

Na koniec jeszcze o tekście „Klikanie w islamie”.

Zdaję sobie sprawę z tego, że mówienie o Internecie w gazecie nie jest zbyt poruszające, niemniej jednak tego typu informacje o niezwykłych stronach i ich użytkownikach mogłyby się spotkać z dużym zainteresowaniem.

No, ale może to tylko mnie się tak wydaje.

Mimo wszystko „P” jest świetny - oby tak dalej (mimo że nie rozdajecie już zaproszeń dla krakowian).

ASIA

PRZE KROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor MARIAN EILE

REDAKTOR NACZELNY:

Roman Kurkiewicz

REDAKTOR NACZELNEGO:

Jacek Kowalczyk

ASYSTENTKA REDAKTORÓW NACZELNYCH:

Maria Świątek

SEKRETARZE REDAKCJI:

Magda Bauman (szef), Ewa Biała, Magda Gędziorowska

DZIAŁY KULTURA:

Marcin Baran (szef), Bogna Świątkowska (z-ca), Paweł Dunin-Wąsowicz, Joanna Gromek Illg, Leszek Mazan, Tadeusz Nyczek, Magda Sendecka, Marcin Sendecki, Justyna Sobolewska

WYDARZENIA:

Dariusz Rosiak (szef), Małgorzata Fiejdasz, Filip Łobodziński, Wojciech Maziański, Jakub Mielnik, Magda Papuzińska, Wawrzyniec Smoczyński, Kazimierz Targosz, Anna Tarnowska, Michał Wójcik

REPORTAŻ:

Monika Piątkowska, Leszek Talko (szefowie), Marcel Andino Velez

NAUKA:

Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA:

Paweł Sito (szef)

PRACOWNIA GRAFICZNA:

Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Łukasz Giedziec, Dominika & Dominika

FOTOEDYCJA:

Agnieszka Steinhagen (szef), Anna Majewska, Ewa Morgunow, Marek Szczepański, Bogdan Krężel (fotograf)

KOREKTA:

Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej

ARCHIWUM:

Wanda Lacrampe

PRODUKCJA:

Agencja Poligraf - Maciej Kowalski

REDAKTOR TECHNICZNY:

Alan Jawor

ADRES REDAKCJI:

ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 627 23 06 do 08, faks (0-prefiks-22) 627 23 05 e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

WYDAWCA:

Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 628 05 29, faks (0-prefiks-22) 621 19 76

PREZES WYDAWNICTWA:

Zbigniew Napierała

WICEPREZES:

Krzysztof Kaszuba

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:

Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:

Paweł Satkowski

DYREKTOR WYDAWNICZY:

Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU:

Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:

Agnieszka Smit

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:

Elżbieta i Bogdan Żochowscy

DYREKTOR PUBLIC RELATIONS:

Katarzyna Bem

DZIAŁ DYSTRYBUCJI:

tel. (0-prefiks-22) 628 05 29 w. 233, Grzegorz Barej - dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:

Marcin Fedisz (kierownik), Agata Obrębska

BIURO REKLAMY:

Agata Eigner - dyrektor, Maciej Stożek, Bartek Kluczyński, Adriana Olczak, Marzena Kiedacz (Kraków), Warszawa, ul. Wiejska 12, tel./faks (0-prefiks-22) 627 23 09, 626 96 17

DRUK:

Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła, tel. (0-prefiks-67) 210 84 00

PRENUMERATA:

u Wydawcy

Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska, tel./faks (0-prefiks-22) 625 08 20, tel. (0-prefiks-22) 628 05 29 w. 210

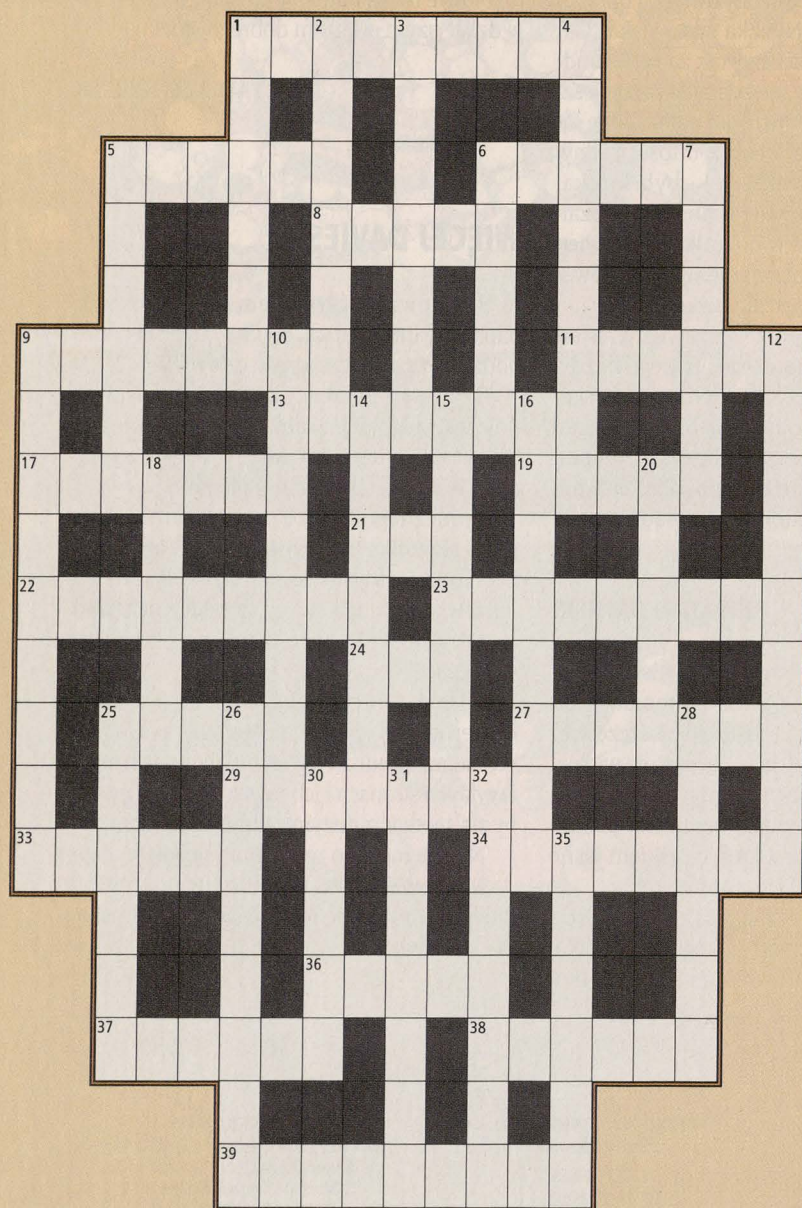
przez pocztę przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe na terenie całego kraju

przez Ruch SA

informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31, faks (0-prefiks-22) 532 87 32

Zabroniona jest bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych „Przekroju” po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż po cenie innej niż wydrukowana jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością prawną. Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótników w nadesłanych artykułach i listach.

Dzisiaj, w podwójnym numerze „P”, podwójna dawka emocji dla miłośników krzyżówek i jolek. Proponujemy także **KONKURS WIEDZY O SZTUCE**. Jeśli rozpoznają Państwo co najmniej osiem (z 10) znanych obrazów, które zainspirowały Pawła Mostowskiego do stworzenia kolażu-zagadki – prosimy do nas napisać. Na odpowiedzi (tytuły obrazów i nazwiska twórców) czekamy do 15 maja. Wśród osób, które nadeślą prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy pięć kompletów albumów satyrycznych ufundowanych przez Muzeum Karykatury w Warszawie. Nasz adres: Redakcja „Przekroju”, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa z dopiskiem „konkurs malarski”. Życzymy powodzenia!



KRZYŻÓWKA nr 17

POZIOMO:

- 1 dobry słuchacz
- 5 pozornie przeciwieństwo wkładu
- 6 w dłoniach ślusarza i jego żony
- 8 śmietanka sprawiedliwości
- 9 i mądry miał z nią nielekkie życie
- 11 rzeźba tylko z jednej strony
- 13 zielony wyraz dobry do dyktand
- 17 pracuje przy kole
- 19 natęży się w prądzie
- 21 angielski „gość”
- 22 nikt jej nie zaprasza
- 23 uwielbienie
- 24 połączony z bonem
- 25 czasem niezabawne zabawy
- 27 przekrój szkło nim...
- 29 Niemen by je namalował
- 33 „kompletnie się nie zna!” „O, przepraszam, właśnie, że prawdziwy znawca!”
- 34 bliźniacza siostra Apollina
- 36 rzucane o druty, w dawnym (podobno używanym) młodzieżowym powiedzonku
- 37 gardłowa sprawa
- 38 płynie sobie, choć wbrew pozorom to nie Muszynianka
- 39 ...i bliska koszula ciała

PIONOWO:

- 1 polskie Ateny
- 2 nowofundland
- 3 rosyjska дума
- 4 cztery–pięć bananów, nie mandarynek
- 5 szkoła, hej!
- 6 wesołkowaty lala
- 7 w stosunkach z listonoszem jak e-maile z listami
- 9 wzięcie do kupy
- 10 kontrolowany – fakt prasowy na ścianie – niefart domowy
- 12 miłośniczka nierzeczywistości
- 14 mentalne wejście w cudzą skórę
- 15 i muszka, i figi
- 16 cisza, jakby maku w sklepie nie było
- 18 standard w operze Belliniego
- 20 z jednego z miast holenderskich
- 25 tytuł w tytule u Aleksandra Dumasa
- 26 operetkowa królewska latorośl
- 28 niby błahostka, a często używany z określeniem „ważny”
- 30 dziura, choć nie czarna
- 31 czarna, choć nie dziura
- 32 na wiele lat przed „Prawdą”
- 35 z drewna na drogę

Rozwiązanie krzyżówki nr 15:

POZIOMO: 1. cielątko 5. kaszkiet 9. Einstein 10. muchomor 11. przed-szkolanka 15. czerw 16. kompas 19. burka 20. aga 21. zoo 22. roraty 23. Ilion 24. sfery 25. Irtysz 26. rys 27. kos 28. konto 29. zasada 32. troll 34. kwaso-odporność 39. cholewki 40. zjawisko 41. karawana 42. Charybda

PIONOWO: 1. Czepiec 2. laser 3. tre-le 4. ognisko 5. kamfora 6. Sucha 7. kiosk 8. turysta 11. pierwio-niek 12. zawalidroga 13. nabożeństwo 14. agresywność 16. karnisz 17. płyty-na 18. szyszka 28. kuchcik 30. ałolita 31. dworzec 33. Lizbona 35. wálka 36. sówka 37. Niasa 38. śliwy

ODPOWIEDŹ ZA DWA TYGODNIE Logicznie o zagadkach

Czy ta zagadka, którą rozwiązaście wcześniej, zanim rozwiązaście tę zagadkę, którą rozwiązaście później, była trudniejsza niż ta zagadka, którą rozwiązaście później, jeśli ta zagadka, którą rozwiązaście później, była łatwiejsza niż zagadka, którą rozwiązaście wcześniej, zanim rozwiązaście tę zagadkę, którą rozwiązaście później?

ODPOWIEDŹ SPRZED TYGODNIA

Śmierć niewiarynych

Padły trzy strzały – było trzech niewiarynych mężów.

Wyjaśnienie: Jeśli jest jeden niewiaryny mąż, wówczas jego żona nie zna żadnego niewiarynego męża, a ponieważ – zgodnie z tym, co powiedziała królowa – co najmniej jeden mąż jest niewiaryny, więc kobieta, która nie zna żadnego niewiarynego, wie, że tym niewiarynym jest jej mąż i zgodnie z poleceniem królowej zastrzeli go o północy.

Jeśli jest dwóch niewiarynych mężów, wówczas dwie kobiety (te zdradzane) wiedzą o jednym niewiarynym mężu (pozostałe wiedzą o dwóch). Te zdradzane nie wiedzą, czy wszystkie pozostałe kobiety znają również jednego niewiarynego, czy też dwóch

I te, które znają jednego niewiarynego, myślą tak:

„Jeśli mój mąż jest wiaryny, to wszystkie pozostałe też znają tylko jednego niewiarynego męża – poza jedną, tą zdradzaną, która nie zna żadnego, i w związku z tym wie na pewno, że to jej mąż jest niewiaryny i zastrzeli go o północy pierwszego dnia. Jeśli jednak pierwszego dnia o północy nie usłyszę strzału, to znaczy, że nie ma takiej kobiety. A to musi znaczyć, że to ja jestem zdradzana”.

I obie zdradzane kobiety zastrzelą swego męża drugiego dnia o północy.

Jeśli jest trzech niewiarynych mężów, to te, które wiedzą o dwóch niewiarynych mężach (a są trzy takie kobiety), będą czekać, czy ktoś zastrzeli męża drugiego dnia o północy (oznaczałoby to, że były dokładnie dwie kobiety, które wiedziały tylko o jednym mężu i czekały, czy będzie strzał o północy pierwszego dnia). Ponieważ w tym przypadku drugiego dnia nie padną żadne strzały, to trzeciego dnia trzy kobiety zastrzelą trzech niewiarynych mężów.

A ponieważ w naszej zagadce strzały padły trzeciego dnia o północy – więc niewiarynych mężów było trzech.

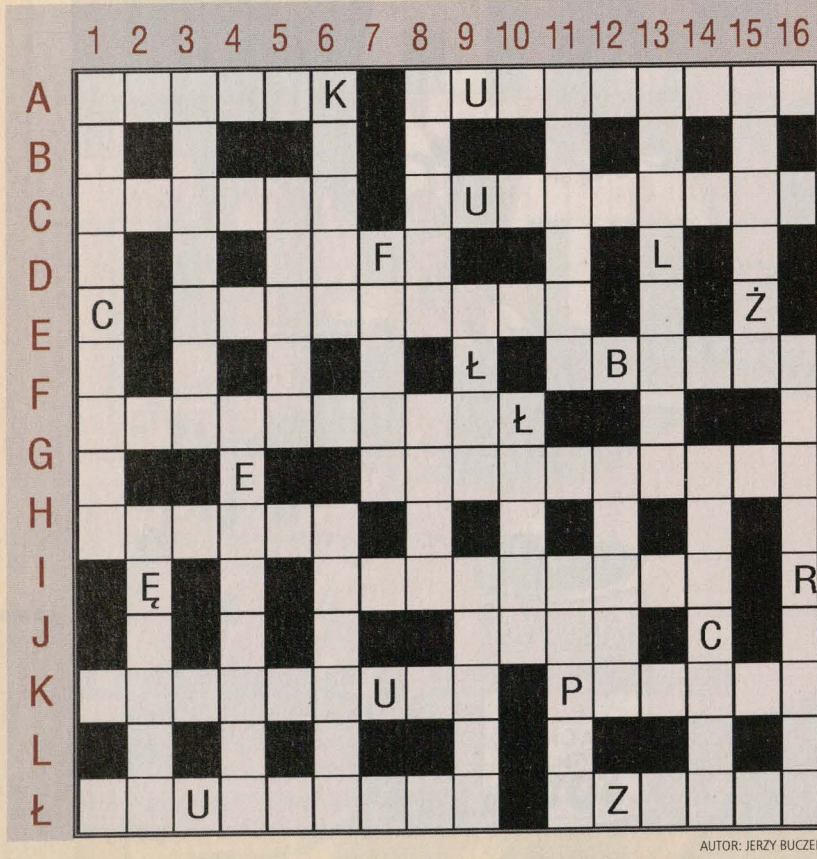


Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu należy rozszyfrować następujące hasło:

E11 – L5 – A5 – I1 – D15 / H15 – I12 – G3 – E13 – Ł16 / G8 – D6 – M8 – K6 / I10 – C2 – A8 – Ł14 / L3 – D1 – K2 – J7 / K12 – M13 – C14 – A13 – I16 – M6 – J10 – F3 – Ł11.

- Wyrazy 10-literowe:**
- mała stabilizacja pijawki • tom biskupa
- Wyrazy 9-literowe:**
- jeden głębszy • buk na bruk! (winien halny lub chinook) • smaż z róż • jej święty – szmaragdowy • fałszywy ton w symfonii na tron • raj jaj • rower retro • ucztą widza
- Wyrazy 8-literowe:**
- aktor pióra • gumowy azyl wrzątku
- Wyrazy 7-literowe:**
- miasto śpiewających aktorów • Oku-dżawa na koniak by z nim wpadł
- Wyrazy 6-literowe:**
- elektryczny w sieci • zadanie bobu zza grobu • w okolicy miednicy • mak w akr (za baby sprawą) • mały nie taki Strasz-

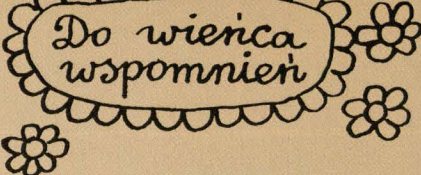
- ny • jak masz blachę, to ciach • dla Budrysa atrakcyjna jak hurysa • rzecz ty-cia do rycia • prześladowca z Tarsu • psom dzwonił
- Wyrazy 5-literowe:**
- sówka choinówka pod Tucholą wcin-a • hen od centrum • wstęp do pata • pachnie toto jak dno beczki, jakieś nóż-ki, jakieś kropeczki (czyli boża krówka według Gałczyńskiego) • między lodem a świstem • o tym z konopi pisz małą li-terą • zrywa się z kszykiem (nie z krzy-kiem) • maniera Weissmüllera
- Wyrazy 4-literowe:**
- formowany do chusteczki haftowanej • miód dla uszu bóstwa • pupa Mary Celeste • towarzyskim trampom frajdą



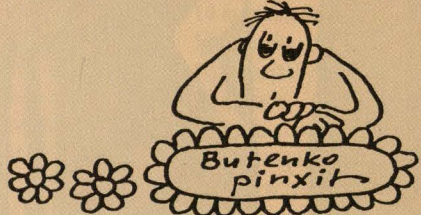
Rozwiązanie jolki nr 15: RANO SIEDZI NA DRZEWACH WIOSNA NIEWYSPANA, JAK ZIELONA MIZERNA PAPUGA (z „Wiosny warszawskiej” Mariana Hemara).

Rzędami: pałak, Dawid, obozowicz, kiper, Eiffel, mandarynka, jutro, łamy, niezgoda, harcap, retusz, zniewaga, ogół, Elvis, odpoczynek, Wagner, Tadek, sztachety, teina, węzeł.

Kolumnami: pokój, odwet, utarg, łopot, człon, kormoran, desa, pieprz, rzodkiew, Czad, dwór, zagrycha, cenzor, dzik, detektyw, Fałat, Vaduz, müsli, Delfy, sokół.



FRYDA
BAŁEM SIĘ SPOTKAĆ
Z NIEJAKĄ FRYDĄ,
ŻE SIĘ OKAŻE
ZIMNĄ FRYGIDĄ...
PO TYM SPOTKANIU
(OJ, BYŁY ZBYTKI!)
MYŚLĘ:
Z TEJ FRYDY
KAWAŁ KOBITKI,
CO PRZEZ PÓŁ NOCY
SPAĆ MI NIE DAWAŁ!
FRYDA - FRYGIDA?
TO CHYBA KAWAŁ !!!



Uwaga! Oto laureaci jolek i krzyżówek z numerów 12. i 13.:

jolki nr 12: Adolf Staszczyszyn, Wrocław; Piotr Grabowski, Warszawa; Wacław Koper, Opole; Elżbieta Zarzeczny, Piława Górna; Artur Miller, Olsztyn.

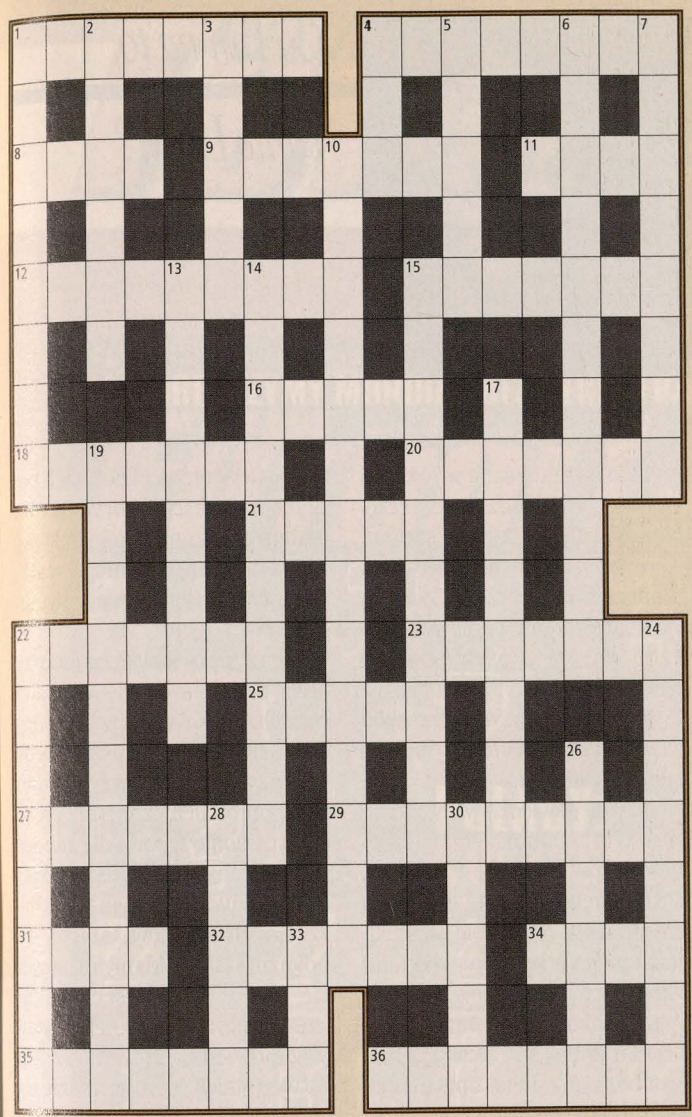
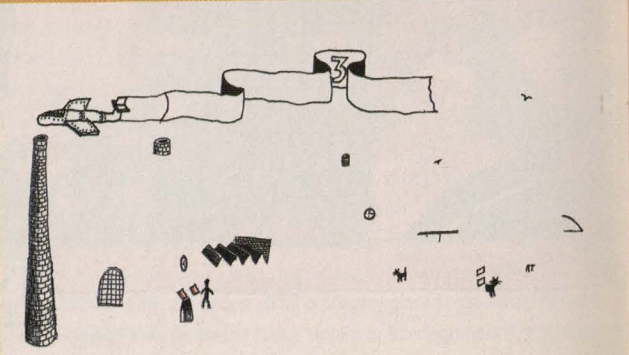
jolki nr 13: Stanisława Ogińska, Nisko; Elżbieta Matuszek, Jaworze; Maria Klusek, Ostrowiec Świętokrzyski; Wilhelmina Zachara, Brzeszcze; Maria Wach, Wolsztyn.

krzyżówki nr 12: Ewa Sienkiewicz, Olsztyn; Urszula Franke, Warszawa; Zofia Sawicka, Trzcianka; Anna Pakura, Poznań; Jan Makowski, Włocławek.

krzyżówki nr 13: Jerzy Wierzbowski, Mława; Iwona Cibor, Dąbrowa Białostocka; Stanisław Rajczewski, Jarocin; Antoni Łukasik, Wojkowice; Irena Ibisz, Wrocław.

Gratulujemy. Nagrody wyślemy pocztą.

WYTEŻ WZROK
rozwiązanie ze stron 22.–23.



JOLKA nr 18

A15 – G9 – B14 – L1 / G13 – B3 – Ł5 / C10 – K2 – D12 – F17 – D17 – K13 – E15 / L4 – Ł8 – J15 – B1 / F15 – H2 – C16 – H6 – G5 – J13 / L9 – H4 – A13.

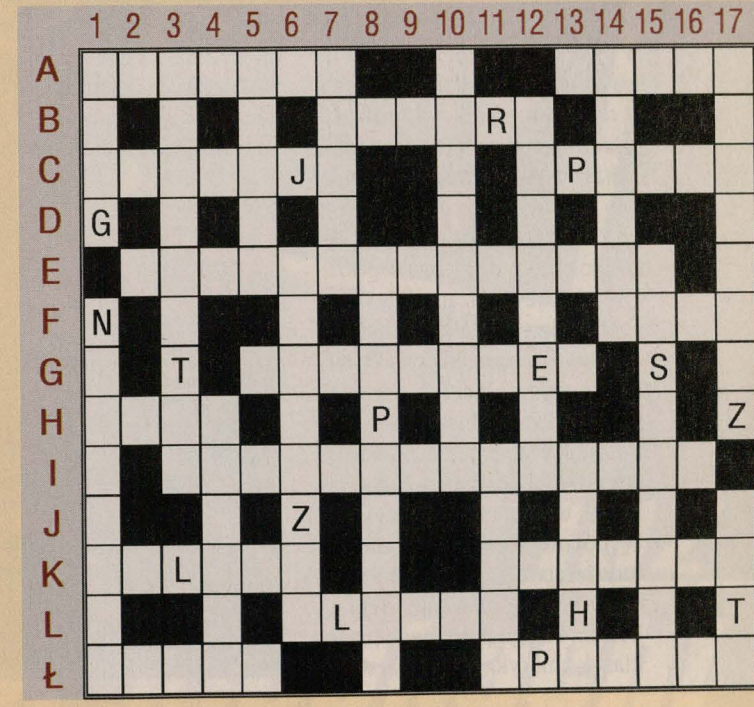
- Wyrazy 14-literowe:**
- kabina nadziei dla wiszącego w sklepie łaszka • siódme poty marionetek
- Wyrazy 9-literowe:**
- legitymacja białego kruka • pradziadek na jodek srebra rzucony • z nosem przy śniegu • okno na świat (lecz czy aby nie bardziej na dwa?) • raz na wozie, raz pod wozem tyra
- Wyrazy 8-literowe:**
- gdy lód staje, ten na lodzie zostaje • siedlisko nisko • dzieło poety na dziele kamieniarza • cenodawcy w głowie się poprzewracało
- Wyrazy 7-literowe:**
- ten pan od Kubusia Fatalisty • czasem hojny (czasem oficjalnie, czasem wyjątkowo) • czy zmienia
- Wyrazy 6-literowe:**
- miejsce dla orła, którego nie wzięto na front • rozsypane paciorki Alaski • opleciony bluszczem i sere-nadą • status banana (spytaj oran-gutana) • bliższa spadochroniarzo-wi niż czasza • filiżanki Fibaka?
- Wyrazy 5-literowe:**
- kret tyra • dziki tyra • stan przed-plutonowy • embrion projektu • nie śpi • pełen pamiątek czekających na... aktywację
- Wyrazy 4-literowe:**
- skrawek niedożarzony do końca • co ma świecący nos • sewrski kumpel kilograma • albo stwór, al-bo został z niego wiór

KRZYŻÓWKA nr 18

- POZIOMO:**
- 1 pachnie po ciemku
 - 4 winny bóg
 - 8 stara... zardzewiała
 - 9 romantyczny pasożyt
 - 11 latający w bajkach
 - 12 Gucio, jeden z bohaterów komiksu B. Butenki
 - 15 do dodawania w szkole odchudzania
 - 16 przeciwieństwo krokusa
 - 18 za zajęcie pierwszego miejsca
 - 20 damskie rękawiczki sięgające do połowy palców
 - 21 zdarta
 - 22 OPZZ właśnie zwija rządowi
 - 23 całkowite opuszczenie rąk
 - 25 domek bez lodówki
 - 27 hulanka
 - 29 miejscowość mała, ale od stuleci obecna w polskiej literaturze
 - 31 z nich wypleciony koszyk
 - 32 cienki i długi, biały i zielony, wytworny i pyszny
 - 34 jarzeniówka-reklamówka
 - 35 ...minął, studenci na piwie
 - 36 na utrzymaniu ZUS-u
- PIONOWO:**
- 1 gruby a sprośny
 - 2 koński nos
 - 3 z kurą w sporze
 - 4 miejsce fusów
 - 5 niewesołe myśli
 - 6 dzielnica Krakowa lub popularny program dla dzieci sprzed lat
 - 7 i widzisz lepiej
 - 10 uroczyść przyjęcia nowych studentów na pierwszy rok studiów
 - 13 w ruchu i w kuchni
 - 14 urządzenie wyskokowe
 - 15 taniec spod szubienicy
 - 17 miasto nad Oławą z kamieniołomami granitu
 - 19 skutek zetknięcia się skóry z wrzątkiem
 - 22 giermek na placu manewrowym
 - 24 Etiopia
 - 26 nasz pan
 - 28 zalecana w zdrowym żywieniu
 - 30 strome, zalesione partie naszych gór
 - 33 na brzuchu i w grze

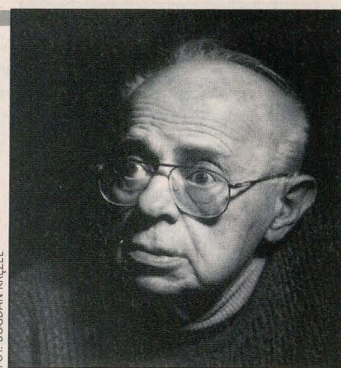
Pomiędzy Czytelników, którzy do środy 8 maja (decyduje data stempla pocztowego) nadeślą poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy po 10 egzemplarzy książek „WYZNANIA ANGIELSKIEGO OPIUMISTY” Thomasa de Quinceya (wydawnictwo Czytelnik) oraz „MIEĆ I NIE MIEĆ” Ernesta Hemingwaya (wydawnictwo MUZA).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, z dopiskiem **Jolka 17 lub 18** oraz **Krzyżówka 17 lub 18**.



Z jadłospisu Baby-Jagi

FOT. BOGDAN KRZEL



Co Pan na to,
Panie LEM?

W sezonie, w którym wszyscy za wszystko przepraszają, gotów jestem przeprosić za rydza-ludojada i za jego lekkomyślnie bezsolną dietę

Jak wiadomo, zajmując się – nawet w sposób nieco swawolny – pisaniem, należy korzystać z doświadczenia przeszłości, czyli tak zwanej tradycji literackiej. Jest rzeczą zastanawiającą i godną poważniejszej refleksji, do jakiego stopnia problematyka kulinarna wżarła się w klasykę literatury światowej. Wziąć choćby powieść „Moby Dick” Melville’a ociekającą wielorybim tłuszczem wraz z opisanymi okrutnymi polowań na te oceaniczne ssaki.

Niestety, z literaturą kulinarną wiąże się bardzo stara tradycja ludożerstwa. Spośród książek mojego dzieciństwa mogę od ręki wymienić opowieść o Robinsonie Cruzoe, który – jak wie każdy znający tę książkę – pozyskał w Piętaszku czarnego sługę i towarzysza niedoli dzięki kanibalistycznemu posiłkowi, podczas którego gotowano krewnego tegoż Piętaszka do spożycia. Nie pamiętam tylko, czy szło o potrawkę.

Zresztą nie musimy wcale sięgać po obce wzornictwo w poszukiwaniu przyrządzanych w różny sposób dziewic, jakimi podania ludowe od bardzo dawna żywiły liczne smoki, łącznie z wawelskim, któremu jednak zaserwowano zamiast apetycznej prawiczki owcę wypchaną siarką. Smok ów zmarł wtedy na niestrawność. W późniejszym czasie motyw ludożerstwa bywał wykorzystywany w niektórych bajkach braci Grimm i sięgnął po niego nawet klasyk amerykański Edgar Allan

Poe w „Przygodach Artura Pyma”. Trzeba jednak przyznać, że pisarz amerykański nie adresował swej twórczości do dzieci.

Mimowolnie i niejako nieświadomie dokonałem modernizacji tego prastarego tematu w jednym z przesiąkniętych czarnym humorem dyktatów, którymi 40 lat temu usiłowałem odwieść mojego krewniaka od popełniania ortograficznych błędów. Ta moja działalność wynurzyła się dzięki rzeczoznawcy siostrzeńcowi, aczkolwiek w swoim założeniu raczej nie miała stanowić zachęty do masarstwa lub wytworu pasztetów przez osoby liczące osiem lat.

Nie byłoby zresztą warto pisać o tej sprawie, gdyby nie potwierdzona przez paleoantropologów okoliczność, że praludzie uprawiali w swych jaskiniach dość systematyczną konsumpcję osobników swojego gatunku. Poświad-

czyły to odnajdywane w różnych punktach kości ludzkie rozszczerzone w celu wydobycia szpiku. Nie miałem jednak na myśli aż tak zamierzchłej przeszłości, zajmując się dyktatami, ponieważ chodziło mi nie o problematykę samojedów, lecz tylko o stawianie czysto ortograficznych przeszkód na drodze rozwojowej bardzo młodego chłopca.

Prawdę powiedziawszy, zupełnie o tym zapomniałem, toteż jestem gotów obecnie, w sezonie, w którym wszyscy za wszystko przepraszają, przeprosić za przedstawionego w jednym z dyktand rydza nazwanego ludojadem, który podstawił nogę staruszkom i zjadał je bez soli. Szczególnie owa bezsolna dieta, opisana tak lekkomyślnie, wymaga skruchy.

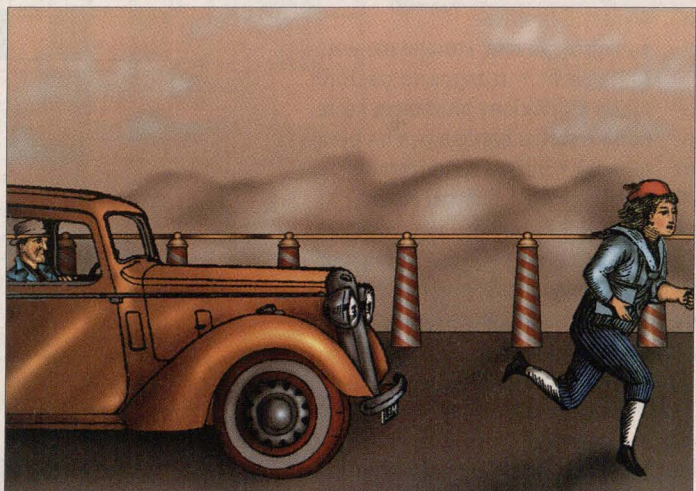
Na koniec przypominam sobie, że w czasie okupacji niemieckiej we Lwowie pojawiły się niespodziewanie niedrogie parówki, z których spożycia zrezygnowałem, dowiedziawszy się, że w jakimś mieszkaniu podobno wykryto trzymane w wannie, a przeznaczone na wiadomy przerób, mięso (jakoby) pozabijanych ludzi. Musiała mi ta historia utkwic

w podświadomości i po latach wypłynęła w tekście, którym próbowałem przekonać mojego krewniaka do „kanibalizmu, a w dalszej perspektywie do cywilizacji śmierci”.

Znacznie ciekawiej od ludożerstwa przedstawia się w moich oczach ociekająca krwią tematyka amerykańskich dreszczowców telewizyjnych. Scenarzyści atlantyccy uproszcili niezmiernie procedury rzekomo typowe dla afer terrorystycznych, szpiegowskich oraz bandyckich. Pragnąc zwerbować kolejnych widzów, stacje TV pokazują jako reklamy mających się ukazać filmów szczególnie smakowite, apetyczne ich części. W zapowiedziach tych wszyscy do wszystkich strzelają, ludzie padają trupem jak muchy, wylatują przez rozbijające się widowisko-wo szyby z wysokich pięter wieżowców, wpadają pod samochody, giną w katastrofach samolotowych i właściwie cały ów terazniejszy repertuar przypomina podwórkową muzykę przedwojennego katarzyniarza kręcącego w kółko wciąż tą samą korbą.

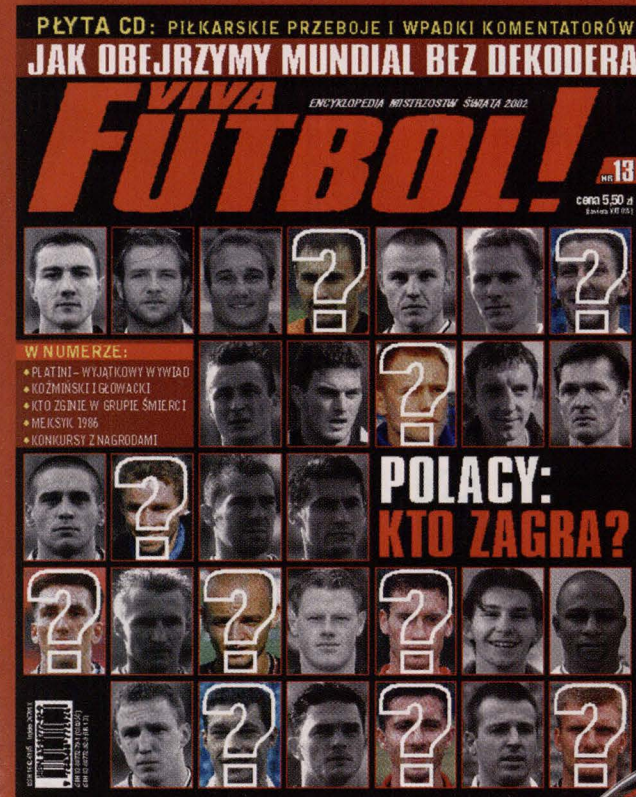
Dlatego należy wyraźnie zwrócić uwagę wszystkich, którym dobro dzieci leży na sercu, że powinno się, zwłaszcza w czasach tak pełnych bitewnego chaosu, nakładać kadry pisarskie do tworzenia baśni i bajek czysto wegetariańskich. Zawsze jednak ktoś może się poczuć dotknięty opowieścią Gombrowicza o chłopcu, którego spożyto na uczcie u hrabiny Kotłubaj. Jak widać, porządne oczyszczenie bibliotek z takich koszmarów stanowi pierwsze zadanie pedagogicznej elity Trzeciej Rzeczypospolitej.

STANISŁAW LEM
18 kwietnia 2002



RYŚ. DIMITRI SZEWOIKOW-KISIEŁOW

VIVA FUTBOL!

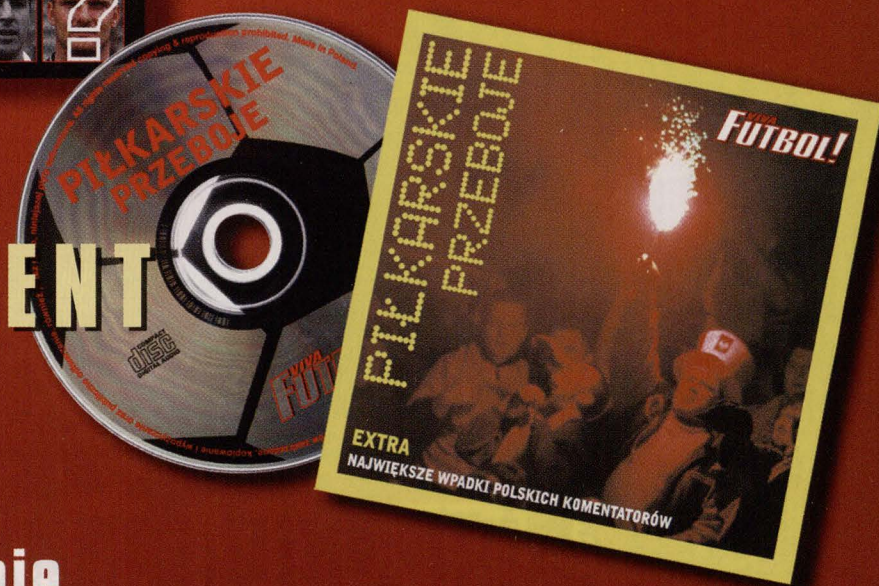


W specjalnym raporcie telewizyjnym „VIVA FUTBOL!”:

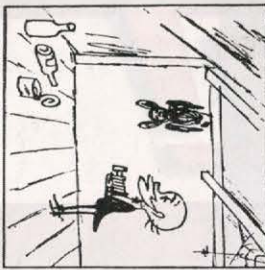
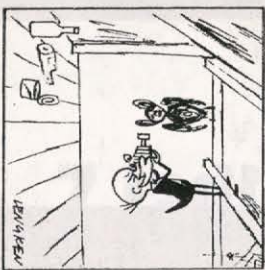
- czy można obejrzeć CAŁY mundial bez dekodera?
- kto, gdzie, kiedy i co pokaże?
- historia transmisji telewizyjnych
- ranking sprawozdawców

SUPERPREZENT
płyta CD

piłkarskie przeboje
i śmieszne wpadki
polskich komentatorów



już
w kioskach!



FLUTER

NA USZKO

„Głos Wielkopolski” stara się trzymać rękę na pulsie spraw międzynarodowych. W numerze z 7 marca informuje:

„Przedstawiciele sił zbrojnych USA oświadczili, że na uszkodzenie grup talibów i Al-kaidy (...) potrzeba będzie sporo czasu”.

Niestety, doświadczenie uczy, że na ich umieszkodliwienie jeszcze więcej.

(Nadesłał Bernard Falkowski z Międzyruchu)

NA ŚWIĘTO (BEZ) PRACY



Najpierw była kielbasa Wyborcza, teraz Bezrobotna. Czekamy, aż pojawi się Recesja. („Głos Pomorza” z 2.03.2002)
(Nadesłał Bernard Konarski z Koszalina)

KINOTEATRZYK P. JURKA

Z CYKLU:
NIEZAPOMNIANE ROLE

Emilian Kamiński jako Andrzej Lepper w filmie

Jacka Bromskiego „Kariera Nikościa Dyzyny”

KOMENTARZ: Niezwykłe błyskotliwa kreacja. Lepsi jako

A. Lepper był jedynie

A. Lepper w kontrowersyjnym

obrazie Grupy „Gulczas, a jak myślisz...”

NĘDZNICZY

„Super Express” z 29 marca przybliżył nam sylwetkę Jerzego Jeszke, jednego z bar-dziej znanych aktorów musicalowych:

„Zagrał m.in. tytułową rolę w Nędznicach w londyńskiej Royal Albert Hall – tę samą rolę zagrał 600 razy w niemieckiej premierze”.

Udały mu się dwie sztuki. Angielska – zagrac jednocześnie kilkadziesiąt ról – i niemiecka – robić to 600 razy w ciągu premierowego wieczoru.

(Nadesłała Patrycja Kowalik z Łodzi)

HUMOR ZESZYTOW SZKOLNYCH

Aleksander Głowacki, chociaż się nazywał Prus, był Polakiem z krwi i kości.

Tatarzy jedli mięso spod konskiego siedzenia.

Rak jest stawonogiem, bo żyje w stawach.

Z lasu otrzymujemy drewno, meble i świeże powietrze.

Janko Muzikant do czego się tknie, to gra.



Rys. Andrzej Krauze

POINFORMOWANI NA BANK

Jestem klientem Pekao SA od wielu lat. Jakież było moje zdziwienie, gdy tuż przed Wielkanocą wszystkie bankomaty Pekao były nieczynne.

Następnego dnia przeczytałem w internetowym serwisie PAP wyłączenie D. Wręciono z biura praso-wego banku:
„Awaria powstała z przyczyn technicznych”.
Jeśli powtórzy się to w ciągu tego długiego weekendu, będę spokojny, to tylko awaria.

(Nadesłał Konstanty G. z Piastowa)

HE!

– Nie dziwnego, że ty-lu ludzi przegrywa w brydża. To musi być bardzo pechowa gra, jeśli gracze dostają po 13 kart.

TADEUSZ NYCZEK

Hymn pierwszomajowych weteranów

Kostur na broń!
Nas nle nie powstrzymał!
Coś astma, skurcz, siwa skroń...
Choć oczy nie widzą już celu,
I sił tak bardzo tyż ni ma –
Wsiadziemy jeszcze na koń,
My – duchy Peereu.

Pióra do raki!
Na sztore komputery!
Hej, bracia, pora na żer,
Wciąż jeszcze zostało nas wielu,
Nasz znak – to czterdzieści i cztery –
Mickiewicz z nami i Kerni
My – duchy Peereu.

Fiaszka na stół!
Do rąk musztardówek!
Nie będzie burbon nas trui –
My z żyta się rodzim i chmieli!
Choć zwala nas z nóg już poiówka –
Gardzimy wywarem z ziół –
My – duchy Peereu.

Sztandar na troni!
Marsz w dal rażną nogą!
Z podziemia wyjdź, opuść schroni!
Wszak po toś się bił, przyjacielu,
Z komuną, krwiożerczą i wrogą,
Byśmy rzec mogli jej woni!
My – duchy Peereu.

Skrupuł na bruki!
Już nam nie podkoczy
Lech ani Kwach, łaskaw Bogi!
Drża Arab i Żyd w Izraelu!
To nle, że biednemu wiatr w oczy –
Zadajmy w ostatni róg,
My – duchy Peereu.

Serce na stosi!
Odlęz kropłówek!
Wstań, oddaj moc, dobądź głosi!
Furda te pusłki w portfelu!
Gdy duch coś wart – pluń na gotówkę,
Taki już przecież nasz los –
Nas – duchów Peereu!